

GÓRNY:

BUDZISZ ODPOWIADA KRYTYKOM:

MACIEJEWSKI:

ROKITA APELUJE:

**PAPIEŻ
FRANCISZEK
ZOSTAJE**

**ALE PYTANIA O TO,
CZY TO SCHYLEK
PONTYFIKATU,
PADAJĄ CORAZ
CZĘŚCIEJ**

**DLACZEGO POLSKA
I UKRAINA SĄ
SKAZANE NA SIEBIE**

**POZNAJCIE UKRAIŃSKIEGO
PUŁKOWNIKA, KTÓRY UWIELBIA
POLSKĘ I CHWALI PiS**

**BRŒŒIE
REFORMY SĄDOWEJ
Z 2017 ROKU**

**500
NUMER**

Nr 26 2022
27 czerwca–3 lipca 2022
CENA: 7,90 zł (w tym 8% VAT)

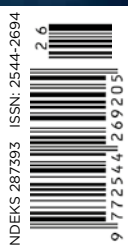
SIECI

TYLKO U NAS

DYPLOMATYCZNA

BITWA O WYCIECZKI Z IZRAELA

**IM DŁUŻEJ ZGŁĘBIALIŚMY TĘ SPRAWĘ,
TYM MOCNIEJ NAS ZASKAKIWAŁO,
JAK WIELE KRYJE TAJEMNIC**



GALA WRĘCZENIA NAGRÓD „GAZETY BANKOWEJ”



Techno**Biznes**
2022

NAJLEPSZY BANK
2022

OGLĄDAJ **WE WTOREK 28 CZERWCA O 18:30** NA **WPOLSCIE.PL**

ORGANIZATOR:

GAZETA BANKOWA
NAJLEPSZY WYKAZ EKONOMICZNY W POLSCE

PATRONAT HONOROWY KONKURSU TECHNOBIZNES:

 **MINISTERSTWO
INFRASTRUKTURY**

 **Ministerstwo
Rozwoju i Technologii**

 **Narodowe Centrum
Badań i Rozwoju**

PARTNER ZŁOTY:


ORLEN

PARTNER MERYTORYCZNY:

KEARNEY

PARTNERZY GALI:

 **accenture**

 **GPW**

 **PGE**
Polska Grupa Energetyczna

Wyjście z pułapki

Po zapowiadanym od dawna odejściu Jarosława Kaczyńskiego z rządu funkcję wicepremiera obejmie szef MON Mariusz Błaszczak. To wyraz uznania dla tego bardzo konsekwentnego, pracowitego i skutecznego polityka, a także podkreślenie rangi sfery związanej z obronnością. W obecnej sytuacji rzecz konieczna: rosyjska napaść na Ukrainę oznacza przecież „reaktywację” siły zbrojnej jako czynnego narzędzia w polityce międzynarodowej. Została przełamana, niestety, ważna bariera mentalna i psychologiczna, która przez ponad siedem dekad pomagała utrzymać pokój w Europie (wyjąwszy szczególny przypadek byłej Jugosławii). Krótka mówiąc, skoro Rosja uderzyła teraz z taką siłą, to podjęcie decyzji o kolejnym uderzeniu przyjdzie jej dużo łatwiej, nawet jeśli wojny z Ukrainą nie wygra. Za rok, za pięć, a może za dziesięć lat.

Polacy mogą mieć satysfakcję, że nasze przywództwo państwowe zdiagnozowało zagrożenie na długo przed pierwszym wystrzałem. Prace nad ustawą o obronie Ojczyzny trwały przecież co najmniej od lata 2021 r., a sama koncepcja narodziła się jeszcze wcześniej. Budujemy niezbędne instrumenty finansowe, zwiększamy liczebność armii. Kupujemy sprzęt – samoloty, czołgi, drony, artylerię – w ilościach imponujących i także najwyższej jakości.

Silna, nowoczesna armia to duże koszty, ale politycy odpowiadający za nasze państwo nie mają wyjścia – podjęcie tego wyzwania to ich obowiązek. Zwłaszcza naród, który stanął na granicy biologicznego przetrwania, nie może odwracać

oczu od choćby potencjalnych zagrożeń. Ale liczące się w Europie siły zbrojne to także szansa na przełamanie „pułapki samotności”. Jeśli Polska stanie się wiarygodnym dystrybutorem bezpieczeństwa w regionie – a jest na dobrej drodze, by tak się stało – będzie to miało poważne skutki polityczne i gospodarcze.

Być może najkrótsza, najlepsza droga do Międzymorza biegnie właśnie tą ścieżką.

Jacek Karnowski

„Sieci” po raz 500.

Patrzę na ścianę w naszej redakcji, na której wiszą najciekawsze, najbardziej zapamiętane okładki tygodnika „Sieci”. To nie tylko kronika historii ostatniej dekady, ale też zapis naszych wspólnych trosk, radości, bitew o sprawy najważniejsze. Były wydania lepsze i gorsze, ale każde z nich zostało stworzone z maksymalnym zaangażowaniem, w każde włożyliśmy ciężką pracę, miłość do Polski, przywiązanie do wiary, tradycji, historii, troskę o każdego rodaka. Każdy artykuł był prawdziwy, za wiele tekstów ukazujących prawdę spadała na nas lawina brutalnych ataków. Przetrwaliśmy dzięki Państwu życzliwości, lojalności. Z serca za to dziękujemy. Pamiętamy o Państwie każdego dnia.

Wspólnym naszym dobrem jest nie tylko pismo, które ukazuje się dziś już po raz 500. Redakcja to bowiem także mózg społeczny, instytucja pracująca na rzecz wspólnoty. Tu są ludzie, którzy dla Polaków i z punktu widzenia interesu polskiego analizują rzeczywistość. Tu pracują wybitni autorzy, którzy opisują tematy kluczowe dla przyszłości Polski. Autorzy i redaktorzy w większości trwają od początku, choć niektórzy odchodzą, inni dołączają. Instytucja jednak trwa, kumuluje doświadczenia, rozwija kompetencje, działa coraz sprawniej.

Ten czynnik trwałości instytucjonalnej za mało jest doceniany po stronie popolskiej. Za często coś upada, potem jest zaczynane od nowa. Dzięki Państwu losy „Sieci” potoczyły się inaczej. Ale nic nie jest dane raz na zawsze. Dlatego obiecujemy dalej pracować z całych sił. Państwa prosimy o stałe, cotygodniowe bycie z nami, o propagowanie naszego pisma wśród znajomych. To dla nas największa pomoc.

Michał Karnowski





38

Czystka bez czystki
Stanisław Janecki



54

Pułapka elektryczności
Konrad Kołodziejski



66

Wieniawa, Wieniawa, Wieniawa
Wojciech Stanisław Grochowski

NA POCZĄTEK

- 6 SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 BAWIDAMEK EUROPEJSKI**
Krzysztof Feusette
- 9 PROGRAM PO WYBORACH?**
Dorota Łosiewicz
- 10 PORAZKA OKUDŻAWY I WYSOCKIEGO**
Jan Pietrzak
- 10 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 11 KRAINA BŁAZNA, CZYLI JOKERA**
Bronisław Wildstein
- 12 WALIZKA KATARZYNY CIEPIELEWSKIEJ**
Michał Korsun
- 14 OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 15 U PROGU REWOLUCJI FOTOWOLTAICZNEJ**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 16 KIEDY RASIZM I SZCZUCIE NA KOBIETY JEST SŁUSZNE**
Samuel Pereira

TEMAT TYGODNIA

- 18 POŻEGNANIE Z BRONIĄ**
Marek Pyza, Marcin Wikło

WOJNA ROSJI Z UKRAINĄ

- 24 DLACZEGO POLSKA I UKRAINA SĄ SKAZANE NA SIEBIE?**
Marek Budzisz
- 28 DZIŚ WCZEŚNIEJ ZACZĘLI**
Andrzej Skwarczyński
- 32 UKRAIŃSKI PUŁKOWNIK Z RZECZĄPOSPOLITĄ W DUSZY**
Jakub Augustyn Maciejewski

KRAJ

- 34 Z MICHAŁEM MOSKAŁEM**
rozmawia Michał Karnowski
- 38 CZYSTKA BEZ CZYSTKI**
Stanisław Janecki
- 42 PAŃSTWO CZY JASKINIA ZBÓJCÓW?**
Jan Rokita
- 46 MIESZKANIE PRAWEM, CZYLI UPADEK LIBERALNEJ DOKTRYNY**
Maciej Walaszczyk
- 50 PRACA ZDALNA Z NAMI ZOSTAJE**
Dorota Łosiewicz
- 54 PUŁAPKA ELEKTRYCZNOŚCI**
Konrad Kołodziejski

ŚWIAT

- 58 SCHYŁEK PONTYFIKATU?**
Grzegorz Górny

OPINIE

- 62 Z ALEKSEM SZCZERBIAKIEM**
rozmawia Goran Andrijanić

HISTORIA

- 66 WIENIAWA, WIENIAWA, WIENIAWA**
Wojciech Stanisław Grochowski
- 70 JAK ZAGRALI NA NOSIE SB**
Grzegorz Majchrzak

SIECI KULTURY

- 73 SIŁA FAMILII**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 76 TU CHODZI O MIŁOŚĆ**
Robert Tekieli
- 78 POLECA**
Łukasz Adamski

NATURA DLA LUDZI

- 86 ANGUILLA ANGUILLA, CZYLI TAJEMNICE WĘGORZA**
Przemysław Barszcz

KUCHNIA

- 90 MOJE SMAKI: ZOFIA KLAWINOWSKA**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 91 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

- 92 OBSESJA, FURIA, LANIE WODY**
Wojciech Reszczyński
- 93 NOWA SOLIDARNOŚĆ**
Aleksander Nalaskowski
- 94 TANIEC NA TRUMNACH**
Jan Pospieszalski
- 95 SKUTKI SZARIATU PIS**
Jerzy Jachowicz
- 95 Z WARSZAWY NA ŚWIATOWE SCENY**
Adam Ciesielski
- 96 KAMIEŃ MIŁOWE**
Ryszard Makowski
- 97 Z CYKLU „SZUKAJCIE, A ZNAJDZIECIE...”**
Leszek Długosz
- 98 STANDARD FAKTOODPORNOŚCI**
Katarzyna i Andrzej Zybortowiczowie



ODJECHANE RATY 0%

Teraz za OC/AC zapłacisz
w 4 ratach



Bank Polski
dzień dobry

PKO Bank Polski działa jako agent ubezpieczeniowy. Organizatorem promocji „Ubezpiecz auto na raty” jest bank. Promocja trwa do 30.06.2022 r. Płatność składki ubezpieczeniowej w ratach nie wiąże się z dodatkowymi kosztami. Szczegóły i warunki promocji w regulaminie.

www.pkobp.pl, infolinia: 800 302 302 brak opłat dla numerów krajowych na terenie kraju;
w pozostałych przypadkach opłata zgodna z taryfą operatora, +48 81 535 60 60 opłata zgodna z taryfą operatora

Sygnalista nadaje

Były poseł **Stefan Niesiołowski** został uniewinniony przez łódzki sąd. Zarzuty były poważne: według prokuratury w latach 2013–2015 Niesiołowski wielokrotnie przyjmował korzyści osobiste w postaci usług seksualnych w zamian za działania na rzecz spółek należących do zaprzyjaźnionych z nim biznesmenów. „W efekcie starań Stefana Niesiołowskiego spółki, operujące dotąd w branży restauracyjno-hotelarskiej, uzyskały intratne kontrakty na dostawy mialu węglowego i fosforytów dla Grupy Azoty Zakłady Chemiczne Police SA” – napisano w akcie oskarżenia. Cóż, to widocznie były prawdziwe uczucia.

Proces był prowadzony z wyłączeniem jawności, więc nie wiadomo, dlaczego były polityk uniknął wyroku skazującego. Śledczy nie mogą publicznie odnieść się do ustnych motywów decyzji podjętej nieprawomocnie przez sąd. Portal wPolityce.pl ustalił, że wyrok wydała sędzia Katarzyna Trafisz. Było o niej głośno, gdy w 2018 r. w jej obronie stanęło skrajnie upolitycznione stowarzyszenie Iustitia. Stało się tak po tym, jak pozbawiono ją wiceprezury Sądu Rejonowego dla Łodzi-Widzewa. Niesiołowskiego reprezentowała kancelaria adwokacka Ryszarda Kalisza, a działano zgodzie z doktryną Neumanna.

Posłanka Koalicji Obywatelskiej **Klaudia Jachira** zorganizowała w Sejmie happening: w czasie zaprzysiężenia prezesa NBP Adama Glapińskiego rozrzucała z galerii dla publiczności papiery imitujące pieniądze, protestując przeciwko inflacji. „Jachira jako aktorka grała w rosyjskim filmie propagandowym, a jako posłanka bro-

niła umowy z Gazpromem i teraz robi burdę w polskim Sejmie. Pasuje do swojej partii” – skomentował celnie dziennikarz Samuel Pereira. Jachirę Platforma po to właśnie wprowadziła do Sejmu, by niszczyła te resztki debaty i dialogu, które jeszcze się ostały.

Wyglup Jachiry poparł Donald Tusk. „Każde zachowanie, każde działanie, każdy apel, który skróciłby mękę Polaków, które są konsekwencją rządów Glapińskiego, jest godne pochwały. Nie mam żadnych co do tego wątpliwości” – mówił. A zapytany, czy to oznacza, że nie zamierza wyciągać konsekwencji wobec posłanki, stwierdził: „Zamierzam wyciągnąć bardzo poważne konsekwencje i doczekamy tego momentu, wobec Adama Glapińskiego”. Nie powinniśmy się dziwić: skoro państwo polskie wypadło z rąk „opiekunów” i nadzorców, to będą oni inwestowali w anarchię, nieład i liberum veto.

Donald Tusk podniósł sztandarowe hasło Nowej Lewicy i podpisał się pod sformulowaniem, że „mieszkanie jest prawem człowieka”: „Móc mieszkać w godnych warunkach to nie jest jakiś przywilej, to nie może być marzenie i dorobek całego życia. [...] Reprezentuję partię, która myśli o gospodarce, konkurencji, wolnym rynku, ale jestem przekonany, że dzisiaj gospodarczy liberałowie muszą także stanowczo i jednoznacznie powiedzieć sobie, że mieszkanie dla polskiej rodziny staje się jej prawem, a nie może być wyłącznie marzeniem albo towarem czy przedmiotem spekulacji korporacji”. Ofiary warszawskiej reprzywatyzacji raczej nie uwierzą.

Metropolita krakowski abp Marek Jędraszewski w homilii podczas mszy z okazji 73. rocznicy urodzin Jarosława i Lecha Kaczyńskich: „Świętej pamięci pan prof. Lech Kaczyński, prezydent Rzeczypospolitej Polski, od 12 lat spoczywający na Wawelu – coraz bardziej jasno widzimy to wszyscy – w swojej służbie narodowi i państwu, w swym oddaniu prawdzie, w swej trosce o własną wolność i o wolność Polski i Polaków królom był równy”. Tak było i bieg historii tę prawdę jedynie wzmacnia. A historia w takich sprawach nigdy się nie myli.

Co konkretnie miał na myśli Donald Tusk? Izabela Leszczyna, ekonomiczna twarz PO, tłumaczy: „Przewodniczącemu Tuskowi chodziło przede wszystkim o to, żebyśmy odczarowali to, że mieszkanie dla młodych ludzi, którzy chcą założyć rodzinę albo po prostu chcą się wyprowadzić, jest dostępne tylko dla tych, którzy pracują w dużych korporacjach, i to na wysokich stanowiskach, zarabiając kupę pieniędzy”. Dodała, że „chodzi o system dopłat – podobny program mieliśmy w 2014 r.”. Leszczyna przekonywała: „Mamy dzisiaj jeszcze lepsze pomysły, zapewniam. Jak wygramy wybory, przedstawimy szczegóły”. Czyli jednak nie poznamy tych pomysłów.

W czasie spotkania w Gołkowicach Górnych Tusk krytykował rzekomy „sojusz ołtarza z tronem”. Nawiązując do niedawnych słów ks. Krzysztofa Bielawnego na temat przyczyn spadku dzietności w Polsce, ocenił, że postulowane przez duchownego zakazy to program PiS: „[Ks. Bielawny] powiedział otwarcie, co PiS wprowadzi w Polsce, jeśli ponownie wygra wybory. Program jest bardzo prosty: zakaz rozwodów, zakaz środków antykoncepcyjnych, zakaz związków cywilnych poza tym tradycyjnym modelem i oczywiście pełny zakaz aborcji. Nie miejcie żadnych wątpliwości, że to nie są ekscesy czy incydenty”. Piękny pokaz cynizmu ze strony człowieka, który tym razem sprzedaje towar tak wyjątkowo nieswieży.

Prezes PiS **Jarosław Kaczyński** o Tusku wypowiedział się tak: „Sądzę, że przygotowuje coś w rodzaju wojny domowej w Polsce. Ten szok związany z utratą władzy, a myśleli, że Polską będą rządzić bardzo długo, doprowadził do zmian psychicznych i snucia planów, które z demokracją i praworządnością nie mają nic wspólnego, a muszą doprowadzić do ostrych konfliktów. [...] A apelowanie do Donalda Tuska i jemu podobnych jest kompletnie bezsensowne. To jest pewien stan psychiczny”. To widać gołym, nielekarskim okiem. Ale problem jest także z potencjałem intelektualnym: wszystko, co robi Tusk, robił już wcześniej. Od powrotu do kraju nie przedstawił żadnego świeżego pomysłu, wyłącznie stare suchary.

Szef PiS zrezygnował z funkcji wicepremiera i wrócił na Nowogrodzką, by poprowadzić partię do kolejnego zwycięstwa. Zastępcą premiera został szef MON **Mariusz Blaszczak**, który zdaniem Jarosława Kaczyńskiego „z całą pewnością zastąpi go znakomicie”. Padły także takie oto słowa: „I sądzę też, chociaż to nie jest jeszcze ten moment, w którym mogę to publicznie ogłaszać, że zastąpi mnie pod każdym względem, także jeżeli chodzi o wszystkie funkcje”. Wiele serc zabiło mocniej. Bo i słowa – jak na tak wielokontekstowy temat – dość konkretne.



Posel Platformy Obywatelskiej Artur Łacki opublikował w mediach społecznościowych nagranie lecącego śmigłowca, podał lokalizację i zażądał wyjaśnień od szefa MON: „Nad Rewalem przeleciały właśnie dwa helikoptery Chinook. Panie ministrze Blaszczak, proszę o informację”. Posel jest członkiem komisji spraw wewnętrznych, czyli osobą, która jak mało kto powinna wiedzieć, że podawanie lokalizacji sprzętu wojskowego i żołnierzy to działalność, na którą bardzo liczy Rosja. Pocieszne, ale i symboliczne: mamy czwarty miesiąc wojny, ale dziecinady wciąż sporo.

Inny poseł PO Mariusz Witczak jest członkiem polsko-argentyńskiej grupy parlamentarnej. Zapytany w RMF FM przez Roberta Mazurka, jak nazywa się obecny prezydent Argentyny, odpowiedział jednak: „Nie pamiętam”. W sumie słusznie, miłości do kraju i jego kultury nie powinny przesłaniać jakieś polityczne drobnostki. Prezydentem Argentyny jest od 2019 r. Alberto Fernández z Partii Justycjalistycznej, wywodzącej się z peronizmu.

Prokurator Ewa Wrzosek, która wątpliwie wsławiła się, wszczynając śledztwo w sprawie wyborów kopertowych, zaatakowała swoje koleżanki i kolegów z prokuratury, którzy postawili zarzuty Barbarze Kurdej-Szatan. Przypomnijmy: aktorka i celebrytka w wulgarny sposób znieważała strażników na granicy polsko-białoruskiej. Prokurator Wrzosek komentuje sprawę tak: „Nie tylko ja stawiam sobie pytanie, w jakim trybie prokuratura zajmuje się tymi sprawami. Znieważyc funkcjonariuszy SG można wyłącznie w związku i podczas wykonywania przez nich obowiązków służbowych. Jeżeli wyrażamy sobie opinię naszą, nie pochwalamy opinii wulgarniej, to mamy do tego prawo. To nie jest prawidłowa sytuacja”. Wrzosek nie spodobała się także akcja „murem za polskim mundurem”, ponieważ „była adresowana do tych żołnierzy zamaskowanych, chodzących z ostrą bronią, tych, którzy własnymi rękami przetrzucali chore dzieci przez granicę”. Lojalność wobec państwa bliska zeru, upolitycznienie krańcowe.

Organizatorzy tegorocznego marszu LGBT+ opublikowali grafikę informującą o tym, jakie organizacje i firmy będą paradowały w poszczególnych sektorach. Publicysta Wiktor Świątlik skomentował to tak: „Rusza marsz wykluczonych, zapomnianych i prześladowanych mniejszości seksualnych. Wspierają go nieliczni, np. Netflix, Goldman Sachs, JP Morgan, Procter & Gamble, Citibank, Universal, MTV, Microsoft, Unilever, Coca-Cola”. To jedno z największych oszustw naszej epoki: ci, którzy rządzą i coraz częściej gnębią, udają ofiary. W tle pytanie: czy takie zakłamanie może trwać wiecznie?

Słyszałem, że Trzaskowski chce zostać unijnym komisarzem. A po wyborach, jeśli zmieni się władza, to Donald Tusk jako premier będzie decydował, kogo tam wysłać z Polski. Rafał spuścił z tonu po aferze z »dupiarzem«

(anonimowy polityk PO,
„Wprost”, 20.06.2022)

– **Halo? Pan przewodniczący?**
– Zależy, kto mówi...
– **Miasto stołeczne Warszawa...**
– Witajcie, kolego dupiarzu!
– **Oj, raz mnie poniosło...**
– Chyba przerosło? Daliście się podejść jak dziecko. I jeszcze pewnie myślicie, że to moje dzieło. A co ja jestem, jakiś guru Wojewódzkiego? Czy ja mu dawałem do organizacji koncerty za unijne pieniądze? Zaraz jeszcze powiecie, że mnie w TVN faworyzują. Sami widziecie, ile smrodu może narobić jedno nieopatrzone słowo lub zdanie? Na przykład: „Tuska nie ma już w polskiej polityce”? Albo „Byłem...”, zresztą sami wiecie, kim byliście. A że do was akurat to określenie pasuje, chociaż w innym sensie, to będziecie tak nazywani.

– **I co ja mam teraz zrobić? Przecież ja miałem plany!**
– Ochłońcie i zredukujcie oczekiwania. Układ jest prosty. Po pierwsze, robicie sobie swój campus, ale TVN przyjeżdża tylko wtedy, kiedy ja na nim jestem. Po drugie, wszelkie próby podważenia przywództwa w partii zakończą się dla pana „D” kopniakiem w ulubioną część ciała. Na wszelki wypadek przypominam: jedna lista, jedna opozycja, jeden Tusk, to znaczy lider.

– **Ale przecież ja nie podważam...**
– Mierzcie siły na zamiary, na paletach kwiaty nie rosną. Przyszanujcie, że zarówno ja osobiście, jak i cała nasza formacja jesteśmy waszą postawą ogromnie rozczerowani. I stąd właśnie nasza propozycja, byście kontynuowali swoją wspaniałą karierę polityczną, ale poza krajem.

– **Ale przecież ja miałem być prezydentem!**
– I jesteście.
– **Chodziło o głowę państwa!**
– Co komu chodziło po głowie, to ten tylko się dowie, kto to stracił, że przytoczę słowa poety. Czytujecie poezję?
– **Tak, o sznurze i gałęzi zwłaszcza.**
– Widziecie, wy sobie kpicie, a wasza sytuacja jest jak muzyka Chopina – bardzo poważna. Ta łątka mocno się do was przykleiła. Bardziej przydadcie się ojczyźnie na odcinku europejskim.

– **Ja?**
– Wy. Nadacie się. Oporów nie macie, rezolucje przeciw Polsce już żeście w Brukseli pisali. U von der Leyen ze-

Bawidamek europejski



KRZYSZTOF FEUSETTE

brałście, żeby wstrzymała wypłatę pieniędzy, tęczowi jesteście, a przynajmniej otwarci, w stopniu wystarczającym. Odseparujecie się od tego syfu. To kim byście chcieli zostać?

– **No, nie wiem... Jak w Brukseli, to może kimś na „k”?**

– Mało wam „dupiarza”?!

– **Ale mnie chodzi o komi...**

– Kominiarza? Oni szczęście przynoszą, nie pecha. Wiem! Chcecie być komikiem!

– **Komisarzem!**

– Kim?

– **Ko-mi-sa-rzem. Europejskim.**

– W porządku. Już sobie zapisałem. W głowie.

W takim razie ja wam to oficjalnie obiecuje, czyli macie moje słowo. A moje słowo dzisiaj jest jeszcze więcej warte niż moje słowo wczoraj. Prezydencie stolicy, mianuję was, na razie drogą telefoniczną, jego magnificencją ekscelemcją komisarzem europejskim. Bravo!

– **A co będę robił?**

– Skąd mam wiedzieć? No, stańcie sobie przed lustrem i powiedzcie: „Dzień dobry, mówi komisarz...”

– **...Cattani!**

– O, widziecie? Świetny przykład! Bo nie każdy może być komisarzem. Język znacie?

– **Jaki?**

– Zagraniczny.

– **Oczywiście.**

– Bardzo dobrze. Ominie was udręka przyspieszonego kursu dla zaawansowanych wiekowo. „Good morning, mister Junker... Guten morgen, frau Angela... Bonjour, monsieur Macron...”. I tak w kółko. Po trzech latach dopiero odważyłem się powiedzieć, co myślę. I wiecie, co?

– **No?**

– Do dziś żałuję. Bo jak mówiłem, że jestem przeciw polityce Merkel, to wszyscy zrozumieli, że ją popieram, bo dla mnie jej rządy w Niemczech były „błogosławieństwem dla Polski i Ukrainy”. A mnie się, po prostu, słówka pomyliły. Wy jesteście biegli?

– **Jak najbardziej.**

– E, tam, jak wam Europa zaszumi w głowie, to zapomnicie, komu to wszystko zawdzięczacie, a na końcu języka w gębie. Trzeba będzie w Polskę po europejsku przywalić, to wam rurociąg zmieknie. O, np. jak byście po niemiecku powiedzieli: „Dla Polski”?

– **Fiur Dojszland.**

– No i fajnie. Czyli że się do was odezwiemy, jak tylko coś się zwolni. Aha, i na tym campusie uważajcie na siebie. Ruki po szwam, a ręce przy sobie. Bo wiecie, jak to mówią. Prędej od zera do milionera niż z dupiarza – komisarza. Bez odbioru.

Program po wyborach?

Tusk uważa, że odsunięcie PiS od władzy to program pozytywny i najlepsza możliwa oferta

Niemal rok od powrotu Donalda Tuska z Brukseli PO wciąż nie ma spójnego programu (tylko tyle, ile zwędzi innym partiom). W sondażach też nie ma szału. Tusk co prawda uratował partię przed rozpadem, ale nie rozpedził jej tak, jak liczyli wyznawcy. Coraz brutalniej gra za to wobec opozycji, domagając się wspólnej listy w wyborach.

Trudno się jednak dziwić, że liderzy opozycyjnych ugrupowań pozostają sceptyczni wobec takiego planu, bowiem sposób perswazji ze strony lidera Platformy jest co najmniej dyskusyjny. Pół roku temu pisałam, że największym potencjalnym beneficjentem jednej listy będzie nie kto inny, tylko Donald Tusk właśnie. Dla większości mniejszych ugrupowań: Koalicji Polskiej, Polski 2050 i Nowej Lewicy utworzenie wspólnej listy z PO to misja samobójcza. W takim układzie z mniejszych ugrupowań w przyszłym Sejmie, o ile faktycznie udałoby się wybory wygrać, zostałyby ogryzki ze znacznie zmniejszoną – w stosunku do dzisiejszej – reprezentacją i bez dostępu do państwowych subwencji. Podczas spotkania z młodzieżą w Gołkowicach Górnych lider PO przyznał, że tak właśnie będzie: „Dzisiaj największym problemem jest to, że myślenie taktyczne przeważa nad myśleniem strategicznym, jeśli chodzi o niektórych liderów partyjnych. I to taktyczne każe im liczyć nie głosy, dzięki którym Polska zostanie wyzwolona od PiS, tylko skupiają się na tym, ile głosów dostaną ich ludzie. – Ja uważam to za fundamentalny błąd w myśleniu – mówił młodym wyborcom Tusk. – A im proponuję, i to jest propozycja, która kosztuje mnie dużo nerwów i zdrowia, wspólną listę, bo wiem, że taka lista dostanie najlepszy wynik i tu nie trzeba żadnych filozofii, oni mogą to zaklinać na różne sposoby, ale zjednoczona opozycja wygra wybory bezdyskusyjnie. Mój apel do koleżanek i kolegów z innych partii: »Przestańcie siebie i innych oszukiwać. Wy na tym też nie straciecie. Może straciecie jakąś pozycję we własnych partiach, ale jako środowiska polityczne – wszyscy na tym zyskają« – wątpliwie zachęcał lider PO. – Wszyscy ludzie to tak naprawdę rozumieją. Oprócz kilkudziesięciu najbardziej

aktywnych polityków w niektórych partiach to członkowie ich partii, wyborcy dokładnie to rozumieją. Ale za każdym razem, gdy mówię: »Pogadajmy o jednej liście«, słyszę od jednego lub drugiego: »Nie ma mowy o jednej liście«. [...] Największą wadą tych ich różnych kalkulacji jest to, że oni nie chcą wygrywać. Może dlatego, że się od wygrywania trochę odzwyczaili. A ja chcę bardzo wygrać te wybory» – przyznał Donald Tusk.

Czy te słowa mogą kogoś zachęcić do współpracy? Liderzy partii opozycyjnych dostali jasne potwierdzenie: tak, straciecie mandaty, straciecie wpływy we własnych partiach. Sam Donald Tusk im to obiecał. Co więcej, lider partii, która od lat wyłącznie przegrywa, zarzuca innym, że odzwyczaili się od wygrywania. Tymczasem partia Włodzimierza Czarzastego i Roberta Biedronia w 2019 r. powróciła do Sejmu po czterech latach nieobecności, co jednak należy uznać za sukces.

Jakby tego było mało liderzy opozycji usłyszeli, że są kimś na kształt niekumatych przyglupów, bowiem nie rozumieją tego, co rozumieją wszyscy inni, czyli że wspólna lista wygrywa. Z tym że i to nie musi być prawdą. Przykład węgierski i wybory do Parlamentu Europejskiego pokazują, że jedna lista nie musi być sukcesem. Socjologowie tłumaczą, że elektoraty nie sumują się matematycznie i część wyborców w przypadku jednej listy może po prostu zostać w domu przed telewizorem, nie znajdując dla siebie oferty.

Tymczasem Tusk uważa, że odsunięcie PiS od władzy to program pozytywny i najlepsza możliwa oferta. A co, jeśli wyborcy zechcą konkretów? Tu z odpowiedzią spieszy Izabela Leszczyna, która zapewnia: „System podatkowy, który zaproponuje PO, będzie stabilny, prosty i sprawiedliwy. Sprawiedliwość będzie polegała na tym, że mniej zarabiający zapłacą zdecydowanie niższe podatki niż ci, co zarabiają więcej” – powiedziała posłanka PO w Radiu Plus. A co, gdyby wyborcy chcieli znać więcej szczegółów? „Mamy dzisiaj jeszcze lepsze pomysły, zapewniam. Jak wygramy wybory, przedstawimy szczegóły” – obiecała polityk. To może wyborcy zagłosują po wyborach?

Dorota Losiewicz



I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Porażka Okudźawy i Wysockiego

To, co wyprawiają Rosjanie na Ukrainie, w dużym stopniu unieważnia twórczość dwóch moskiewskich bardów z czasów ZSRS, którzy i w Polsce cieszyli się sporą popularnością. Patrząc na barbarzyńskie poczynania rosyjskiego wojska, widzimy, że pacyfistyczne, humanistyczne przesłania ich piosenek obce są obecnemu pokoleniu Rosjan... O żołdatkach, którzy nie wrócili z boju, o maszerujących butach, o papierowych żołnierzach, o trzech wojnach... i ten szlachetny, jak wtedy się zdawało, apel, by „wybaczyć piechocie”!

Należy przypomnieć, że donośny, antywojenny ton wprowadził do mediów poeta Jewtuszenko w wierszu „Chotiat’ li russkije wojny?”. Jeździł z tym wierszem po demoludach, również po Zachodzie jako sowiecki gołąbek pokoju. A były to lata zdławienia węgierskiej rewolucji, wyścigu zbrojeń atomowych, kryzysu kubańskiego i hojnego wspierania zachodnioniemieckich demonstrantów pod hasłem „Ami, go home”. Od tamtego czasu oszustwo o pokojowych intencjach Kremla zostało wielokrotnie zdemaskowane. Wielkoruski szowinizm



**Jan
Pietrzak**

jawnie zastąpił ideologię internacjonalistycznego komunizmu. Już nie chce im się ukrywać, że lubią łupić i wyzyskiwać narody, których jedyną winą jest to, że mieszkają zbyt blisko. Afganistan, Osetia, Abchazja, Naddniestrze, Czeczenia, Krym...

Czy trwająca na naszych oczach dzika napaść na Ukrainę ma jakikolwiek związek z kulturowymi wartościami, które przypisywano rosyjskim twórcom? Antypolska opozycja w Polsce chętnie bierze głos przeciw bojkotowi rosyjskiej kultury w naszym kraju. A to sami Rosjanie swoimi czynami odrzucają pozytywne wartości istniejące w dziełach kilku artystów, którzy im się w historii trafili. „Poznacie ich po owocach” – czytamy w Biblii. „Nie może dobre drzewo rodzić złych owoców. Ani złe drzewo rodzić dobrych owoców”. Bulata Okudźawę, który pierwszy raz w Polsce występował na scenie teatru Hybrydy w 1962 r., zawiadamiam w zaświatach, że rosyjskiej piechocie nie wolno niczego wybaczać. Jest armią okrutnych morderców, pozbawionych ludzkich odruchów. Chyba że za ludzki odruch uznamy kradzież sedesu, zgwałcenie dziecka, zrujnowanie miasta...

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Módlmy się o zdrowie Bidena

Swiatowe media z lubością opowiadają o złym stanie zdrowia Władimira Putina. Podobnie jak wszyscy rozsądni ludzie z przyjemnością o tym czytam z nadzieją, że jak ten bandyta zdechnie, to jego następca będzie w stanie zatrzymać tę szaleńczą wojnę, dojść do jakiego porozumienia z Ukrainą i z Zachodem, wycofać się z imperialnych pomysłów poprzednika. Oczywiście wiem, że żaden rosyjski polityk z kręgu władzy nie będzie mógł całkiem zrezygnować z obecnej linii Kremla (bo to by oznaczało jego koniec), ale każdy krok wstecz jest lepszy od tego, co obecnie robi Putin.

O ile jednak ewentualna choroba prezydenta Rosji (już nawet nie wiem, o jakie przypadłości się go podejrzewa, trudno tę listę spamiętać) wcale mnie nie martwi, to niepokoi mnie stan zdrowia prezydenta USA Joe Bidena. Prezydent USA, pełniący „z urzędu” (bo przecież nie za zasługi) rolę przywódcy wolnego świata, robi wrażenie kompletnego dementa. Amerykanie – w odruchu niechęci wobec Donalda Trumpa – wybrali jednego konkurenta, jakiego mieli, który niestety nie jest w pełni sił fizycznych i umysłowych. Potrafi przewrócić się parokrotnie na schodkach prowadzących do Air Force 1, ale też upaść na rowerze bez powodu. Niestety, można podejrzewać, że również raz po raz podobnie upada

intelektualnie, o czym wiemy mniej, bo przecież otoczenie Bidena (podobnie jak otoczenie Putina) o marnej kondycji umysłowej przywódcy nikogo nie poinformuje.

Dla wolnego świata to jest tragedia. Zarówno obecnie, kiedy zdementały Biden być może podejmuje decyzje nieodpowiedzialne, szkodliwe i po prostu głupie (obym nie miał racji), jak i w przyszłości, kiedy – jak wróżą analitycy polityczni w USA – odejdzie ze stanowiska z powodu złego stanu zdrowia, a jego funkcję przejmie Kamala Harris. Z punktu widzenia ideologicznych szaleńców jest lepsza, bo nie jest starszym białym mężczyzną z doświadczeniem służby w armii, ale znacznie młodszą, czarnoskórą, lewą ideolożką bez poważnego doświadczenia politycznego.

Zdemenciały Biden jest jednak wciąż lepszy od opętanej wariacką ideologią pani Harris. On przynajmniej nie będzie chciał dogadać się z Putinem. Czego nie możemy wykluczyć w przypadku jego rezygnacji. Obyśmy nie musieli tego sprawdzać. A więc módlmy się o zdrowie i kondycję Bidena. Niezależnie od tego, jak bardzo mu nie ufamy.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl



**Dominik
Zdort**

BRONISŁAW WILDSTEIN

Kraina błazna, czyli jokera

Plac Powstańców Warszawy, godz. 18. Wychodzę z gmachu TVP Info z dwoma uczestnikami programu, specjalistami od polityki międzynarodowej, z którymi dyskutowałem o konsekwencjach agresji rosyjskiej dla UE. – Pójdźcie siedzieć! – krzyczy, gestykulując młody człowiek, który przechodzi obok. Pytam, jak uzasadnia swoją radykalną tezę. Trochę głupiej i zaczyna opowiadać, że telewizja publiczna szczuje. – Za moje pieniądze! – woła i zapala się znowu. – Czy uważa pan, że istnienie telewizji publicznej jest przestępstwem? – pytam. – Ale nie takiej! – wrzeszczy, bo wraca do bezpieczniejszej dla siebie poetyki. Konkretem jest w niej jedynie więzienie dla – jak wynika z sytuacji – wszystkich, którzy odważą się przekroczyć próg TVP w trakcie rządów PiS.

Młody człowiek, jak można sądzić z tego, co z siebie wyrzuca, uważa się za światłego Europejczyka i uznaje, że napastowanie znacznie starszych od siebie, obcych mu ludzi stanowi wyraz jego obywatelskiej powinności. Ukształtowały go lata totalnej propagandy, która wbijała w niego, że wyborcy PiS to podludzie, a akceptujący jego władzę nadają się wyłącznie do więzienia.

Groźby takie powinny kompromitować tych, którzy ich używają. To nie tylko zakwestionowanie fundamentu demokratycznych reguł, ale elementarnego porządku zachodniej cywilizacji. To właściwie przestępstwo, którym jest groźba karalna. Oficjalne deklaracje, że miejsce przeciwników politycznych jest w więzieniu, oznacza wezwanie do ich eksterminacji, a fakt, że traktujemy je jako nic nieznaczącą retorykę, demonstruje zapaść polityczną i cywilizacyjną, do której prowadzi totalna opozycja.

Wyobraźmy sobie, że np. w 2014 r. ważny polityk PiS ogłasza w mediach, że po wygranych przez nie wyborach do więzienia zostaną wsadzeni zarówno politycy rządzącej koalicji, jak i wspierający ją dziennikarze. Oburzeniu (słusznemu) nie byłoby końca, a w sprawie zdążyłyby wypowiedzieć się wszelkie autorytety europejskie. Dziś zachowania takie są prezentowane jako słuszny wyraz protestu przeciw niewłaściwie wybranym.

W „zaprzyjaźnionym” radiu TOK FM lider Koalicji Obywatelskiej Borys Budka deklaruje, że zarządzający obecnie spółkami Skarbu Państwa „muszą iść do więzienia, tutaj jest system zerowyjowy, jeżeli ludzie nie zobaczą, że w przyszłości, jeśli ktoś postąpi podobnie, to trafi za kratki, to znowu historia kiedyś zatoczy koło. [...] Dlaczego nierozliczenie kogoś powoduje, że ten ktoś może wrócić ze zdwojoną siłą? To, co Zbigniew Ziobro robi teraz w wymiarze sprawiedliwości, to

konsekwencja tego, że nie został rozliczony i takiego błędu nie można znowu popełnić”. Budka pomija to, że po wyborczym sukcesie PO w 2007 r. przeciw politykom PiS, głównie tym, którzy walczyli z korupcją, przeprowadzono wielką sądową nagonkę, a Ziobrze wytoczonych zostało kilkadziesiąt spraw. Sprzyjający PO sędziowie, nie znajdując jednak nawet cienia uzasadnienia, odstępowali od wyroku. Wyjątkiem okazał się skazujący Mariusza Kamińskiego Wojciech Łączewski. Ale jeden sędzia nie zaspokoi pragnień Budki. Dlatego nie mówi on o procesach – zapowiada więzienie. Odgrza się nim lider partii, która w PE ulokowała postacie peerelowskiej nomenklatury.

Chodzi także o dziennikarzy. „[...] trafiają do więzienia, trafia na ławę oskarżonych i to musi być rozliczone. Nie może być tak, że ktoś idzie do mediów publicznych, robi tam karierę i zarabia olbrzymie pieniądze, jest młodym adeptem sztuki, który chce być dziennikarzem, trafia pod skrzydła Jacka Kurskiego, Samuela Pereiry, Jarosława Olechowskiego, tego typu ludzi, i on później, po kilku latach, będzie udawał, że nic się nie stało”.

Wezwanie do zamykania dziennikarzy jest pełnym *horrendum*. Budka ma jednak rozwiązanie. To on określi, kto dziennikarzem jest. „Już wiem, jakie będzie poruszenie, że Budka chce dziennikarzy rozliczać. Nie, żaden dziennikarz nie będzie rozliczony, ale ktoś, kto nie jest dziennikarzem, ktoś, kto odpowiada za tę falę nienawiści w Polsce, nie powinien nigdy wykonywać tego typu zawodu”.

W trakcie walki na słowa, która rozgrywała się wokół Sejmu Czteroletniego, kasztelan Jezierski zagroził „palem na rękę piszącego paszkwile”. Ich autor, Franciszek Zabłocki, odpowiedział mu kolejnym tekstem, w którym czytamy: „Błźnie! czy to nie w wolnym kraju żyjem, błźnie, / Żeby ci prawdy mówić nie można wyrażnie? / I jak śmiesz, błźnie, palem ręce straszyć czyje, / Gdy już naród na twoją wyrok pisze szyję? / Błźnie! to ty żyć możesz pod plamą nieczystą, / Dla wszystkich ludzi oszust, sobie egoistą, / Żyć możesz, lotrze, w zacnym radnych siadysz rzedzie, / Służyć zdrajcom ojczyzny za zdrady narzędzie?”.

Czasy mamy łagodniejsze i już nie palem, ale wyłącznie więzieniem straszeni są krytycy. Warto jednak pamiętać, że błazen, czyli joker, to figura wprowadzie śmieszna, ale i złowroga.





Walizka Katarzyny Ciepielewskiej

prezenterki telewizyjnej i radiowej

Jeżeli chodzi o podróżowanie, to zawsze lubiłam i lubię ciepłe kierunki. Numer jeden to Włochy, do których planuję w przyszłym roku dłuższą podróż ze swoimi dziećmi. Chciałabym z nimi zwiedzić ten kraj wzdłuż i szerz, dotrzeć do takich zakątków, gdzie miejscowi niekoniecznie mówią po angielsku, a gdzie przydadzą się moje lekcje włoskiego. Takim przykładem jest Sycylia, na której spędziłam dwa tygodnie. W małym miasteczku wynajęliśmy mieszkanie i okazało się, że włoski to jedyna forma komunikacji. Chciałabym też wrócić do Barcelony, którą parę ładnych lat temu schodziłam po kilkadziesiąt kilometrów dziennie. Podczas pandemii jednak miałam okazję się przekonać, jak piękna jest Polska. Kiedyś ograniczałam się tylko do dwóch kierunków: zimą w góry na narty, latem nad morze. Polskie wybrzeże poznałam całkiem nieźle. Nawet w kilka tygodni przejechałam je całe kamperem. Ale moim ostatnim odkryciem są magiczne Bory Tucholskie, gdzie odwiedzamy stadninę koni. Chcę swoich synów зараzić bakcylem jazdy konnej. Na razie najlepiej odnajdują się we wspólnym zdobywaniu dzikich miejsc samochodem terenowym.

PIĘKA NOŻNA

Uwielbiam piłkę i w nią gram. Mimo że kilka lat temu złamałam nogę w kostce, pasja nie minęła. Jestem wiernym kibicem naszej drużyny narodowej, ale najbardziej lubię ligę angielską. Żeby dobrze kibicować, niezbędny jest szalik. Obok szalika w barwach narodowych jako lokalna patriotka mam m.in. szalik Legii. Można mnie spotkać na stadionach, a raczej usłyszeć, bo na meczach zdzieram gardło.



BUTY SPORTOWE

Bieganie zaczęło się po urodzeniu drugiego dziecka. Kilka kilometrów wieczorem to przyjemny dystans i oderwanie myśli od pracy. Mój rekord to 15 kilosów.



BUTY

Miłość do butów to też moje przekleństwo. Często nie potrafię się powstrzymać przed zakupem kolejnej „wyjątkowej” pary. Mam ich mnóstwo, czasem łapię się na tym, że do nich mówię. Takie moje małe trzymane w tajemnicy szaleństwo...





MUZYKA

Razem z Łukaszem Sobolewskim w radiowej Trójce prowadzimy audycję „Ona, on i pewien bardzo wyjątkowy gość” i zaszczepiamy sobie nawzajem i – mam nadzieję – również słuchaczom nowych artystów, których przedtem nie słuchaliśmy. Dlatego przekrój muzyczny jest bardzo szeroki.



- Andrea Bocelli – po 35. urodzinach zaczęłam słuchać takiej muzyki i się odnajduję. Zwłaszcza przy prasowaniu. Widać musiały do tego dojrzeć!

- IRA

– wszystkie płyty i wszystkie kawałki znam na pamięć. Jest to ewenement, jeżeli chodzi o nasz polski rynek i scenę muzyczną. Chłopaki się nie starzeją, a każdy ich kawałek jest moim nr 1.



- Amy Winehouse – nieodżałowana. Drugiego takiego głosu nie było ani nie będzie.



- Sting – uwielbiam go nie tylko za to, jak śpiewa, ale także za to, że kocha Polskę i często u nas gości. I nawet trochę mówi po polsku. Niedługo jego koncert. Idę!



SŁUCHAWKI

Do biegania, do słuchania muzyki w busie, żeby nikomu nie przeszkadzać, do oglądania filmów bez straszenia innych pasażerów... bo uwielbiam horrory.

GRY

Uwielbiam planszówki i kalambury. Gram z synami, którym teraz zaszczepiam Masterminda, a także z przyjaciółmi – w ambitniejsze gry. Doskonale dopełnienie dnia i pomysł na bycie razem.



WĘDKOWANIE

W pandemii pojechałam pierwszy raz na ryby i od razu złowiłam złotą rybkę! Jak w bajce wypowiedziałam trzy życzenia i oczywiście ją wypuściłam. Do tej pory spełniła moje dwa marzenia, czekam na trzecie.



KUCHNIA

Uwielbiam gotować i piec, ale jeszcze bardziej od pieczenia wolę dekorować. Sama robię od wielu lat torty dla najbliższych, które ozdabiam lukrową masą. Robienie takich słodkich cudów jest moim hobby.

KENZO

Mam psa japońskiej rasy Akita. Tak (od szczeniaka) zaczęła się moja fascynacja wschodnią kulturą, jej kuchnią, a także samym psem. Żeby go lepiej zrozumieć, dużo czytam o samej rasie, bo te psy trudno jest wychować. Nawet karmienie bywa problematyczne. Choć niejadek to najlepszy kompan na świecie.



PODUSZKA

Uwielbiam spać. Po ciężkich dyżurach – kiedy mam poranki lub późne wieczory w studiu – sen jest moją ulubioną formą relaksu. Znajomi się śmieją, że potrafię zasnąć w trzy sekundy. Ta poduszka wielokrotnie mnie uratowała przed kompromitacją, bo potrafię zasnąć na tzw. glonojadę, będąc opartą nosem o szybę w samochodzie lub busie.



LEKTURA

Dużo czytam, a to jest książka na mój najbliższy wyjazd.



Wysłuchał i zapisał **Michał Korsun**

OGNIEM NA WPROST

Pieskie życie na żołdzie Łukaszenki



Temat, o który staram się dbać, czyli okręg królewiecki. Celowo nie używam powszechnej nazwy „kaliningradzki”, ponieważ pochodzi od Michaiła Kalinina, zwanego w stalinowskiej propagandzie „wszechzwiązkowym starostą”. Faktycznie pełnił nawet funkcję przewodniczącego Prezydium Rady Najwyższej ZSRS, ale w rzeczywistości miał niewiele do powiedzenia, gdyż z natury rzeczy był po prostu niezdolnym do intryg durniem (ros. durak). Jednak jego podpis widnieje pod listami katyńskimi, co kwalifikuje go jako zbrodniarza-mordercę. Obecny gubernator okręgu Anton Alichanow już wielokrotnie obiecywał swoim poddanym złote góry mimo międzynarodowych sankcji. Ale jak do tej pory nie został przywrócony przygraniczny ruch z Polską, a połączenia lotnicze z moskiewską metropolią znacznie się wydłużyły w związku z blokadą powietrzną i ceny biletów horrendalnie wzrosły. Ruski na tym terenie poczuł się osaczony. Teraz Litwa w ramach sankcji zablokowała transport przez jej terytorium niektórych towarów do okręgu królewieckiego. Mieszkańcy w panice rzucili się masowo do sklepów wykupywać pewne towary, m.in. materiały budowlane, cement i wyroby metalowe. Media społecznościowe obiegly nagrania obrazujące istne oblężenie magazynów. Gubernator i Kreml zapowiedziały działania odwetowe. Odezwała się niestroniąca od alkoholu (słynne opowieści o ukraińskim barszczu wygłaszane „pod wpływem”) rzeczniczka MSZ Maria Zacharowa w rozmowie z „drugim podobnym” – Władimirem Sołowiowem: „Władze Litwy muszą zrozumieć, że decyzyja o wstrzymaniu tranzytu towarów do obwodu kaliningradzkiego pociągnie za sobą konsekwencje”. A ja wam powiem od siebie: co do konsekwencji,

o których wspomina Zacharowa, to pragnę zauważyć, że jak się, szanowna pani, za dużo wypije, to następnego dnia kac może męczyć jak cholera. A tak poza tym – możecie Litwinom i nam skoczyć!

Pseudodziennikarskie kreatury z Kremla powoli odsłaniają karty. Margarita Simonian, pełniąca funkcję redaktor naczelnej telewizji Russia Today, będącej tubą propagandową Putina, w szczerych do bólu słowach ujawniła rosyjską strategię walki ze światem za pomocą głodu. W trakcie jednego z paneli w ramach odbywającego się w Sankt Petersburgu Międzynarodowego Forum Ekonomicznego Simonian w szokujących słowach przedstawiła strategię putinowskiej Rosji wobec zachodnich sankcji nałożonych na ten reżim. „Wiecie, jest taki bardzo cyniczny żart, albo raczej wołanie, w Moskwie słyszałam to już kilka razy od różnych osób. Brzmi tak: »Cała nasza nadzieja jest w głodzie«” – mówiła z uśmiechem na ustach propagandystka putinowskiego reżimu. Zdaniem Simonian wolny świat przyciśnięty głodem będzie zmuszony znieść sankcje nałożone na Rosję. „I znowu będą naszymi przyjaciółmi, bo zrozumieją, że to konieczne” – skonstratowała cynicznie Simonian. Słuchaj, kobieto, damy sobie radę bez was. Amerykanie zbudują u nas silosy, a nawet Węgrzy obiecali już, że przepuszczą transporty ukraińskiego zboża przez swoje terytorium. Nie wspominał nawet o Rumunach, do których pszenicę można spławiać z Ukrainy kanałami. Do tego jeszcze przeciwookrętowe rakiety, żeby wam trochę przerzedzić czarnomorską

flotę, której jedynym sukcesem jest jak do tej pory blokada ukraińskiego wybrzeża. A tak nawiasem mówiąc, nie jest z wami dobrze, skoro jedyną nadzieję na wygranie tej wojny pokładacie w sprowokowaniu światowego głodu.

Od kolchoźnika, czyli „prezydenta” Białorusi, zwiewają nawet psy. Owczarki belgijskie to sprawdzony na wojnach zwierzęta bojowe. Szuka min, ostrzega przed wrogiem, a jak trzeba, to i uwalic przeciwnika potrafi. W Afganistanie kilka takich piesków zostało nawet odznaczonych. Ale w służbach białoruskich nie docenia się tego skarbu natury. Stwierdził to białoruskiej straży granicznej. Za każdym razem do Polski. Ponieważ do trzech razy sztuka, to po ostatniej zrywce został już na stałe po naszej stronie granicy. Owczarek belgijski, który ma około ośmiu lat, najpierw trafił do polskich strażników granicznych, a potem do wolontariuszy. Okazało się, że na Białorusi zwierzę było bite i niedożywione. Zwierzak miał poważne choroby skóry. Wolontariusze mają informacje, że białoruska straż nie dawała mu karmy, tylko chleb z wodą. Pies miał być też kopany, jeśli nie wykonywał poleceń. Teraz ma jak u Pana Boga za piecem. Uczy się polskich komend i wreszcie odetchnął. Nawet psy nie chcą pieprzonego rosyjskiego miru, tylko uciekają od swoich właścicieli. Byle dalej od tego świata, jaki zbudowali sobie po komunizmie za naszą wschodnią granicą.

Andrzej Rafał Potocki

U progu rewolucji fotowoltaicznej

Od 1 kwietnia br. obowiązuje nowelizacja przepisów ustawy o OZE. Nowe regulacje prawne promują wykorzystanie odnawialnych źródeł energii w formule rozproszonej, modyfikując system wsparcia prosumpcji przez stworzenie warunków do szerszej partycypacji społeczeństwa.

Pojęcie prosumenta w odniesieniu do OZE oznacza osobę, która produkuje energię elektryczną i jednocześnie ją konsumuje – użytkuje na własne potrzeby za pomocą mikroinstalacji z możliwością jej magazynowania i przekazywania nadwyżki do sieci energetycznej. Wysokość produkcji może pozwolić nawet w pełni zaspokoić potrzeby gospodarstwa domowego.

Koszty energii elektrycznej ponoszone przez prosumentów są niższe w porównaniu do konsumpcji z sieci. Nowe rozwiązania ustawowe, umożliwiając korzystanie ze wsparcia energetyki prosumenckiej przez grupy odbiorców energii, które dotychczas nie miały takiej możliwości, wprowadzają wariant „prosumenta zbiorowego energii odnawialnej” służący budowie i eksploatacji instalacji odnawialnego źródła energii (OZE) w budynkach wielolokalowych. Model prosumenta zbiorowego jest przeznaczony dla mieszkańców bloków lub kamienic, którzy wspólnie tworzą wspólnoty mieszkaniowe i spółdzielnie. Wprowadza on możliwość udziału mieszkańców w produkcji energii z paneli znajdujących się na dachu budynku lub w jego bezpośrednim sąsiedztwie stanowiącym część wspólną zarządzaną przez właścicieli lokali. Każdy z prosumentów zbiorowych może posiadać określony udział w instalacji, a odpowiednia część wyprodukowanej energii będzie przypisana do konkretnego prosumenta.

Wedle nowych przepisów prosumentem zbiorowym energii odnawialnej może być odbiorca końcowy wytwarzający energię elektryczną wyłącznie z odnawialnych źródeł energii na własne potrzeby w mikroinstalacji lub małej instalacji przyłączonej do sieci dystrybucyjnej elektroenergetycznej za pośrednictwem wewnętrznej instalacji elektrycznej budynku wielolokalowego, w której znajduje się punkt poboru energii elektrycznej tego odbiorcy. Prosument zbiorowy nie może czerpać korzyści materialnych ze sprzedaży energii do sieci. Do jednego punktu poboru energii można przypisać moc elektryczną instalacji OZE, która nie przekracza mocy umownej ustalonej dla tego punktu poboru energii, nie większą niż 50 kW. Mikroinstalacje dzielą się na następujące rodzaje: panele fotowoltaiczne – zbudowane z ogniw solarnych wytwarzających napięcie elektryczne powstałe wskutek padania promieni słonecznych, elektrownie wiatrowe – produkujące energię elektryczną za pomocą turbin wiatrowych napędzanych przez wiatr, oraz instalacje hybrydowe – składające się z co najmniej dwóch typów technologii.

Od 30 czerwca 2022 r. prosument zbiorowy będzie rozliczany według modelu zakupu i sprzedaży energii o nazwie net-billing polegającego na tym, że prosument sprzedaje energię wyprodukowaną przez instalację fotowoltaiczną, której nie zużyje na bieżąco (tzw. nadwyżki), a środki uzyskane z jej sprzedaży trafią do tzw. de-



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

pozytu prosumenckiego. Będą one mogły być wykorzystane na potrzeby zakupu energii z sieci, gdy zapotrzebowanie na energię będzie większe niż ilość energii produkowana przez instalację. Jeżeli w ciągu 12 miesięcy prosument nie wykorzysta tej kwoty na zakup energii, to będzie mógł uzyskać jej zwrot od sprzedawcy.

Najważniejsze korzyści bycia prosumentem zbiorowym OZE to obniżenie kosztów energii elektrycznej, ograniczenie emisji szkodliwych substancji w najbliższym otoczeniu i dzięki temu zmniejszenie zanieczyszczenia powietrza.

Znajdujemy się u progu fotowoltaicznej rewolucji i za jakiś czas dzięki polskiej wynalazczyni wspomniana technologia stanie się jeszcze bardziej dostępna. Fizyk Olga Malinkiewicz stworzyła konkurencyjną metodę wytwarzania drukowanych ogniw fotowoltaicznych na bazie syntetycznych kryształów (perowskitów). Ogniwa polskiej wynalazczyni są elastyczne, lekkie i pozyskują energię także ze sztucznego oświetlenia. Mogą zasilać prądem nie tylko budynki, ale także domowe urządzenia elektryczne czy np. elektroniczne etykiety z cenami na sklepowych półkach.

REKLAMA

"Księga" - ks. Łukasz Turek
i Paweł Kęska
sobota, godz. 20.10,
niedziela, godz. 9.10

"Ewangeliarz" - codziennie,
godz. 6.15, 12.02, 15.18 i 21.20

Radio Warszawa 106,2 FM i www.radiowarszawa.com.pl

Kiedy rasizm i szczucie na kobiety są słuszne

Malo kto potrafi zrobić tyle złego dla kobiet, równości i tolerancji jak ci, którzy tych wartości rzekomo bronią. Widać to niezwykle wyraźnie nie tylko w przypadku Marty Lempart, Magdaleny Środy i tym podobnych feministycznych aktywistek, ale również w sposobie przedstawiania przez liberalno-lewicowe media wykształconych i zajmujących wysokie stanowiska kobiet, których jedynym „grzechem” jest posiadanie „nieodpowiednich” poglądów.

Nie tak dawno mieliśmy kilkumiesięczną, intensywną próbę tego, jak okropną „gebę” kobietom potrafią przypisać feministki, jednocześnie dając jak najgorszy przykład młodym dziewczynom. Najgłośniejszą krzyczącą o „prawach kobiet” działaczka, była kandydatka lewicy w eurowyborach, okazała się jedną z najbardziej wulgarnych i agresywnych osób polskiego życia publicznego. Lempart okazała się postacią tak wyjątkowo odpychającą dla zwykłych wyborców, że nawet lewica nie pała do niej sympatią. Kilka dni temu z kolei błysnęła prof. Środa, która może bez użycia słów typu „wypierd...ć”, postanowiła pokazać, jak wygląda nowy, postępowy rasizm. Jako prawdziwy



**Samuel
Pereira**

ekspert muzyczny Środa postanowiła skomentować sukces młodej polskiej wokalistki Sary James. Lewicowa myślicielka podzieliła się przy tej okazji swoim marzeniem o Polsce, która będzie „różnorodna, kolorowa, tolerancyjna” i... „wzmocniona genetycznie i kulturowo ludźmi spoza mdławej Słowiańszczyzny”. Jak to się ma do deklarowanych tolerancyjnych poglądów? Nijak. Po prostu kolejny raz się okazało, że nic tak dobrze nie weryfikuje szczerości głoszonych opinii jak wierność im wtedy, gdy próbuje się ludziom myślącym inaczej dowalić.

Podobnie widać to w publikacji „Newsweeka” na temat pań prezes Sądu Najwyższego i Trybunału Konstytucyjnego. W artykule autorstwa kobiety (sic!) te dwie wybitne prawniczki przedstawione zostały jako „pierwsza prezes prezydenta” (to o sędzi Małgorzacie Manowskiej) i „gotująca Jarosławowi Kaczyńskiemu” (to o sędzi Julii Przyłębskiej). W końcu dla prawdziwej feministki – a za taką z pewnością ma się red. Renata Grochal – miejsce kobiety w trakcie intelektualnych spotkań jest... przy garach.

Autor jest szefem portalu tvp.info



Dobrze, że Jolka jest

Z Felicianem Andrzejczakiem, piosenkarzem, byłym wokalistą Budki Suflera, rozmawia Jolanta Gajda-Zadzworna

Cieszy pana, że nie tylko Jolka wciąż pamięta „lato ze snu”?

Felician Andrzejczak: Mógłbym powiedzieć, że – niestety – nie mogę się od tej historii uwolnić. I niekiedy zdarza mi się narzekać i psioczyć, ale z drugiej strony dobrze, że „Jolka...” jest. Taki hicior się przydaje. Niejeden artysta chciałby mieć coś takiego w swoim repertuarze.

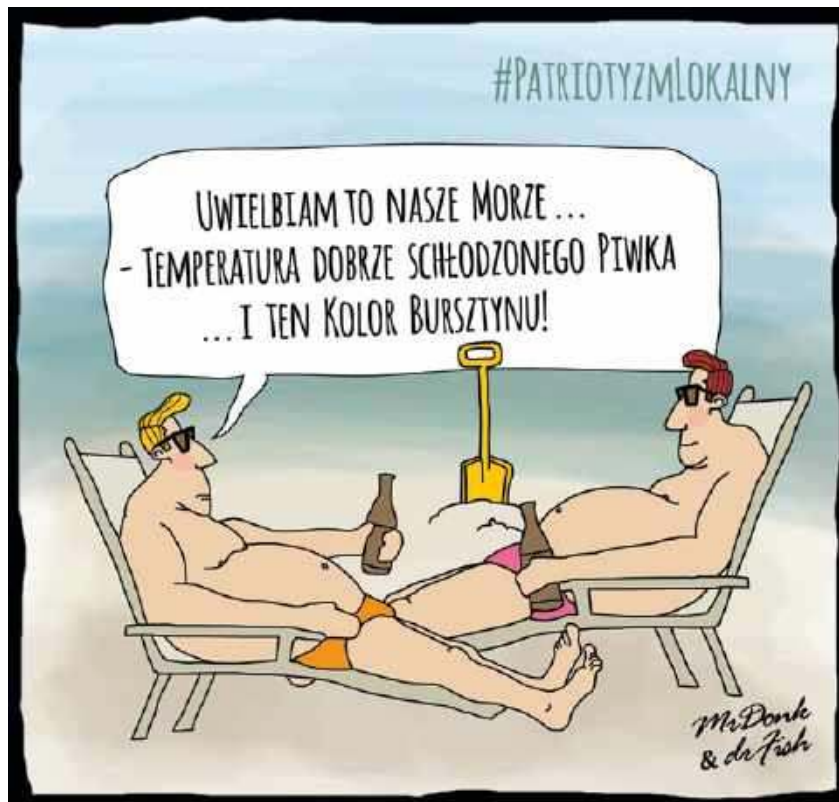
Znają ten utwór ludzie z różnych pokoleń. Czasami się zastanawiam, czy młodszym nie przysługiwałoby się przypisy?

[śmiech] Niektórych niuansów wytłumaczyć się nie da. Jeśli słyszę, że

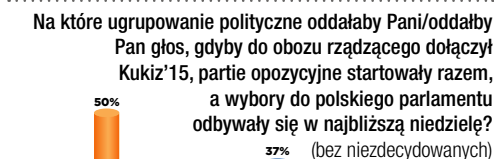
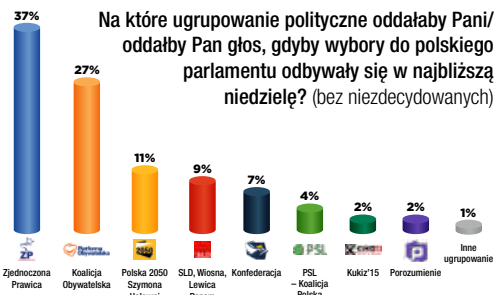
„Jolka, Jolka, pamiętasz” śpiewa 12-, 14-latek, to nie będę mu kłarował, czym był „autobus Arabów” czy meta „dwa kroki stąd”. Rodzicom, a nawet dziadkom to zostawiam. I tylko szkoda, że inne utwory nie zaszły tak daleko.

Których jest panu szczególnie żal? Które chciałby pan śpiewać przy „Jolce...”, bo o „Noc komety” słuchacze chyba proszą?

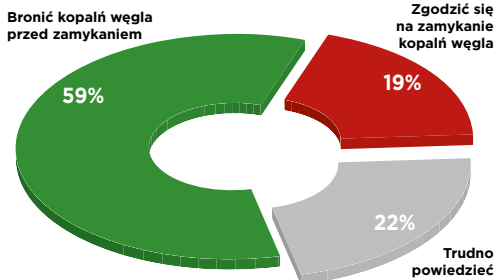
Sporo jest tych piosenek. Bardzo dużo z nich napisał mi Jarosław Kukulski, np. „Trzeci akt”. Ale też Waldemar Parzyński z zespołu Novi Singers – te są trochę jazzowe. Z Mietkiem Jureckim, basistą Budki Suflera, zrobiliśmy trzy płyty. Tam też są piękne utwory, np. „Eurydyko, nie zapomnij”, ale to z „Jolką...” ludziom najbardziej jest po drodze.



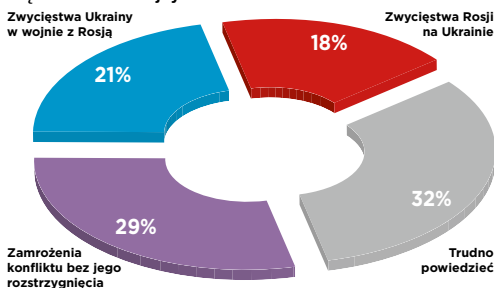
pracownia
Social Changes
dla **wPolityce.pl**



Co według Pani/Pana powinna zrobić Polska ze swoimi kopalniami węgla w związku z rosnącymi cenami energii?



Czego Pani/Pana zdaniem najbardziej by chciał niemiecki rząd w kwestii wojny na Ukrainie?



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięto udział N=1075.

Zakres czasowy badania 17-20 czerwca 2022 r.

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL.: (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORIZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWINSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI,

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTYBUCJA: MARIOLA BARCİKOWSKA,
MARIOLA.BARCİKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA ŁASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA ŁABĘCKA@FRATRIA.PL,
OBROBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 9.00 – 17.00), (22) 255 93 32
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE
WWW.WSIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZES RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA
E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE
WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ,
TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT,
MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK,
JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH
RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA,
WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWITLIK, ROBERT TEKIELI,
BRONISŁAW WILDESTEIN, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT,
ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL:
PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ
Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI:
22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE
W GODZINACH 7⁰⁰ – 17⁰⁰.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DĄBROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMÓWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZES WYDAWCĘ JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.



FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, TOMASZ JODŁOWSKI X2, ANDRZEJ IWANCUK, REPORTER,
SEPHI MMHALCHAK, MIKEZ, AKTUFER, GURUPOX, OLESS RI, RICARDO DE LUCA SHUTTERSTOCK



Pożegnanie z bronią

Izraelskie media z właściwym sobie przerysowaniem znów mówią o wrogiej polityce rządu w Warszawie, ale – odrzucając emocje – widać jasno, że chodzi przecież o uporządkowanie spraw oczywistych. Jesteśmy jak mało który kraj otwarci na wycieczki młodych Izraelczyków, a polskie państwo z bezprecedensową troską dba o miejsca pamięci o Holokauście. Jedyne, czego chcemy, to partnerskiej umowy regulującej zasady organizowania tych wypraw

**MAREK PYZA MARCIN WIKŁO**

Co mają myśleć młodzi ludzie, którzy jadą na taką wycieczkę do Polski? Dla wielu trudnym przeżyciem musi być samo odwiedzenie niemieckich (choć umiejscowionych na naszym terytorium) byłych obozów koncentracyjnych, miejsc, w których masowo mordowano Żydów podczas II wojny

Fot. praszkiewicz/Shutterstock.



maga zmian z uwagi na systematycznie generowane problemy, prowadzące do umacniania fałszywych stereotypów, co negatywnie wpływa na stosunki między naszymi krajami i narodami. Na bazie dotychczasowych doświadczeń oceniamy, że młodzież izraelska często wraca z tych wyjazdów z negatywnymi odczuciami wobec dzisiejszej Polski i Polaków. [...] Problemem są aroganckie zachowania uzbrojonej ochrony wobec innych odwiedzających miejsca pamięci, a także przypadkowych przechodniów”.

Do tej pory nie było jednoznacznych przepisów odnoszących się do wycieczek. Dotyczyły ich różnorakie dokumenty dwustronne podpisywane między resortami dyplomacji czy edukacji, lecz były one bardzo ogólnikowe. Projekt nowej, całościowej umowy Polska wy-

przedstawiceli ministerstw edukacji i nauki, spraw wewnętrznych i administracji oraz kultury i dziedzictwa narodowego.

TAK NIE ZBUDUJEMY

Z wakacyjnymi wycieczkami uczniów szkół izraelskich do Polski kłopot narastał przez lata, ale z niewiadomych przyczyn oficjalnie się o tym nie mówiło. Pierwszym z czterech najważniejszych dziś punktów spornych podnoszonym przez polski MSZ jest kwestia zachowania się uzbrojonej ochrony. – To było kilka lat temu w Lublinie. Siedzieliśmy z kolegą w ogródku piwnym – opowiada nam wiceminister jednego z resortów, które będą zajmowały się negocjacjami nowej umowy z Tel Awiwem. – Przechodziła dosyć głośna wycieczka, byli

ubrani nieco inaczej niż my. Mówimy więc do siebie, że to pewnie grupa z Izraela. Nagle podszedł do nas postawny mężczyzna, dosiadł się, spod marynarki wyjął glocka, położył na stole i wymownie popatrzył nam głęboko w oczy. Zamarliśmy, spuściliśmy głowy, nie wiedzieliśmy, jak się zachować. Po chwili zabrał pistolet, wstał i wrócił do wycieczki. Nie wypowiedział ani jednego słowa. Nie podobało mu się, że w ogóle rozmawialiśmy o przechodzącej grupie młodych ludzi.

„W latach 2001–2008 pracowałem w pobliżu fabryki Emalia Oskara Schindlera i chodziłem do pracy ul. Lipową. Niemal codziennie blokowały ją izraelskie służby, funkcjonariusze z rękami na broni. Dzieci przemykały z autobusu do budynku, jakby miał nastąpić ostrzał artyleryjski” – przypomniał Wojciech Mucha, redaktor naczelny „Gazety Krakowskiej”.

– Mieszałem w Krakowie, widywałem te grupy idące z ochroną – mówi Marcin Przydacz, wiceminister spraw zagranicznych. – Barczyński mężczyźni z bronią na wierzchu przepychali na bok starsze panie i innych turystów idących po Kazimierzu. Nie może być takich obrazków, to nie buduje dobrej atmosfery we wzajemnych relacjach.

Stanowisko polskiego MSZ jest jasne. Zawieszone z powodu pandemii koronawirusa wycieczki, które współorganizuje izraelskie ministerstwo edukacji, powinny wrócić, ale na nowych zasadach

światowej. Dodatkowo dzieci i młodzież są separowane od miejscowych, także rówieśników. Wcześniej słyszą (podczas spotkań przygotowawczych), że takie kontakty nie są wskazane, bo tutaj ich się nie lubi, a wręcz nienawidzi, że antysemityzm jest w Polsce codziennością (choć to kompletna nieprawda). Dodatkowego dramatyzmu dodaje fakt, że eskortują ich agenci izraelskich służb z bronią naładowaną ostrą amunicją.

Stanowisko polskiego MSZ jest jasne. Zawieszone z powodu pandemii koronawirusa wycieczki, które współorganizuje izraelskie ministerstwo edukacji, powinny wrócić, ale na nowych zasadach. Obszernie tłumaczył to Paweł Jabłoński, wiceminister spraw zagranicznych: „Dotychczasowa formuła wyjazdów wy-

ślała do Izraela pod koniec ub.r. Nie było odpowiedzi. Pismo ponownie przekazano w marcu 2022 r., gdy do Warszawy przyjechał nowy ambasador Izraela Jakow Liwne. Tym razem odpowiedzią było wiele uwag do zaproponowanych przepisów, co w zasadzie otwiera dyskusję, a także informacja, że wycieczki są zawieszone, skoro nie mogą odbywać się na starych zasadach. Izraelskie media ruszyły do ataku. Znany z niewybrednych uwag pod adresem Polski szef MSZ Jair Lapid narzucił narrację w stylu „nie będą nam Polacy mówili, jak mamy naszą młodzież uczyć historii i jak mamy opowiadać o Holokauście”.

Mimo to nasz resort dyplomacji chciałby, by latem odbyły się międzyrządowe konsultacje, także z udziałem

Nasi rozmówcy z kręgów rządowych z żalem przyznają, że zaniedbania są wieloletnie, dlatego być może trudno zrozumieć stronie izraelskiej, że Polska chce zmiany. I zapewniają, że naszym celem nie jest pozbawienie przybyszów całkowicie ochrony. – Może to kwestia doktryny państwowej, może edukacji, a może wychowania w poczuciu, że zawsze i wszędzie coś im grozi – mówi nasz rozmówca. – Rozumiemy te złożone kwestie międzynarodowe. Wiemy, że są wyjątkowe sytuacje, może w grupie będzie np. dziecko któregoś z ministrów lub członków Knesetu. Proponujemy więc, by w każdym przypadku napisać, dlaczego uzbrojona ochrona jest konieczna. Zostawiamy taką możliwość, ale nie jako zasadę.

CO TO ZA OCHRONA?

Rozmawiamy z kilkoma członkami rządu w randze sekretarza stanu w różnych resortach. Nawet między nimi jest sporo nieścisłości, jeśli chodzi o stan faktyczny organizacji wycieczek z Izraela. Od jednego usłyszeliśmy np., że ochraniający żydowską młodzież funkcjonariusze Szin Bet wcale nie przywożą swojej broni (jak twierdzi MSZ), lecz korzystają z tej, która została do Polski wwieziona, by chronić placówki konsularne. Od innego, że broń zabierają z sobą, że jest umowa, ale konkretnych przepisów nie potrafi wskazać.

Słyszymy też o współpracy gości z Izraela z jedną z naszych agencji ochroniarskich. – Poza oficerami swoich służb strona izraelska podpisywała też umowę z polską agencją, w której jest zatrudnionych wielu byłych funkcjonariuszy Biura Ochrony Rządu. Nie było żadnych nieporozumień, ta współpraca układała się bardzo dobrze – mówi nasz rozmówca. Jednocześnie podkreśla, że kwestię uzbrojenia izraelskiej ochrony trzeba jakoś uregulować: – Nigdy na szczęście nie doszło do jakichkolwiek incydentów, ale gdyby ktoś tej broni użył, mielibyśmy gigantyczny problem, bo formalnie ci ludzie nie powinni jej przy sobie mieć. Musieliby odpowiadać za złamanie polskiego

prawa. Można sobie wyobrazić, jaki byłby z tego kłopot i jakim echem by się to odbiło na świecie.

Trudno w to uwierzyć, ale wszystko dzieje się trochę na zasadzie „bo zawsze tak było”. Zawsze, czyli od 27 lutego 1990 r., kiedy w Warszawie podpisano protokół o wznowieniu zerwanych w 1967 r. stosunków dyplomatycznych między Polską a państwem Izrael. Wtedy ruszyły też letnie wycieczki młodzieży szkolnej. – Myślę, że to wtedy utarło się, że skoro strona izraelska chce ochrony z bronią, to pozwólmy na to. I przez lata nikt nawet się nie za-

Mieszkalem w Krakowie, widywałem te grupy idące z ochroną. Barczyści mężczyźni z bronią na wierzchu przepychali na bok starsze panie i innych turystów idących po Kazimierzu. Nie może być takich obrazków, to nie buduje dobrej atmosfery we wzajemnych relacjach – mówi Marcin Przydacz, wiceszef MSZ

stanawiał, czy to jest okej – mówi jeden z historyków specjalizujących się w tematyce polskich Żydów. – Ani wtedy, ani teraz nie było w naszych relacjach partnerstwa. Z ubolewaniem patrzę, jak czasem nawet drobne sprawy, które chcemy w Polsce układać po swojemu, są przedstawiane w Izraelu i wykorzystywane w ich bieżącej polityce. A tam ciągle jest niespokojnie albo są jakieś wybory, albo upada rząd. Wtedy nawet kwestia ochrony wycieczek może stać się pretekstem do występów w mediach i pokazania się.

Powszechne były skargi również na zachowanie nastolatków przybywających do Polski, często w swoją pierwszą zagraniczną podróż. Polskie media

były pełne materiałów o oburzającym zachowaniu młodzieży z Izraela, demolowaniu miejsc noclegowych. Niektórzy hotelarze odmawiali przyjmowania takich gości, a przewodniczący Związku Gmin Wyznaniowych Żydowskich RP Lesław Piszewski tłumaczył nieporadnie w WP.pl: „Bywały takie sytuacje, ale nie wiem, czy nadal się utrzymują. [...] Organizatorzy wycieczek wysyłają młode osoby do obiektów, które rodzą traumatyczne skojarzenia, nastolatki są nimi przesiąknięte. Może dlatego ich zachowanie czasem odbiega od norm. Nie umiem znaleźć racjonalnego wytłumaczenia”.

JEŚLI USŁYSZYCIE EKSPLOZJĘ...

O atmosferze panującej w czasie tych wycieczek stało się głośno ponad dekadę temu, gdy uznany izraelski dokumentalista Jo'aw Szamir nakręcił film „Zniesławienie”, rozprawiający się z mitami o antysemityzmie. W obrazie tym możemy zobaczyć, jak wyglądają przygotowania młodzieży przed wycieczkami do Polski. Już na tym etapie, w instytucie Jad Waszem wbija im się do głów, że jadą do kraju, w którym się ich nienawidzi. „Będą z wami ludzie ze służb specjalnych, żebyście nie mieli styczności z miejscową ludnością. Spotkacie ludzi, którzy nas nie lubią. Zobaczycie, że oni nas nie lubią. Nawet dziś nas nie lu-

bia” – tłumaczy dzieciakom szkolny doradca. W innej scenie funkcjonariusz służb uczula młodych Izraelczyków w autokarze: „Jeśli coś się stanie, jeśli usłyszycie eksplozję, cokolwiek, usiądźcie lub połóżcie się w przejściu tak szybko, jak to możliwe!”. Jedna z dziewcząt zapytana o rolę autora tych słów w czasie podróży odpowiada: „Chroni nas przed antysemityzmem i w ogóle, żeby nikt nie podszedł ani nie zrobił nam krzywdy. Rano widzieliśmy trzech starych mężczyzn na ławce. Usłyszeli, że jesteśmy z Izraela i robili miny. Nazywali nas małpami i osłami. Prawie się z nimi pobiliśmy”. Kamera zarejestrowała to spotkanie. Żadne tego typu słowa nie padły, mężczyźni



nawet przez chwilę nie zachowywali się niestosownie. Widzimy za to, jak któryś z opiekunów odciąga podopieczne od starszych panów, wpaja im, że zostały obrażone i instruuje, by z nikim nie rozmawiać.

Co prawda od ukazania się filmu sytuacja nieco się poprawiła (np. część wycieczek ma w programie spotkania z polską młodzieżą), ale wciąż daleko jest do rzetelnego nauczania młodych Izraelczyków historii. Dlatego drugim z punktów proponowanej Tel Awiwowi umowy są obligatoryjne spotkania z rówieśnikami z Polski, by przełamywać stereotypy po obu stronach.

Oprócz tego strona polska chciałaby poszerzenia programów wycieczek. – W Izraelu jest bardzo scentralizowany mechanizm nauczania historii. Skrupulatnie pilnują własnego przekazu. W Muzeum Polin zdarza się, że grupy z Izraela nie oglądają części

Drugim z punktów proponowanej Tel Awiwowi umowy są obligatoryjne spotkania młodych Izraelczyków z rówieśnikami z Polski, by przełamywać stereotypy po obu stronach

wystawy poświęconej II wojnie światowej, wychodzą wcześniej bocznym wyjściem, bo izraelski MEN chce mieć monopol na edukację historyczną w tym segmencie. A my chcielibyśmy powiększyć programy wycieczek np. o zbrodnie na Polakach (zarówno niemieckie, jak i sowieckie) oraz o szersze

przybliżanie historii stosunków polsko-żydowskich – mówi nasze źródło w MSZ.

Z tym wiąże się kolejna kwestia – przewodników. Na przykład po niektórych niemieckich obozach zagłady młodzież z Bliskiego Wschodu jest oprowadzana wyłącznie przez swoich pilotów. – Jeżeli Izrael chce tutaj przysyłać uczniów i opowiadać o naszym kraju, niech to robi. Niech tych wycieczek będzie jak najwięcej – mówi dr Mateusz Szpytma, historyk, wiceprezes IPN. – Ale w momencie, gdy taka grupa wchodzi na teren polskiego muzeum, to oprowadzającym powinien być polski przewodnik. Gdy jadę do Jad Waszem, to oprowadza mnie przewodnik izraelski. Rozumiem to, nie protestuję. Mogę swojej grupie coś dopowiedzieć, wytłumaczyć, ale dopiero po tym, jak usłyszą wykład od gospodarza miejsca – dodaje.

Po 1999 r. dr Szpytma zorganizował kilkadziesiąt wyjazdów studenckich dla polskiej młodzieży: na Kresy, a także do obozów w Auschwitz czy na Majdanku. – Trzeba opowiadać prawdę i starać się naszkicować jak najszerzy kontekst. Wtedy ma to sens i jest prawdziwą nauką – mówi historyk. Dlatego rozumie zabiegi polskiej dyplomacji, która chciałaby, by wycieczki izraelskiej młodzieży nie ograniczały się tylko do miejsc związanych z Zagładą. – Nie chcemy wpływać na ich program nauczania, to jest raczej próba proponowania czegoś więcej, czegoś, co nie wypaczy historii, a wręcz przeciwnie – nada jej pełniejszy wymiar.

Niewątpliwym poszerzeniem relacji polsko-żydowskich byłaby np. wizyta w stworzonym przez dr. Szpytmę Muzeum Polaków Ratujących Żydów podczas II Wojny Światowej im. Rodziny Ulmów w Markowej. Kłopot w tym, że to niezwykle miejsce, w którym rzeczywiście żyła rodzina stracona za pomoc sąsiadom wznania moźszowego, jest położone pod Łańcutem, na Podkarpaciu, daleko od uczęszczanych szlaków turystycznych. Wycieczki tam docierają, ale wciąż nie w takiej liczbie, która powinna nas satysfakcjonować.

MUZEUM WSPÓLNEJ HISTORII

W Warszawie, na terenie dawnego getta, od 2014 r. funkcjonuje imponujące w rozmachu Muzeum Historii Żydów Polskich „Polin”. Założenie – pokazanie ponad tysiącletniej wspólnej historii – wydaje się szczytne i oczywiste. O realizacji pomysłu można dyskutować. Piękny gmach przyciąga turystów, także – to oczywiste – wycieczki młodzieży z Izraela. – Ta historia jest pokazana tam i tak lepiej dla Polaków, niż mówi się o niej w Izraelu. Zwiedzający wychodzą więc z ekspozycji z trochę lepszym wyobrażeniem o nas, ale to cały czas nie jest cała prawda o tych relacjach – opowiada nam jeden z historyków. Rzeczywiście, linearna opowieść wydaje się prowadzona rzetelnie. Zwraca uwagę wielość zastrzeżeń. Ale to, ale tamto...

Polska była krajem tolerancji, ale... ta tolerancja miała swoje granice. W takich ekspozycjach ważne są punkty kulminacyjne. Teoretycznie można stwierdzić, że niczego nie pominięto, ale ktoś mniej uważny nie trafi na zmarginalizowaną opowieść o Polakach ratujących Żydów, za to nie może przeoczyć mocno wyeksponowanej historii tych, którzy swoich sąsiadów wydali Niemcom. Także imponująco obszerna jest rozprawa o powojennych pogromach. „Czas był niespokojny, w kraju panowały bezprawie, demo-

Jeżeli Izrael chce tutaj przysyłać uczniów i opowiadać o naszym kraju, niech to robi. Ale w momencie, gdy taka grupa wchodzi na teren polskiego muzeum, to oprowadzającym powinien być polski przewodnik – mówi dr Mateusz Szpytma, historyk, wiceprezes IPN

ralizacja, przestępczość, bieda. Jednak głównym powodem przemocy wobec Żydów był antysemityzm o przedwojennych jeszcze korzeniach”. Co nam zostaje w głowie? To, co ma zostać.

– Jeśli ktoś mówi, że państwo polskie próbuje manipulować pamięcią o Holokauście albo że niewiele robi dla przywołania niemieckich ofiar, to, delikatnie mówiąc, mija się z prawdą. Jest wręcz przeciwnie – mówi nam Wojciech Kolarski, minister w Kancelarii Prezydenta RP. Wskazuje na miejsca związane z Holokaustem, które są chronione polskim prawem, ale też otoczone opieką instytucjonalną i autentyczną ludzką czcią. Potwierdza tę opinię dr Mateusz Szpytma. – Rzeczywiście, nigdzie na świecie tak nie ma. Ale nie przedstawiamy tego jako jakiegoś nadzwyczajnego gestu. W Holokauście zgładzono także polskich

Żydów, to byli nasi obywatele. Mamy obowiązek o nich pamiętać.

To dlatego polskie władze aktywne uczestniczą w uroczystościach upamiętniających ofiary Shoah. Młodzi przybysze z Izraela i polska młodzież, a także ocalali z Zagłady, którzy 28 kwietnia wzięli udział w tzw. Marszu Żywych z Auschwitz do Birkenau, mogli tam spotkać polskiego prezydenta. „Jesteśmy tutaj, żeby pokazać, że każdy naród ma święte prawo do życia, ma święte prawo do kultywowania swoich tradycji, ma święte prawo do rozwoju.

I krzyczymy głośno: nie dla nienawiści! Nie dla antysemityzmu! Nie dla antyukrainizmu! Nie dla antypolonizmu! Nie dla nienawiści!” – podkreślał Andrzej Duda.

Czy szykuje się kolejny konflikt na linii Warszawa–Tel Awiw? Polski MSZ jest dobrej myśli. – W sprawie ustawy o IPN czy KPA sytuacja była zdecydowanie inna. Ingerencja w nasze wewnętrzne przepisy spotkała się z wywołaniem skandalu międzynarodowego. Okazano afront Markowi Magierowskiemu, później próbowano wpływać na Waszyngton, by ten zablokował kandydaturę naszego ambasadora w USA. To się nie udało. Dziś nie widzimy stanowczego protestu. A nawet więcej, mamy sygnały z izraelskiego

MSZ, że nie są zadowoleni z postawy ich ministra Lapid, bo ten za bardzo chce błyszczeć, być w centrum uwagi, a niewiele to przynosi korzyści państwu izraelskiemu. W Tel Awiwie już dostrzegli, że częściej bierzemy udział w inicjatywach UE czy ONZ nie po ich myśli, np. osadnictwa na Zachodnim Brzegu Jordanu. Myślę, że wywołało to pewną refleksję – mówi nasze źródło w dyplomacji.

Próba zmiany zasad współpracy ze stroną izraelską na jakimkolwiek polu zawsze jest obarczona pewnym ryzykiem, bo Izrael nie gra z nami fair. Ale musi w końcu zrozumieć, że nakładanie każdego elementu normalnych relacji między krajami na tło rzekomego antysemityzmu to droga donikąd. Tak postępując, będzie tracił sojuszników, a za takie państwo bezwzględnie powinien uznawać Polskę.

WAKACYJNA LOTERIA LOTOS

WYGRYWAJ

paliwo na letnie podróże

nagroda główna

100 000 zł



ZRÓB ZAKUPY, ZAREJESTRUJ KOD I **WYGRAJ ATRAKCYJNE NAGRODY!**

Szczegóły na stronie **www.loteria.lotos.pl**

Loteria dla osób, które ukończyły 18 lat i mieszkają na terenie Polski. Zachowaj kod uprawniający do udziału w loterii. Promocja trwa od 14.06.2022 do 16.08.2022.

Lista stacji objętych loterią oraz regulamin Wakacyjnej Loterii LOTOS dostępne na loteria.lotos.pl. Organizator: Nofsz Sp. z o.o.

eprasa.pl a0f2c3b466



Dlaczego Polska i Ukraina są skazane na siebie?

Doświadczenia obecnej wojny pokazują, że próba przejęcia kontroli nad Ukrainą, niezależnie, czy dokonywana metodami wojskowymi, jak obecnie, czy politycznymi, jak w przeszłości, nie jest możliwa, jeśli Kijów może liczyć na wsparcie Warszawy. Moskwa, chcąc osiągnąć sukces na Wschodzie, będzie musiała skierować swoje działania również przeciw Polsce



MAREK BUDZISZ

Andrij Zahorodniuk, były minister obrony Ukrainy już za prezydentury Zelenskigo, uznawany za zwolennika twardej integracji euroatlantyckiej swojego kraju, powiedział w długiej rozmowie z portalem Europejska Prawda, że „musimy budować alternatywne sojusze, ale jednocześnie iść do NATO”. Tak sformułowana propozycja jest wynikiem oceny sytuacji w samym pakcie, w którego skład wchodzi państwa „nadal bojące się Rosji”, co pociąga za sobą rezerwę w fundamentalnej z perspektywy Kijowa kwestii

członkostwa. Zahorodniuk jest zdania, że przełamanie stereotypów na temat siły Moskwy zajmie zapewne lata, co oznacza, że Ukraina nie może swojego przyszłego bezpieczeństwa uzależnić od procesu, który nie wiadomo jak długo będzie trwał i czym się zakończy.

Nie ma on też złudzeń co do skali gwarancji, nawet jeśli Ukraina pewnego dnia stałaby się członkiem Sojuszu Północnoatlantyckiego i podkreśla, że artykuł 5 „zobowiązuje sojuszników do wzięcia udziału w rozwiązaniu konfliktu najlepiej, jak potrafią, ale nie ma gwarancji, że to zrobią”. A zatem Ukraina nie może oczekiwać żelaznych gwarancji, nawet ewentualne członkostwo Kijowa w NATO, do czego jest jeszcze bardzo daleko, tego nie zapewni. Oczywiście nie można rezygnować z tego celu i trzeba zrobić wszystko, by wejście do paktu pół-

nocnoatlantyckiego stało się możliwe. Nie zwalnia to jednak kijowskich elit z troski o jak najszerze bezpieczeństwo państwa w przyszłości i uzasadnia myślenie o uzupełniających czy równoległych systemach sojuszniczych.

W tym kontekście pojawia się fundamentalna z perspektywy Polski i przyszłości naszego kraju kwestia: jak zmieni się w wyniku wojny sytuacja na Wschodzie, jakie będą jej polityczne, gospodarcze i strategiczne konsekwencje? Co musimy zrobić, by uniknąć scenariuszy najgorszych?

ZUPEŁNIE NOWA SYTUACJA

Jedno już dziś, choć nie wiemy jeszcze, jak zakończy się ten konflikt, wydaje się pewne. Zaryzykuję tezę, że 24 lutego nastąpiła tektoniczna, nieodwracalna

zmiana w sytuacji Polski, która wymusza nowe myślenie, odejście od ugruntowanych ocen i schematów czasów przedwojennych, bo dziś tracą one na znaczeniu. Z oceny tego, co się stało, głębokości przemian i skali ryzyka wynika kolejny wniosek – by zapobiec najgorszemu, musimy zrewolucjonizować naszą polską wyobraźnię strategiczną, zmodernizować nasze państwo i podjąć się zadania, które najprawdopodobniej skupi wysiłki całej generacji Polaków.

Warto zacząć od zaprezentowania kilku tez na temat nowej sytuacji.

Z geostrategicznego punktu widzenia wojna na Ukrainie będzie najprawdopodobniej nierozstrzygnięta. Lubimy mówić, że Putin politycznie ją przegrywa, i to prawda, bo zapewne nie będzie w stanie zrealizować swoich pierwotnych, groźnych z naszej perspektywy planów wobec Ukrainy. Dziś obie strony konfliktu uczestniczą w wojnie na wyczerpanie, a zdaniem wielu – jeśli nie większości – zachodnich ekspertów intensywność starć w najbliższej przyszłości ulegnie spowolnieniu. Powodem jest przede wszystkim wyczerpywanie się zasobów zarówno ludzkich, jak i sprzętowych po obu stronach, co oznacza, że walki na długim, liczącym 2450 km froncie będą zamierać. Nie wszędzie, chyba że rozpocznie się faza negocjacji pokojowych. Wejdziemy w stan zamrożonego konfliktu, który być może będzie przypominał niedawne porozumienie mińskie, jeśli do rozmów dojdzie, lub finał wojny w Korei, jeśli negocjacji nie będzie.

Taki rozwój wydarzeń oznacza, że żadna ze stron ani nie będzie usatysfakcjonowana wynikiem wojny, ani nie straci woli ponownego wejścia do gry, jeśli nadarzy się ku temu okazja.

O ile w Rosji nie nastąpi rewolucja wewnętrzna, na co trudno dziś poważnie stawiać, to władzę utrzyma nawet po odejściu Putina umowna „partia wojny”, której przedstawiciele, wykorzystując w tym celu dochody z rosyjskiego eksportu węglowodorów, będą chcieli możliwie szybko odbudować naruszony potencjał militarny własnego kraju. Będzie on tym bardziej potrzebny, bo ani Putin, ani jego otoczenie nie zrezygnowali z agresywnej wizji zmiany sytuacji w Europie Środkowej, uczynienia z naszego obszaru kontynentu strefy buforowej, w której krzyżo-

walyby się interesy Moskwy i Zachodu, ale ostatnie słowo z wojskowego punktu widzenia miałaby tu Rosja.

Ukraina w takiej sytuacji nie będzie miała innego wyjścia, jak próbować odbudować własny potencjał wojskowy i przemysł pracującego na rzecz obronności, odwołując się do systemu obrony powszechnej. To właśnie z tego powodu przedstawiciele tamtejszej elity (choćby prezydent Zelen-ski czy sekretarz Rady Bezpieczeństwa Narodowego i Obrony Ukrainy Danilow) mówią, że Ukraina powinna stać się państwem przypominającym Izrael, tylko że położonym na Wschodzie.

Jeśli zatem obie strony będą przygotowywać się do wojny i chcieć rewanżu, to kolejny konflikt wybuchnie. Kwestią okoliczności i zachowania ościennych graczy, w tym Polski, jest to, kiedy się to stanie i na jakich warunkach.

Co więcej, w rosyjskim myśleniu strategicznym – i to są wnioski z czterech miesięcy wojny – Polska i Ukraina są już traktowane w kategoriach jedności. Mało tego, jesteśmy uznawani za państwo, które w wojnę na Ukrainie już się zaangażowało, choć nie wprost. Świadczą o tym ostatnie wypowiedzi Nikołaja Patruszewa, sekretarza Rady Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej, ataki Dmitrija Miedwiediewa czy eksperckie artykuły pisane przez analityków w rodzaju Władimira Winokurowa, profesora w Akademii Dyplomatycznej MSZ Rosji.

Doświadczenia obecnej wojny pokazują, że próba przejęcia kontroli nad Ukrainą, niezależnie, czy dokonywana metodami wojskowymi, jak obecnie, czy politycznymi, jak w przeszłości, nie jest możliwa, jeśli Kijów może liczyć na wsparcie Warszawy. To z tego względu – o ile prawdziwe są założenia, że Rosja nie zrezygnuje z próby „neutralizacji” czy pacyfikacji Ukrainy, a jest tylko kwestią czasu, kiedy wykona następne uderzenie – Moskwa, chcąc osiągnąć sukces na Wschodzie, będzie musiała skierować swoje działania również przeciw Polsce. Od razu odpowiadam moim ewentualnym polemistom, lubiącym proste, zerojedynkowe sytuacje, iż nie musi to oznaczać wojny Rosji z NATO. Choć nie można jej wykluczyć. W wielu wystąpieniach rosyjskich ekspertów pobrzmiewają dziś tony, że zwycięstwo na Ukrainie, to z rosyjskiej perspektywy dopiero

początek „porządkowania” relacji w Europie Środkowej. Ale nawet wykluczając scenariusz wojenny, Moskwa ma wiele możliwości destabilizowania sytuacji w Polsce poniżej progu otwartej agresji.

POWOJENNA DEGRADACJA?

Trzeba teraz postawić kolejne pytanie, a mianowicie – w jakiej kondycji Ukraina wyjdzie z tej wojny? Z perspektywy Kijowa zamrożenie konfliktu jest równoznaczne nie tylko z faktyczną utratą 20 proc. terytorium i niemal 90 proc. potencjału przemysłowego, ogromnymi, ocenianymi nawet na 1 bln dol. zniszczeniami oraz spadkiem PKB szacowanym w tym roku na poziomie 50 proc., co oznacza wypchnięcie większej części Ukraińców poza granicę biedy w świetle niespecjalnie wyśrubowanych ONZ-owskich standardów. Będzie to też trudny do zmierzenia, ale z pewnością ogromny szok psychologiczny, który jest pochodną przeświadczenia głęboko zakorzenionego w świadomości ukraińskiej klasy politycznej, a także społeczeństwa, że kraj płaci daninę krwi w imię obrony Europy i wartości europejskich.

Odbudowa ze zniszczeń nie będzie łatwa, kapitały mogą nie napływać, zwłaszcza prywatne, o ile nie zostaną rozstrzygnięte definitywnie kwestie bezpieczeństwa. Na to mogą się nałożyć problemy związane z adaptacją do normalnego życia tysięcy weteranów, wielomilionową emigracją czy kontynuowaniem przez Rosję polityki destabilizowania przy użyciu wszystkich dostępnych środków. A skąd wziąć środki na odbudowę potencjału wojskowego?

Skala strat, zniszczeń, wyzwań i rysujących się problemów skłania do postawienia wielce prawdopodobnej tezy, że Ukraina wyjdzie z wojny gospodarczo i cywilizacyjnie zdegradowana, bez perspektyw realnej i szybkiej odbudowy. Już teraz ukraińscy ekonomiści szacują, że osiągnięcie poziomu rozwoju sprzed 24 lutego, a przecież nasz sąsiad był jednym z najbiedniejszych krajów Europy, będzie wymagać 10 lat nieprzerwanego wzrostu gospodarczego w tempie 5 proc. rocznie.

UNIJNA BAJKA

To, co napisałem do tej pory, pokazuje, że Ukraina może stać się w przyszłości,

jeśli nie podejmiemy adekwatnego do sytuacji wysiłku, źródłem niestabilności i zagrożenia w regionie. A taki scenariusz jest najgorszy dla Polski. Oznacza to, że przyszłość Ukrainy jest naszym problemem, nawet perspektywa członkostwa Kijowa w Unii Europejskiej czy NATO nie asekuruje nas przed negatywnymi skutkami takiego rozwoju wydarzeń. Idźmy dalej i zapytajmy: jakie są realne możliwości wejścia Kijowa do wspólnoty europejskiej?

Z faktu, że Ukraina uzyskała status państwa kandydata, nie wynika wcale automatyzm wejścia do Unii. Nie chodzi tu tylko o zwrócenie uwagi na doświadczenia Turcji w tym względzie, ale również na realne polityczne i instytucjonalne blokady. Warto też wiedzieć, by nie ulegać złudzeniom, czego dotyczyła gra polityczna związana z przyznaniem Kijowowi statusu państwa kandydata. Otóż eksperci ukraińscy obawiali się, że Bruksela odwoła się do formuły „status kandydata po spełnieniu warunków”, który do tej pory tylko raz został formalnie zastosowany w przypadku Bośni i Hercegowiny. Gdyby podobne podejście zwyciężyło w przypadku Ukrainy, to oznaczałoby to, że jest ona traktowana w gruncie rzeczy jak „państwo upadłe”, niezdolne do uzyskania nawet statusu kandydackiego, co byłoby szokiem dla społeczeństwa ukraińskiego i mogłoby wywołać ostry kryzys polityczny w Kijowie. Podobnie zresztą są przyjmowane niedawne propozycje dyplomacji francuskiej, by państwa takie jak Ukraina, a także Mołdawia i Gruzja, znalazły się w jakiejś niesprecyzowanej „strefie bliskiej współpracy” z UE, ale bez realnej, w dającej się przewidzieć w przyszłości perspektywy akcesji. A zatem ostatnia batalia, w którą zaangażowała się ukraińska dyplomacja, dotyczyła raczej celów częściowych, doraźnych i nie ma wiele wspólnego z perspektywą członkostwa, która nadal jest dość mglista i odległa.

Zarówno w świetle zapisów konstytucji francuskiej, która wymaga przeprowadzenia referendum powszechnego niezbędnego dla zaakceptowania członkostwa w Unii państwa tak ludnego jak Ukraina, jak i deklaracji właściwie wszyst-

kich liczących się sił politycznych we Francji wejście Kijowa do Unii wygląda dziś jak mrzonka. Moich ewentualnych adwersarzy pytam, która siła polityczna we Francji rozpocznie i przeprowadzi kampanię publiczną na rzecz rozszerzenia Unii o Ukrainę? A co z Niemcami, Holandią, Austrią czy Węgrami? Sytuacja w tym przypadku jest podobna do kwestii rozszerzenia NATO, o której mówił w wywiadzie Andrij Zahorodniuk. Nie należy z tego celu rezygnować, co więcej – trzeba robić wszystko, by rozszerzenie Unii o Ukrainę pewnego dnia nastąpiło, ale by-

Dziś i w dającej się przewidzieć przyszłości problemy Ukrainy są problemami Polski. Dotyczy to bezpieczeństwa, gospodarki, rolnictwa, transportu, migracji. Dlatego pisałem o idei polsko-ukraińskiego związku państwowego, być może federacji, może jakiejś innej formuły pogłębionej współpracy. Skala wyzwań jest tak wielka, że potrzebne są wielkie projekty

łoby co najmniej nieroztropnością stawianie wszystkiego na jedną kartę, zwłaszcza w sytuacji, kiedy to Polska, a nie państwa Europy Zachodniej, w pierwszym rzędzie będzie odczuwać konwulsje i trudności ukraińskiej państwowości.

POTRZEBNY WIELKI PROJEKT

Dziś i w dającej się przewidzieć przyszłości problemy Ukrainy są problemami Polski. Dotyczy to kwestii bezpieczeństwa, rozwoju gospodarczego, rolnictwa, transportu, migracji. Trudno właściwie wskazać obszar, w którym nasze interesy i nasza przyszłość nie są związane z sy-

tuacją naszego sąsiada. A to oznacza, że nikt nas nie zwolni, jeśli zależy nam na losach naszego państwa i przyszłości kolejnych pokoleń Polaków, z obowiązku refleksji, a potem intensywnej pracy na rzecz szukania najlepszych, skutecznych a nie deklaracyjnych rozwiązań. Pisałem o idei polsko-ukraińskiego związku państwowego, być może federacji, może jakiejś innej formuły pogłębionej współpracy. Nie dlatego, że dziś jest to idea realna albo że Polacy i Ukraińcy tego chcą. Jestem jednak zdania, że skala wyzwań, przed którymi stoimy, będzie zmuszała

nas do uruchomienia tytanicznego wysiłku całego pokolenia Polaków. Moi adwersarze są zdania, że nowy polsko-ukraiński traktat o współpracy rozwiąże te kwestie i nie ma potrzeby snuć projektów bliższych związków. Trudno mi sobie wyobrazić, by tego rodzaju umowa mogła zmobilizować nasze obydwa narody do wielkiego wysiłku związanego z rozwiązywaniem problemów, które tylko powierzchownie nakreśliłem. Potrzebne są koncepcje ożywiające wyobraźnię i dające impuls do wysiłku dla całego pokolenia również dlatego, że przez ostatnie 30 lat po obydwu zresztą stronach niewiele zrobiono i dziś, w znacznie gorszym położeniu geostrategicznym, musimy nadrobić opóźnienia.

W maju 1950 r. Robert Schumann i Jean Monnet opracowali plan polityczny, rzucili ideę, która siedem lat później doprowadziła do powstania pierwszych organizacji dających początek Unii Europejskiej. W ówczesnych realiach psychologicznych, pięć lat po wielkiej wojnie, w której Europejczycy walczyli z sobą, było to jeszcze trudniejsze i mniej realne niż dziś rzucona idea związku państwowego Polski i Ukrainy. Ale wówczas praca na rzecz tego projektu wynikała z oceny sytuacji geostrategicznej, w której Europa Zachodnia znalazła się po wojnie. My dziś jesteśmy w podobnej, przełomowej, jeśli chodzi o skalę wyzwań, sytuacji i dlatego musimy zacząć poważnie myśleć o nowych rozwiązaniach i formułach. Gdyby Schumann i Monnet zaproponowali w 1950 r. reaktywowanie Ligi Narodów, to najprawdopodobniej niczego by nie osiągnęli.



DYWERSYFIKUJEMY DOSTAWY GAZU

Dzięki dużemu doświadczeniu w tej gałęzi przemysłu oraz dywersyfikacji źródeł pozyskiwania surowca zapewniamy **stabilne** oraz **bezpieczne dostawy** gazu ziemnego dla naszych klientów.

Wydobywamy gaz u wybrzeży Norwegii, stale **zwiększając liczbę koncesji**. Importujemy LNG z Kataru i USA. Mamy kontrakty na Litwie oraz koncesje w Pakistanie, Emiratach Arabskich i na Ukrainie.

Już w 2022 roku planujemy **zwiększenie wydobycia gazu** z Norweskiego Szelfu Kontynentalnego do ok. 3 mld m³ rocznie.

Dziś wcześniej zaczęli

Relacja z Ukrainy

Rosjanie za wszelką cenę chcieli zestrzelić ukraińską flagę z masztu przed wiejskim urzędem w Lemnach. Ostrzał zniszczył skrzydło budynku, przed którym wciąż powiewa podziurawiona niebiesko-żółta flaga

Od początku wojny byłem na Ukrainie trzy razy. Lwów, Kijów, Bucza, Irpień, Odessa, Mikołajów... To, że wojna zmienia ludzi, nie jest wielkim odkryciem, ale skala tych zmian i ich tempo może na Ukrainie zaskakiwać. Czy jeszcze kogokolwiek szokuje skala zbrodni popełnianych przez rosyjską barbarię? Nie wiem. Czerwcowy wyjazd zapamiętam na długo. Zwłaszcza Lemany. Było naprawdę niebezpiecznie



ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI

Ukraina okrzepła, powoli, acz nie bez bólu przywykła do sytuacji, w której się znalazła po 24 lutego. Wobec względnie bezpiecznych części kraju, centralnej i zachodniej, miasta próbują wracać do normalnego funkcjonowania. Dłuższe letnie dni skróciły godzinę policyjną, dzięki czemu sklepy i lokale mogą być otwarte również wieczorami. Praca jest obecnie dobrem deficytowym. Wojna spowodowała zamknięcie wielu firm. Jednych z powodu braku rąk do pracy – kobiety wyjechały

za granicę, mężczyźni bronią ojczyzny – inne upadły na skutek zerwanych łańcuchów dostaw. Spadek mocy nabywczej społeczeństwa wymusił wiele oszczędności. Popyt m.in. na usługi turystyczne czy sportowe właściwie przestał istnieć. Rząd uruchomił kampanię społeczną, której główne hasło „Twoja praca – twoja broń” przypomina cywilom, iż bez ich wysiłku żołnierze nie będą mieli ani czym, ani o co walczyć na froncie.

Naulicach Lwowa, Kijowa czy Odessy nie ma już prawie „języków” – zapory przeciwczołgowe trafiły w rejony walk, gdzie są bardziej przydatne. Nie wszystkie bunkry i punkty kontrolne są nadal obsadzone przez żołnierzy. Część zamkniętych ulic została udostępniona do ruchu, jednak leżące na poboczach różnorodnych blokad mogą szybko zostać ponownie ustawione na jezdniach. Na dworcach jest spokojniej, największe

fale uchodźców już opuściły Ukrainę. Jedyne na kijowskim głównym dworcu kolejowym ustawiono wykrywacze metalu i aparaty do prześwietlania bagaży.

Zmiany wyglądają na przemyślane i pozwalają na lepsze zarządzanie zasobami, niż było to w pierwszym, dość chaotycznym miesiącu wojny, kiedy nikt nie wiedział, czego się spodziewać, i wszędzie przygotowywano się na najgorsze.

W IRPIENIU

Tam, gdzie się to wydarzyło – w Irpieniu i Buczy – wraca powoli choć namiastka normalności. Ci, którzy mają do czego wracać, nieśpiesznie, acz konsekwentnie to robią. Jeszcze do niedawna w Irpieniu nie było niczego – wody, prądu, ogrzewania, nadziei. Po opuszczeniu miasta przez rosyjskich zbrodniarzy najpierw wrócili pierwsi



Irpiń – zakatowany, ale nie złamany

mieszkańcy – sprawdzić, czy dorobek ich życia przepadł, czy może szczęśliwym trafem ich dom ocalał. Przez pierwsze tygodnie po powrocie żyli w zrujnowanym mieście dzięki żywności dostarczanej tam w ramach pomocy humanitarnej.

W Irpieniu rozmawiałem z Miszą, jednym z mieszkańców miasteczka. Uciekł on wraz żoną i dziećmi jeszcze pierwszego dnia wojny. Wrócił po ponad dwóch miesiącach. Jego pasją jest alpinizm i wspinaczka. Dzięki nabytym umiejętnościom wraz ze znajomymi wykonują teraz prace na wysokościach – głównie naprawiają uszkodzone w skutek rosyjskiego ostrzału dachy budynków.

– Teraz już jest w miarę normalnie. Stopniowo przywrócono dostawy prądu i wody, a tydzień temu otworzył się na nowo supermarket – mówił z uśmiechem na twarzy. Misza na mapie w telefonie przygotował trasę po najbardziej zniszczonych rejonach miasta. Pokonałem ją na pożyczonym od niego rowerze. Przemierzając morze spalonych i zburzonych budynków – zarówno bloków, jak i jednorodzinnych posesji – trudno nie zgodzić się z hasłem, które widnieje na wielkiej tablicy witającej wjeżdżających do miasta: „Irpiń – zakatowany, ale nie złamany”. Między gruzami życie toczy się jednak dalej – matki spacerują z dziećmi, półdzikie koty śpią na tylnych kanapach podziurawionych kulami samochodowych wraków.

Ale tysiące ludzi nie mają do czego wracać. W wyniku ciężkich walk i celowych podpalení około połowa z ponad 60 tys. mieszkańców utraciła dach nad głową. Odbudowa miasta pochłonie znaczne kwoty i będzie trwała latami. Zaszczytny tytuł miasta-bohatera Ukrainy przyznany Irpieniowi 24 marca 2022 r. w przyszłości będzie powodem



do dumy, ale teraz trzeba przywrócić w nim normalność. Istotnym i już wykonanym krokiem ku temu jest częściowa odbudowa mostu przywracająca połączenie kolejowe z Kijowem.

W BUCZY

W szczególnie dotkniętej bestialstwem rosyjskich żołnierzy Buczy nie ma aż tak poważnych zniszczeń. Tam dzicy najeźdźcy skierowali swój gniew przeciwko bezbronnym mieszkańcom. Na jednym z placów na skraju miasta władze składują spalone samochody i zniszczone transportery opancerzone. To osobliwe cmentarzysko robi wyjątkowo przynębiające wrażenie. Góry z aut ułożonych warstwa na warstwie – na niektórych można jeszcze odczytać nie do końca wypalone napisy, na jednym z nich – po polsku. Oderwane od stalowych kadłubów wieżyczki z powyginanymi lufami czy rozerwane od wewnątrz wybuchami amunicji połowy pancernych pojazdów unaoczniają, z jak wielkimi siłami ludzie muszą mierzyć się na wojnie.

W KIJOWIE

Kijów po odepchnięciu najeźdźców odechnął. Metro wróciło do normalnego, częstego kursowania, znaczna część

centrum miasta jest ponownie udostępniona dla spacerowiczów, którzy chętnie z tego korzystają. Inni spędzają czas na plaży na Wyspie Truchanowskiej, jeszcze inni mimo zakazu szukają ochłody, kąpiąc się w Dnieprze. Dużym zainteresowaniem cieszą się zniszczone

rosyjskie czołgi i pojazdy pancerne ustawione na pl. Michajłowskim. W tym duchu powstała też wystawa w Muzeum Konfliktów Lokalnych, w którym są prezentowane zdobyte insygnia najeźdźców, żywność, wyposażenie wojskowe, rosyjskojęzyczna mapa Kijowa z ręcznie zaznaczonymi stacjami metra i komisariatami policji.

W ODESSIE

W Odessie też już nie czuć takiego napięcia. Podczas mojego czwartego już pobytu w tym mieście po raz pierwszy udało mi się dotrzeć do jego perły – budynku opery i teatru baletu. Dotychczas kilka kwartałów go otaczających było zamknięte, ufortyfikowane i pilnie strzeżone. Opatulona workami z piaskiem opera niemal cztery miesiące od wybuchu wojny ponownie otworzyła swoje podwoje dla wykonawców i publiczności. 17 czerwca odbyło się w niej pierwsze przedstawienie. Jego spontaniczną częścią było odśpiewanie hymnu Ukrainy przez wszystkich zgromadzonych – artystów i publiczność, tak jak trzeba, na stojąco i donośnie. Dzień później Aleksander Tkaczenko, ukraiński minister kultury, wyraził zadowolenie z powrotu spektakli do kolejnego już teatru i nazwał kulturę drugim frontem walki z Rosją.

W każdym z ukraińskich miast codziennie spokój burzą dźwięki syren ogłaszających alarmy przeciwlotnicze. W Odessie ich wycie rozlega się wyjątkowo często. Przelatują nad nią rakiety wystrzeliwane przez okręty rosyjskiej floty czarnomorskiej. Czulem się nie-swojo, obserwując nocne niebo z mieszkania na 17. piętrze. Każdy ze świetlistych obiektów mknących przed moimi oczami niósł morderczy ładunek w głąb Ukrainy. Niektóre z nich jednak spadały na Odesę, a najwyższy w okolicy budynków, w którym nocowałem, mógł być przypadkiem lub – znając zbrodnicze zapędy Rosjan – celowo trafiony. Na szczęście praktycznie zawsze Zbrojne Siły Ukrainy (ZSU) odpowiadały na nadlatujące zagrożenie. Z wysokości doskonale było widać ogień z silników rakiet startujących, by odeprzeć zagrożenie, czy słysząc huk wystrzałów dział obrony przeciwlotniczej.

Jura, właściciel mieszkania, dzięki którego uprzejmości mogłem przyglądać się tym „gwiazdnym wojnom”, jak większość Ukraińców już przywykł do ciągłego zagrożenia. Z naszych rozmów wynikało, że jednak nie każdy potrafi sobie z tym poradzić. – Nie wszyscy mogą czy chcą wyjechać za granicę. Trudno jest żyć w ciągłym strachu, bez pracy i w każdym tygodniu dowiadywać się, że zginął kolejny twój znajomy. U ludzi pojawiają się problemy psychiczne, depresja i inne zaburzenia – mówił.

W MIKOŁAJOWIE

Do Mikołajowa pojechałem z Olgą, fotograf z Odessy. Dzięki jej znajomościom udało nam się pożyć z zatankowany samochód.

Niegdyś półmilionowy Mikołajów był najważniejszym ośrodkiem budowy nawodnych okrętów wojennych w ZSRS. Tam powstała większość okrętów floty czarnomorskiej oraz jedyny rosyjski lotniskowiec Admiral Kuzniecowa. Obecnie miasto znajduje się w strefie przyfrontowej. Odległy o mniej więcej 50 km Chersoń jest już okupowany przez Rosjan. Ma to istotne znaczenie dla Mikołajowa i nie chodzi wyłącznie o zagrożenie. W momencie zdobycia Chersonia okupanci odcięli dopływ słodkiej wody, która wodociągami była



W Mikołajewie z kranów płynie słona woda. Pićna jest dostarczana ciężarówkami w kilka miejsc, z których mieszkańcy czerpią ją do butelek i wiader

dostarczana z chersońskiej stacji uzdatniania do mikołajowskich odbiorców. Teraz z kranów w całym Mikołajowie płynie woda techniczna – słona. Do kilku punktów w mieście ciężarówki dostarczają wodę pitną, skąd ludzie noszą ją np. w wiadrach do swoich domów.

Mimo że front jeszcze nie dotarł do Mikołajowa, wojna odcisnęła już na nim swoje piętno. Ulice świecą pustkami, wiele sklepów jest zamkniętych, a ich witryny zabezpieczone drewnianymi płytami. Większość sztyw w oknach mieszkań jest zaklejona taśmą samoprzylepną, zdarzają się też zabezpieczone barykadami zbudowanymi z książek. Chodniki, jezdnie, drzewa i elewacje budynków są poronione odłamkami z wybuchających tu często bomb kasetowych i rakiet, spadających niemal codziennie na miasto.

Dwa razy Rosjanom udało się przebić przez ukraińską obronę w okolicy Mikołajowa, za pierwszym razem przez linię frontu przeleciały śmigłowce, ale zanim doleciały do miasta, zostały zneutralizowane. Innym razem dwóm czołgom udało się wdrzeć w głąb miejskiej zabudowy – doszło do ulicznej walki, ale pozbawione wsparcia pojazdy szybko zakończyły swój żywot pod ogniem obrońców.

W mieście działają różne organizacje udzielające mieszkańcom pomocy humanitarnej. Umawiamy się na rano następnego dnia z wolontariuszem, który będzie dostarczał żywność do pobliskich wsi. Żora kupił niewielki bus na potrzeby swojej firmy turystycznej. Po biznesie nie ma już śladu, ale auto przydaje się do pomagania innym. Sam przyznaje, że wolontariat jest dla niego również formą terapii. Pozwala zająć się czymś, przestać ciągle myśleć o wojnie i czuć się przydatnym.

Późnym wieczorem, już po godzinie policyjnej, rozlega się wycie syren. Alarm przeciwlotniczy przeczekujemy



Okno zabezpieczone barykadą z książek, Mikołajew

w wynajętym mieszkaniu. Na miasto spadają rakiety. Słyszymy pracę ich silników i kilka chwil później głucho wybucha.

Rano wsiadamy do busa Żory. Jedziemy do pobliskich wsi na południe od miasta. – Może to wydawać się dziwne, ale ludzie na wsiach proszą nas o karmę dla psów – zaczyna opowiadać. – Bezpańskie, porzucone czy osierocone zwierzęta łączą się w watahy, dziczej i z głodu napadają na ludzi.

– Miałem wezwanie do wojska, ale na komisji powiedzieli, że to, co tutaj robię, jest równie ważne i finalnie nie dostałem powołania – powiedział, kiedy mijaliśmy zamaskowany na poboczu wóz pancerny.

W LEMANACH

Przez częste kontrole dokumentów pokonanie kilkunastokilometrowego odcinka zajmuje sporo czasu. Na ostatnim blokopóście nie pomaga ani polski paszport, ani moja ukraińska akredytacja. Dalej zagraniczny dziennikarz nie może poruszać się samemu. Musimy poczekać, aż przyjedzie po nas ktoś z miejscowych władz, by miał baczenie na to, co fotografuję w terenie przyfrontowym. Na szczęście Żora zna miejscową starostę Natalię Fiodorownę, która może po nas wyjechać. Cofamy się przed umocniony



Dzięki pracy Natalii Fiodorowny w Lemanach jeszcze da się żyć



Ślad na jezdni po ostrzale, Mikołajew

punkt kontrolny i stajemy na skraju drogi, przed tabliczką ostrzegającą o minach na otaczających nas polach.

Konwojowani przez starostę dojeżdżamy do Leman. Wieś jest wyludniona, większość zabudowań zniszczona lub pokaleczona ostrzałem. Natalia Fiodorowna okazuje się tytanem pracy. W dwóch wsiach zarządza wszystkim. Koordynuje prace wolontariuszy, załatwia wznawianie dostaw prądu, organizuje potrzebną pomoc. W najcięższym momencie miała pod opieką kilkuset uchodźców i dała radę. Jej mąż, jak większość mężczyzn, jest na froncie. – Teraz, kiedy wolontariusze dostarczają nam wszystko, jest już w miarę dobrze. Brakuje leków, ale i w Mikołajowie też ich nie mają – mówi, stojąc przed na wpół zrujnowanym budynkiem wiejskiego urzędu, w którym ma swoje „biuro” i magazyn. – Orki koniecznie chciały zestrzelić naszą flagę – wskazuje na zburzone skrzydło budynku. – Najpierw strzelali z karabinów, potem z moździerzy i wyrzutni rakiet. Uszkodzili maszt, zniszczyli dom, ale my flagi nie zdejmujemy. Ci barbarzyńcy codziennie nas ostrzeliwują. Chcą nas wszystkich pozabijać – mówi, pokazując wystającą z ziemi głowicę rakiety, która kilka dni temu tu spadła, ale nie wybuchła.

Natalia Fiodorowna nie ma zbyt wiele czasu, ciągle przychodzą do niej ludzie z różnymi sprawami. Podchodzę do siedzących w pobliżu starszych pań. – O, żurnalist do nas przyjechał – zagaduje jedna z nich. – A skąd ty? – Z Polski – odpowiadam. Wszystkie się uśmiechają. Dziękują za pomoc udzielaną uchodźcom. Jedna pyta, czy lubię czereśnie. Nie czekając na odpowiedź, dzwoni do kogoś i prosi na nazwanie wiadra owoców dla polskiego korespondenta. Rozmawiamy kilka



W czasie rozmowy z kobietami rozpoczął się ostrzał artyleryjski Leman

minut. Pytam, dlaczego nie wyjechały. Jedna z nich na dwa miesiące pojechała do Winnicy, ale tęskniła za domem i wróciła. Sąsądek, nie chcą wyjeżdżać, tu mają swoje domy, groby przodków, swojego księdza, dokąd miałyby jechać. – A jeżeli Ruscy zajęliby wieś? – pytam. – A co nam starrym mogliby zrobić? – odpowiadają. Zostaną tu, nawet jeżeli Lemany zostałyby włączone do Rosji, ale nie wierzą w taką możliwość – ukraińska armia ich broni i do tego nie dopuści. Jedna z nich ma syna w okupowanym Chersoniu, martwi się o niego. – Został tam z rodziną, chce wyjechać, ale teraz nie ma jak.

– O, dziś wcześniej zaczęli – wtrąca się inna. Zanim zdążyłem zapytać, świst i niewyobrażalny wręcz huk dały mi odpowiedź – ruscy artylerzyści zaczęli swoją pracę wcześniej, a Lemany były jej celem. Kolejne wystrzały zza oddalonej o mniej więcej 10 km linii frontu słyszałem już i ja. Po chwili następowały po nich potężne eksplozje w naszej okolicy. Za każdym razem łoskot był wręcz niewyobrażalny – huk taki, jakby przewrócił się potężny budynek.

Żadna z moich rozmówczyń nie zareagowała na ostrzał. – My już przy-

wykłszyśmy – powiedziała jedna, kiedy je o to spytałem. Przed pociskami artyleryjskim w Lemanach nie ma żadnego schronienia, takiej sile nie oprze się tutaj nic. To gra, o ironio, w rosyjską ruletkę – trafi albo nie trafi. Przeżyjemy albo nie.

Krótko po rozpoczęciu bombardowania wsi przyjechał na sygnałach wóz strażacki i żołnierze. Mielśmy jeszcze zobaczyć zniszczoną wcześniej szkołę, ale wojskowi nakazali opuścić nam wieś. – Zagrożenie dla was jest za duże. – A dla was? A dla mieszkańców? Pytania zostały bez odpowiedzi.

Wyjeżdżamy. Mielśmy zobaczyć efekty rosyjskich zbrodni w kilku wsiach, a zobaczyliśmy to na żywo, bo jak inaczej nazwać ostrzeliwanie cywilnych zabudowań?

Po drodze zabieramy do auta idącą wzdłuż drogi kobietę z synem. – Wojna to wielkie zło, ale gdyby nie było zła, ludzie nie wiedzieliby, czym jest dobro. Wcześniej tak nie było, ale teraz wszyscy pomagamy sobie nawzajem – mówi Żora, zamykając za nowymi pasażerami drzwi. – Dzięki tej wspólnej sile mamy nadzieję, że zwyciężymy.

Ukraiński pułkownik z Rzeczpospolitą w duszy

W trakcie bitwy o Kijów był w stolicy i wokół niej, gdy zaś ciężar wojny przeniósł się do Donbasu, płk. Wiktora Czaławana można spotkać właśnie tam. Wojowniczy oficer, ukraiński patriota, polonofil i sympatyk... PiS. Wieloma aktywnościami pułkownik nas jeszcze zaskoczy



**JAKUB AUGUSTYN
MACIEJEWSKI**

Był początek marca, gdy wokół Kijowa rozwijała się rosyjska ofensywa. Wolontariusze z organizacji Piotr i Mazepa zastawiali stół dla swoich gości, gdy nagle w sąsiednim pokoju rozbrzmiał Mazurek Dąbrowskiego. „Jeszcze Polska nie zginęła” – tak zaczyna się dzwonek płk. Wiktora Czaławana, a że telefony musi odbierać bardzo często, jego adiutanci słyszą polski hymn narodowy nawet kilkadziesiąt razy dziennie. Do jadalni wchodzi ukraiński oficer wzrostu Michała Wołodyjowskiego i kresową, staruteńką polszczyzną półzartobliwie przedstawia się z szerokim uśmiechem: – Pułkownik Wiktor Czaławana, kawaleria polska.

Na tej rosyjsko-ukraińskiej wojnie, w bombardowanym Kijowie, powiało nagle fantazją dawnej Rzeczypospolitej.

BABCIA POLKA

Muła, bo taki nosi wojenny pseudonim od ponad ćwierćwiecza, mówi po polsku z wschodnioeuropejskim akcentem. Jego polszczyzna pobrzmiwa kresowym zaciąganiem przedwojennych aktorów, a składnia i słownictwo nosi ślady staropolszczyzny. – Panie Jakubie, miło mi powiedzieć panu, że babka moja była Polką – tłumaczy oficer. To właśnie swojej babce zawdzięcza znajomość specyficznej odmiany naszego języka. Babka, Aleksandra Jadwiga Cilińska, urodziła się w Wiedniu jeszcze w czasach Austro-Węgier. Jako polska szlachcianka czuła się w obowiązku kilkadziesiąt lat później nauczyć swojego wnuka zarówno języka polskiego, jak i francuskiego. Angielskiego nauczył się już jako oficer armii ukraińskiej i doradca kilku ministrów, rosyjski i ukraiński zna jako rodowity Ukrainiec.



Barwna osobowość pana pułkownika przebija w kolejnych rozmowach i na spotkaniach, w których uczestniczyliśmy w ciągu ponad 100 dni wojny. Na prawym ramieniu nosi herb – podwójny krzyż z półksiężcem, o którym mówi, że należał do jego przodków. W wojennych realiach trudno przysiąść z pułkownikiem choć na chwilę, by uporządkować jego genealogię, ale ze spontanicznych anegdot rzuconych w nieoczekiwanych okolicznościach wylania się obraz ukraińskiego przyjaciela Polski i Polaków, któremu babcia musiała przekazać o wiele więcej niż jedynie znajomość naszego języka.

PUŁKOWNIK RZECZYPOSPOLITEJ

Ukraińcy ogólnie znają historię Rzeczypospolitej szlacheckiej, której byli częścią chociażby jako Kozacy. Przewijają się przez codzienne rozmowy postaci hetmana Piotra Konasze-wicza-Sahajdacznego czy Bohdana Chmielnickiego, znajomość więzi polsko-ukraińskich odżywa teraz, gdy wzajemną sympatię i wspólny interes widzimy w dniach wojny. Ale Czaławan jest na tych więziach wychowany głębiej. Na dość nieoczekiwanym spotkaniu z ambasadorem Bartoszem Cichockim recytuje nagle „Wesele” Wyspiańskiego, kiedy poeta definiował położenie Polski: „Niech tak Jagusia przymknie rękę pod pierś. – To zakładka gorseta, zeszyta trochę przy-ciaśnie. – A tam puka? – I coś za tako nauka? Serce? – A to Polska właśnie”. W domu oficer powiesił na ścianie wielką reprodukcję obrazu Wojciecha Kossaka „Olszynka Grochowska”, przedstawiający zawzięty bój powstańców listopadowych z Rosjanami Iwana Dybicza. Pułkownik opowiada z finezją: – Moja rodzina walczy z Rosjanami od XVIII w. Można powiedzieć, że mamy sobie z państwem rosyjskim wiele tematów do omówienia, oj, wiele tematów.

Z całej aktywności Czaławana wynika, że Polska i Ukraina muszą trzymać się razem, inaczej zostaną zniszczone. Oficer podczas jazdy na spotkanie z doradcą prezydenta Zelenskigo zagaduje: – Wierzę, że Piłsudski miał rację, gdy w 1920 r. mówił: „Bez niepodległej Ukrainy nie może być niepodległej

Polski”. W innym momencie pułkownik wznosi toast i kieruje słowa do Polaków obecnych przy stole: – Teraz my walczymy „za wolność waszą i naszą”.

DO RZĄDU PRAWA I SPRAWIEDLIWOŚCI

Upewniałem się u pułkownika trzy razy, czy na pewno o tym napisać, wszak wojskowy oceniający politykę ryzykuje ściąganie na siebie fali krytyki. – Ależ bezapelacyjnie, proszę napisać, że wdzięczny jestem waszemu rządowi za jednoznaczną pomoc mojej ojczyźnie. Za przekazanie broni. Od lat przyglądam się polityce Prawa i Sprawiedliwości i cieszę się, że pracują oni nad bezpieczeństwem Rzeczypospolitej – mówi.

Czaławan nie kryguje się, bo też i ma swoje polityczne koneksje, kiedyś współpracował z prezydentem Wiktorem Juszczenką, poznał też śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego i jego otoczenie. – Proszę pozdrowić pana ministra Pawła Siołocha i pana prof. Andrzeja Zybortowicza – uśmiecha się wojskowy. W pokojowych czasach spotkał się na jakichś oficjalnych rozmowach dotyczących bezpieczeństwa, bo przecież ten pierwszy jest szefem Biura Bezpieczeństwa Narodowego, ten drugi jego ekspertem.

Sympatia kadry oficerskiej dla władz Rzeczypospolitej nie jest odośniona. Wdzięczność dla prezydenta Andrzeja Dudy czy – ogólniej – rządu polskiego słychać w okopach Donbasu zawsze, gdy pojawi się tam jakiś Polak. Historia zapisze to kiedyś złotymi zgłoskami, na razie warto odnotować to w relacjach i wywiadach.

W OBRONIE OJCZYZNY

Ale przede wszystkim Wiktor Czaławan jest ukraińskim oficerem, żołnierzem, który w mundurze spędził już ponad ćwierć wieku. Od początku bronił Donbasu, poznając ze swoimi podopiecznymi każdy zakamarek, las czy zagajnik wschodnich regionów. O specjalnych oddziałach policji, które powołano w 2014 r. do obrony zaatakowanego terytorium, Czaławan mówi precyzyjnymi liczbami. – Służyło tam 6,5 tys. ludzi, zginęło 303, a 862 zostało rannych. A to

wszystko w pierwszym, intensywnym, gorącym okresie walk po Majdanie.

Wspomina też i jasne punkty służby: – Zawarto 134 małżeństwa – uśmiecha się pułkownik, który swoich ludzi traktuje jak własne dzieci.

Z oficerem rozmawiamy w Kijowie, potem w małych miasteczkach Donbasu. Nigdy nie da się z nim usiąść na pełne 15 min, bo albo ktoś dzwoni („Jeszcze Polska nie zginęła”), albo przychodzą meldunki, po których Czaławan rozwija papierową mapę i dalekomierzem sprawdza postępy Rosjan. – Nie jest tak źle – mruczy do siebie, gdy Moskale zdobyli Popasną.

Chciałoby się go zatrzymać na chwilę na pełny wywiad, ale pułkownik pojawia się i znika, dopiero po pewnym czasie pokazuje zdjęcia, na których przechadza się wśród zniszczonych rosyjskich czołgów ze swoim oddziałem. – Gdy Rosja napadła, nie byłem pewien, czy zdążymy, czy naród zdąży... – zamyśla się w pewnej chwili. I uzupełnia: – Czy naród zdąży powstać, zanim nasze wojsko przyjmie na siebie ten potężny atak.

Wystarczyły jednak dwa, trzy dni – po pierwszym szoku pełnoskalowego wtargnięcia armii Putina – i Ukraińcy powszechnie rzucili się do walki, na tyłach wroga organizowali spontaniczną dywersję.

Wojna wydaje się dla pułkownika naturalnym żywiołem, twardo znosi raporty o stratach, z okrzykiem satysfakcji nalicza straty wroga, jest pełen energii, nie potrzebuje wiele snu, dba o kondycję fizyczną, wszędzie go pełno. Wrażenie jest jednak mylne. – Ależ nie, Jakubie, nic z tych rzeczy. Ja kocham spędzać czas z rodziną, lubię dobre whisky i dobre cygara, nie chcę żadnej cholernej wojny... Chcę jednak obronić moją ojczyznę, to jest teraz absolutnie najważniejsze.

Zbrodnicza inwazja ujawniła wyraziste postacie, wyciągnęła na pierwszy plan patriotów, zepchnęła na margines tchórzy i zdrajców. W tej wojnie warto się przejrzeć jak w zwierciadle prawdy o nas samych – kto i jak się angażuje, gdy totalitaryzm XXI w. morduje niewinnych ludzi w napadniętym kraju. O bohaterach będą pisać i następne pokolenia, ale wśród zasłużonych, zaangażowanych, wybitnych warto się rozejrzeć już teraz.



Przed nami kampania, która rozstrzygnie o przyszłości Polski

Prezes Jarosław Kaczyński ogłosił wielką mobilizację, każdy rusza w teren, ja wraz z Forum Młodych PiS też. Z tych pierwszych spotkań wyłania się pozytywny obraz, ale nie osiadamy na laurach. Potrzeba wielkiej mobilizacji, ogromnego wysiłku, sprawności

Michał Karnowski rozmawia z *Michałem Moskałem*, szefem gabinetu politycznego wicepremiera Jarosława Kaczyńskiego, przewodniczącym Forum Młodych Prawa i Sprawiedliwości

Po 20 miesiącach na stanowisku wicepremiera Jarosław Kaczyński odszedł z rządu. Pan w tym czasie pełnił funkcję dyrektora jego gabinetu politycznego. Z pana perspektywy – jaki to był czas?

Michał Moskał: Wyjątkowo trudny. Myślę, że można postawić tezę, iż nie tylko w okresie rządów Zjednoczonej Prawicy, ale i od początku wol-

nej Polski. Z jednej strony pandemia COVID-19, czyli największy kryzys zdrowotny we współczesnym świecie, a z drugiej strony wojna na Ukrainie – największa wojna w naszym regionie od zakończenia II wojny światowej. Uważam, że mamy dużo szczęścia, iż w tym trudnym czasie mamy dobry rząd, bo jeszcze pamiętamy, jak z dużo mniejszymi kryzysami nie radził so-

bie rząd PO-PSL. Państwo odsuwało się wtedy od problemów obywateli, zwijało, a na kłopoty miało jeden pomysł: podwyżkę podatków. Obóz pana premiera Kaczyńskiego podchodzi do tego zupełnie inaczej i to przynosi efekty.

Dlaczego Jarosław Kaczyński zrezygnował z funkcji wicepremiera?

Co zdecydowało?

Poważne traktowanie zasad. Skoro postanowił skupić się na przygotowaniu partii do kampanii, to nie mógłby w pełni poświęcać się funkcji w rządzie.

A dlaczego musiał się skupić?

Bo my poważnie traktujemy demokrację i wiemy, że rządzi ten, kto wygra wybory, stale zabiegamy o demokratyczny mandat do rządzenia. To jedynie Platforma Obywatelska uważa, że demokracja jest tylko wtedy, gdy ona rządzi. Kiedy traci władzę, to zaraz krzyczą o reżimie. To zresztą chyba stała cecha sił liberalnych. Teraz, po wyborach we Francji, Francuzi też usłyszeli, że zmiana rządu byłaby niebezpieczna dla kraju. Dziwne to podejście. My mamy głębokie przekonanie, że rząd PiS wprowadza dobre zmiany, przeprowadził nas przez trudne kryzysy, stawia czoło kolejnym, ma dobry plan rozwoju Polski, uczynienia jej bezpieczną. Ale by go zrealizować, musimy wygrać wybory.

Sytuacja wojenna nie była argumentem za przedłużeniem misji w rządzie?

Była i wojna przedłużyła obecność premiera Kaczyńskiego w Radzie Ministrów o kilka miesięcy. Popatrzmy spokojnie na fakty: celem wejścia pana prezesa do rządu było przygotowanie państwa na sytuację zagrożenia w postaci kluczowych ustaw, a także zarządzanie bieżącymi kryzysami jak ten na granicy z Białorusią, czego elementem jest budowa zapory. Do tego dochodzi wiele przedsięwzięć, o których nie można dziś dużo powiedzieć, są bowiem objęte klauzulami tajności. Z kolei w sferze bezpieczeństwa myślenie przyczynowo-skutkowe musi mieć szczególny wymiar. Gdybyśmy ulegli presji opozycji i Łukaszenko zdołałby przebić przez Polskę korytarz dla nielegalnych migrantów z całego świata, to prawdopodobnie dziś byłibyśmy państwem sparaliżowanym, społeczeństwem zmęczonym, które nie mogłoby udzielić pomocy prawdziwym uchodźcom wojennym.

Wielu Polaków ma dziś refleksję, że atak wschodnich dyktatorów na Zachód nie zaczął się tak naprawdę wtedy – w momencie próby przebicia polskiej granicy przez służby białoruskie.

To był jej element. Ale pamiętajmy, że ta wojna zaczęła się w 2014 r., w momencie bezprawnego zajęcia przez Rosję Krymu, rozpętania konfliktu na wschodzie Ukrainy. Jeśli jednak spojrzymy wstecz jeszcze dalej, to widzimy całą serię agresywnych i wojennych

Widzę, jak w moim pokoleniu zmieniają się postawy. Wielu z nas uwierzyło, że historia się skończyła, że żaden fizyczny, wojenny konflikt nie jest w dzisiejszym świecie możliwy, a w związku z tym stare formy działania, państwo, wojsko, patriotyzm to są jakieś przeżytki, archaizmy. To zostało brutalnie zweryfikowane

działań Moskwy, wojny czeczeńskie, najazd na Gruzję, tragedię smoleńską. Dziś cały świat widzi, że diagnoza śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego o neoimperialnym charakterze reżimu moskiewskiego była prawdziwa i precyzyjna. Po Gruzji zaatakowano Ukrainę, a na celowniku są państwa bałtyckie i Polska. Dlatego trzeba dziś zrobić wszystko, by zatrzymać agresora na jak najwcześniejszym etapie.

Ale też, jak podkreśla Jarosław Kaczyński, zbudować taką siłę militarną, by każdy wiedział, że atak na Polskę się nie opłaca, by skutecznie odstraszać.

Temu służy ustawa o obronie Ojczyzny, która zarysowała perspektywę armii co najmniej 300-tys., dysponu-

jącej najnowocześniejszym sprzętem, mającej solidne, stabilne finansowanie. To też pierwszy tak kompleksowy przegląd przepisów prawa dotyczących obronności od lat 60. XX w.! Uzupełnieniem tych rozwiązań będzie ustawa o ochronie ludności, która pozwoli państwu polskiemu jeszcze skuteczniej reagować na sytuacje kryzysowe, zdarzenia nieprzewidziane. Nie dziwi mnie, że te rozwiązania zostały tak mocno zaatakowane. Silne militarne i sprawne państwo polskie nie wszystkim się podoba. Do gry weszli też rozmaici lobbyści, agenci, a czasami grały rolę małe interesy, osobiste ambicje. Gdyby nie autorytet i polityczna skuteczność premiera Kaczyńskiego, tych oporów nie dałoby się przełamać.

Cały ten pakiet zakłada, że będą młodzi Polacy chcący służyć w wojsku, że będą chętni do odbycia przeszkolenia i służenia w ramach rezerwy. Trendy popkulturowe są jednak odwrótne, a wychowanie pedagogiką wstydu pozostawia poza wrażliwością narodową całe grupy młodych ludzi. Czy to się da przełamać?

Rządy Zjednoczonej Prawicy starają się pokazywać atrakcyjność polskości, piękno jej historii, wzmacniać wspólnotę narodową. Postawiłbym tezę, że dla wielu młodych ludzi przełomem była wojna na Ukrainie. Widzę, jak w moim pokoleniu zmieniają się postawy. Wielu z nas uwierzyło, że historia się skończyła, że żaden fizyczny, wojenny konflikt nie jest w dzisiejszym świecie możliwy, a w związku z tym stare formy działania, państwo, wojsko, patriotyzm to są jakieś przeżytki, archaizmy. To zostało brutalnie zweryfikowane. Nagle okazało się, że może nas spotkać dokładnie to samo co naszych dziadków: barbarzyński najazd okrutnego imperium, okupacja, gwałty i mordy. Zaledwie kilkaset kilometrów od naszej granicy, a gdyby nie wysiłek państwa polskiego, mogłoby to być tuż przy polskiej granicy. To doświadczenie dla młodszych pokoleń jest szokiem. Wielu nie mogło uwierzyć w to, co widzi. Mieli nadzieję, że to koszmarny sen.

Pytanie, jak się przebudzili?

Nie idealizując bezkrytycznie młodego pokolenia, warto dostrzec, jak wielu z nas zaangażowało się w pomoc Ukrainie i uchodźcom, wolontariat, rozmaite zbiórki. Widzimy młodych Polaków wstępujących do Wojska Polskiego, także w ramach wprowadzonej ustawą o obronie Ojczyzny rocznej dobrowolnej służby wojskowej. Widać dużą zmianę, która będzie się pogłębiała. Wojna przywróciła znaczenie wielu wartości, a jeszcze więcej, szczególnie tych liberalno-lewicowych, zweryfikowała.

Wierzy pan w jakąś refleksję opozycji? Nie miała racji co do charakteru ataków na granicę polską na odcinku białoruskim, nie rozpoznała istoty tamtych wydarzeń. Potem mówili, że zapora nie powstanie, Tusk kpił, że to będzie „wał”. Poszło w świat, żadne „przepraszam” nie padło, dalej grają w ten sposób.

To pewna choroba, na którą zapadła opozycja. Nieważne, co się dzieje, co robi rząd – na wszystko należy przeprowadzić totalny atak. Nie mówię już o sprawach nieco bardziej skomplikowanych, jak choćby kwestie ekonomiczne, ale o zupełnie podstawowych, jak bezpieczeństwo Polski. Przecież gdyby doszło do napaści na Polskę, ucierpieliby także oni, też ich wyborcy. To chociażby powinno skłaniać do odłożenia w tych kwestiach sporów politycznych. Ale nie umięją tego zrobić. Mam czasami smutne wrażenie, że większym wrogiem jest dla nich PiS niż wojska rosyjskie najeżdżające Ukrainę, że bardziej nienawidzą prezesa Kaczyńskiego, polskiego demokratycznego polityka, niż dyktatora Putina. Nakręcają cynicznie emocje swoich wyborców, co widać później chociażby po wpisach w internecie, ale w istocie jest to hodoowanie kolejnego Cyby.

Może uważają, że to będzie skuteczne? Zasmakowali w rozmaitych „sokach z buraka” i wiedzą, że w mediach społecznościowych każde kłamstwo rozchodzi się dziś masowo i bezkarnie, nie ma jak sprostować,

zaprzeczyc. Wiedzą, że tam mają przewagę, także dzięki żywiliwości gigantów technologicznych.

To możliwe, te zjawiska oczywiście także dostrzegam. Ale tu dochodzimy do istoty tego, czym jest konserwatyzm. My zakładamy, że na koniec dnia prawda musi wygrać. Wiemy, że idziemy drogą trudniejszą, że mamy pod górkę, ale uważamy, że innej wybrać nie można. Dlatego nie wejdzimy w tę rywalizację na obrzucanie obelgami, błotem, na wulgarne manifestacje, kłamstwa.

Młodzi ludzie są obecni na spotkaniach, wiecach, konwencjach PiS. Nie należy jednak tworzyć jakiejś specjalnej kategorii, szufladki, w której się ich traktuje infantylnie. Proponujemy coś odwrotnego: zaproszenie do poważnej rozmowy, do realnego działania na równych prawach z ludźmi doświadczonymi

Ostatnio Donald Tusk przekroczył kolejną barierę, pochwalając akcję posłanki Klaudii Jachiry, która w sali sejmowej wysypała skierowane banknoty. Uznał ją za „godną pochwały”. Co będzie dalej? Bójka na pięści?

Trzeba nazywać to po imieniu: to jest chamstwo, także wobec pracowników Sejmu, wobec pań, które tam ciężko pracują, dbają o porządek, a dla których efektem tego „show” była dodatkowa praca. Wcześniej to samo zrobiła Marta Lempart w siedzibie PiS przy ul. Nowogrodzkiej. Taka to wrażliwość lewicowa na ludzi pracy, taka feministyczna troska o inne kobiety. Ma to wszystko oczywiście także głębszy wymiar, wpisuje się w stałe odziera-

nie przez opozycję państwa polskiego z powagi, a polskiej wspólnoty politycznej z godności.

Dlaczego to robią?

Po pierwsze, to element widocznej w wielu sprawach niechęci do własnego państwa. Po drugie, to forma znieważania Polaków do angażowania się w politykę. Ma być to sfera niepoważna, cyrkowa, taka właśnie palikotowo-jachirowa. Uważam, że liczą na to, iż wtedy nikt nie będzie chciał z nimi konkurować. Stąd wizja polityki jako bagna, od którego trzeba się trzymać z daleka. Chodzi o to, by młodzi ludzie nie interesowali się polityką, bo jak się interesują, to trudniej robi się szemrane interesy.

Dzisiaj zmieniają ton: Campus Polska Przyszłości Rafała Trzaskowskiego, podobna akcja Donalda Tuska.

Tak, ale proszę zauważyć, że to jest skierowane głównie na sprawy ideologiczne, obyczajowe, na kwestie emocjonalne. Nie widzę tam zaproszenia młodych ludzi do poważnej rozmowy o naprawdę ważnych sprawach, nie słyszę zaproszenia do realnego współtworzenia polityki. I tu znowu musimy wrócić do wojny – ona pokazała wielu młodym ludziom, że ich uwagę świadomie kierowano na sprawy drugo-, trzeciorzędne. Widzą, że wyprowadzano ich w ten sposób w pole.

Czy jednak prawica nie powinna też spróbować tego rodzaju zgromadzeń?

Młodzi ludzie są obecni na spotkaniach, wiecach, konwencjach PiS. Nie należy jednak tworzyć jakiejś specjalnej kategorii, szufladki, w której młodzi są traktowani jak paprotki, infantylnie. Proponujemy coś odwrotnego: zaproszenie do poważnej rozmowy o Polsce i świecie, zaproszenie do realnego działania na równych prawach z ludźmi doświadczonymi. W ramach Forum Młodych Prawa i Sprawiedliwości mamy koła powiatowe i to się świetnie rozwija. Pandemia niestety na chwilę zatrzymała spotkania na żywo, ale dziś patrzę z radością, jak to się znów rozkręca.

Jakby pan określił ofertę ideową Forum Młodych?

To propozycja dla młodych konserwatystów, którzy nie chcą dać się rozpraszać przez sprawy trzeciorzędne, lecz chcą skupić się na tematach najważniejszych. Historia przyznała nam rację, bo młodzi też rozumieją, że choćby kwestie bezpieczeństwa zdecydują także o ich przyszłości. Jeśli Polska nie będzie potrafiła się obronić, to wszystko inne straci na znaczeniu. Tak jak wojna zniszczyła wiele marzeń i planów młodych Ukraińców. Patriotyzm i państwo polskie okazały się zaś nie jakimś przeżytkiem, ale największymi obrońcami praw, wolności i godności każdego człowieka.

Gdy ekipa Tuska wypychała swoją polityką miliony na migrację, gdy zwijała państwo, ludzie dziś wchodzący w dorosłe życie w najlepszym razie byli w szkołach średnich. Czy oni rozumieją, że polityka społeczna, państwowa, prorodzinna może być inna niż dzisiaj, a precyzyjniej, że może jej w ogóle nie być?

Wielu pamięta, bo przecież jako ludzie młodzi też obserwowali losy starszego rodzeństwa, kłopoty rodziców. Sam też pamiętam dobrze, jaka beznadzieja wtedy panowała. Czuliśmy wtedy jako pokolenie, że możemy skończyć studia prawnicze, inżynierskie, ale nic z tego specjalnego nie wyniknie, bo w Polsce nie będzie dla nas dobrej pracy. W mojej pierwszej pracy, choć wymagała ona płynnej znajomości języka angielskiego, zarabiałem 7 zł brutto na godzinę. Niemal trzy godziny pracowałem zatem na najtańszy obiad w stołówce obok miejsca zatrudnienia. Mało kto wierzył, że to można zmienić. Przyznaję, że sam nie wierzyłem choćby w możliwość wprowadzenia minimalnej płacy godzinowej. Zrobiono to. Podobnie jak zerowy PIT dla młodych, pomoc dla młodych rodzin. Ta skuteczność przyciągnęła mnie do działania w ramach PiS, podobnie innych. Dziś cele są inne, ambitniejsze, idziemy dalej, ale przesłanie jest podobne: naprawdę da się zmieniać Polskę.

Inflacja, drogie mieszkania – to bardzo uderza w młodych. Jak na to odpowiedzieć?

To wielkie wyzwanie. Źródłem tych problemów jest atak Rosji na Ukrainę, o tym trzeba mówić. Jednocześnie rząd i NBP robią wszystko, by inflację zmniejszyć, a skutki społeczne tego zjawiska zminimalizować. Opozycja z jednej strony żąda od nas wprowadzenia ostrych sankcji, by za chwilę winić rząd za ich skutki gospodarcze. To daje im pole do cynicznego żerowania na najniższych instynktach. Polaków jednak

Gdybyśmy ulegli presji opozycji i Łukaszenko zdołałby przebić przez Polskę korytarz dla nielegalnych migrantów z całego świata, to prawdopodobnie dziś byłibyśmy państwem sparaliżowanym, społeczeństwem zmęczonym, które nie mogłoby udzielić pomocy prawdziwym uchodźcom wojennym

nie da się tak łatwo oszukać. Wiemy, że lepiej być nawet nieco biedniejszym niż zniewolonym. Historia nas tego dobrze nauczyła. Co zatem proponuje nam opozycja? Ulec Putinowi? Przecież on gra właśnie na zmęczenie społeczeństw zachodnich wojną! Kto by sobie lepiej z tymi wyzwaniami poradził? Donald Tusk? Izabela Leszczyna, która zapowiedziała wprost, że PO pokaże program dopiero, gdy wygra wybory? Mieli okazję już swój program pokazać, a Polacy mają dobrą pamięć.

Wspomniał pan o pandemii. To był czas zamrożenia klasycznych form aktywności partyjnej i nikt

nie wiedział, w jakim stanie jest partia. Konwencja PiS w Markach 4 czerwca br. pokazała chyba jednak, że jest nieźle. Frekwencja okazała się tak duża, że choć tysiąc osób było na sali, drugie tyle musiało zostać przed nią – nie zmieścili się.

Frekwencja przekroczyła nasze oczekiwania i musieliśmy przeprosić tych, którym nie udało się wejść do środka. Ale poruszenie w strukturach i dobra energia napawają optymizmem. Tym bardziej że organizowaliśmy konwencję w krótkim czasie, nie zapraszając też zasadniczo działaczy z dalej położonych okręgów. Ucieszyło mnie, jak wielu młodych ludzi było na sali, w tym gigantyczna reprezentacja Forum Młodych PiS. Widać też wielką potrzebę bezpośredniego kontaktu, spotkań, rozmów i debat, bycia wśród ludzi. To było zawsze domeną naszej formacji i tak nadal będzie. Prezes Kaczyński ogłosił wielką mobilizację, każdy rusza w teren, ja wraz z Forum Młodych PiS też. Z tych pierwszych spotkań wyłania się pozytywny obraz, ale nie osiadamy na laurach. Przed nami kampania wyborcza, która rozstrzygnie o przyszłości Polski. Będzie wymagała wielkiej mobilizacji, ogromnego wysiłku, sprawności. Stąd też zmiana struktury partii – został wprowadzony podział na 94 okręgi, a za tym idzie również wielka odpowiedzialność, przed którą staną ich nowi szefowie.

Czy jest w pana ocenie szansa na trzecią kadencję?

Odpowiem tak: wiemy, co trzeba zrobić. Wiemy, że wyborcy zauważają i doceniają realne działania. Nie wierzę w gry z wyborcami i tworzenie polityki pod wyniki sondażów. To zawsze kończy się źle – i dla partii, które chcą tak prowadzić politykę, i przede wszystkim dla państwa. Dlatego nie zachwycamy się sondażami ani nie oglądamy się na opozycję, tylko robimy swoje. Naszym punktem odniesienia są wyłącznie Polacy. Jestem przekonany, że mamy wielkie szanse na zwycięstwo.

Przewodniczący partii słynącej z tego, że na różnych etapach wyrzucała z własnych szeregów wewnętrznych wrogów i osoby niepożądane, po raz pierwszy nie ma kogo wyrzucić albo na tyle uprzykrzyć życie, żeby kłopotliwi politycy sami odeszli. Ci wewnętrzni wrogowie stanowili jakąś wartość, skoro bez pozbycia się ich szefowie Platformy Obywatelskiej nie wyobrażali sobie dalszego w miarę bezkolizyjnego funkcjonowania. Obecnie nie ma na tyle poważnych wewnętrznych wrogów, a więc i wartości, które mogliby uosabiać, żeby warto było kogoś wyrzucić. Zdarza się to w regionalnych strukturach, jak w maju 2022 r. z przewodniczącym Rady Miejskiej w Koszalinie Janem Kuriatą, ale tego rodzaju czystki nie mają większego znaczenia, a poza tym odbywają się wedle innego klucza.

Przez 13 lat (2001–2014) Donald Tusk funkcjonował w Platformie Obywatelskiej, usuwając największych konkurentów, a te czystki dowodziły, że partia miała silne i wyróżniające się osobowości: Macieja Płażyńskiego, Andrzeja Olechowskiego, Zytę Gilowską, Jana Rokitę, Pawła Piskorskiego. PO miała też frakcje świadczące o wewnętrznej żywotności (frakcja Grzegorza Schetyny, tzw. spółdzielnia Cezarego Grabarczyka, konserwatyści skupieni wokół Marka Biernackiego, tzw. grupa młodych), które trzeba było brać pod uwagę. Po powrocie Tuska do polskiej polityki w lipcu 2021 r. Platforma jest karykaturą samej siebie, a jej życie wewnętrzne praktycznie zamarło. Jedynym poważnym rywalem Donalda Tuska stał się Rafał Trzaskowski, ale nie dlatego, że jest odważny i buntowniczy, tylko z tego powodu, że obecny przewodniczący chce przez niego kanalizować i kontrolować wszelkie bunty w partii. Trzaskowski stał się więc klasycznym wentylem. Tusk jako szef partii znany z czystek teraz już ich nie przeprowadza,

bo nie musi. W partii zamarło wszelkie życie wewnętrzne, obecne jeszcze tuż przed jego powrotem w lipcu 2021 r. (tzw. list 51, a właściwie 54). W przeciwnieństwie do lat 2001–2014 nie pojawiła się w PO żadna nowa osobowość, nie pozyskano też z zewnątrz żadnego ważnego polityka, choć kiedyś byli to m.in. Radosław Sikorski, Joanna Kluzik-

Czystka bez czystki

Platforma Obywatelska stała się partią tak bez wyrazu, że obecnie nawet nie ma kogo z niej wyrzucić



STANISŁAW JANECKI

-Rostkowska, Paweł Zalewski, Bartosz Arłukowicz, Danuta Hübner, Dariusz Rosati, Kazimierz Michał Ujazdowski czy Paweł Kowal. Jedyną osobowością w PO ma być Donald Tusk, stąd lansowanie przez niego takich antyliderów jak Izabela Leszczyna, Jan Grabiec, Cezary Tomczyk czy Arkadiusz Myrcha. Nikt nie może przyćmić przewodniczącego, więc tylko on pokazuje się jako ten, kto formułuje przekaz partii, wyznacza cele, ma prawo samodzielnego formułowania „linii” w mediach. Wszyscy inni mają tylko za nim powtarzać. Partia słynąca z czystek nie ma już kogo wyrzucać, a nawet nie ma powodu, żeby to robić.

CZYSTKI TUSKA

W 2002 r., zaledwie rok po powstaniu Platformy Obywatelskiej, zaczęła się polityka czystek, której pierwsze efekty wystąpiły wiosną 2003 r. Miała ona pokazać, kto jest prawdziwym liderem i czego w partii robić nie wolno. Miała doprowadzić do wyłonienia jednego lidera, a nie trzech (tzw. tenorów, czyli założycieli partii). Formalnie liderem PO był wtedy Maciej Płażyński, najbardziej rozpoznawalny i umocowany, gdyż w latach 1997–2001 był marszałkiem Sejmu. Tusk obarczał Płażyńskiego winą za słabe notowania partii, za fiasko koalicji z PiS, którą ten zawarł z Lechem Kaczyńskim na wybory samorządowe w 2002 r. Tusk nie mógł Płażyńskiego wyrzucić, ale mógł go zmusić do odejścia, nieustannie nękać. I tak się stało w kwietniu 2003 r., gdy Płażyński zrezygnował z funkcji przewodniczącego i wystąpił z PO.

Kolejnym celem stał się Andrzej Olechowski – on odszedł w czerwcu 2004 r. (z partii formalnie wystąpił w 2009 r.). „Widziałem, że ludzie Tuska mnie wykańczali, mimo że nie chciałem przemawiać partii po Płażyńskim” – mówił po latach Olechowski. Poparł Tuska (ten przejął władzę w partii 1 czerwca 2003 r.), licząc na to, że „podzieli się zadaniami”. Ale „pan Tusk już nie chciał się dzielić władzą” – zauważył Olechowski.

Jeszcze w czasie wypychania Olechowskiego Tusk zajął się „czwórka” w PO, czyli Pawłem Piskorskim (do 14 stycznia 2002 r. prezydentem Warszawy). Głównie dlatego, że Piskorski był młodszy, sprytniejszy i zaradniejszy, nawet gdy była to zaradność w formie tzw. układu warszawskiego. Piskorski był sekretarzem generalnym partii, czyli na co dzień nią kierował, a tego było dla Tuska za dużo. Formalnie był tylko „kłopotem wizerunkowym” dla

PO i Tuska. Marginalizowany w latach 2004–2005, Piskorski został wyrzucony wiosną 2006 r.

Po pozbyciu się Piskorskiego niebezpieczni dla Tuska stali się Zyta Gilowska i Jan Rokita, gdyż zbyt gładko weszli w role Płażyńskiego i Olechowskiego. No i oboje mieli charyzmę. Formalne powody były błahe: w przypadku Gilowskiej znana wszystkim w partii sprawa zatrudnienia syna i synowej w biurze poselskim, w przypadku Rokity – poparcie w wyborach samorządowych 2006 r. kandydata PiS na prezydenta Krakowa Ryszarda Terleckiego oraz przyjęcie przez żonę Nelli Rokitę stanowiska doradcy prezydenta Lecha Kaczyńskiego.

I tak w 2007 r. zaczęła się epoka jedynowładztwa Tuska w Platformie. Nie musiał już wyrzucać ważnych rywali, bo został tylko jeden – Grzegorz Schetyna (po założeniu PO – „piątka” w hierarchii). Schetyna został jako przyzwitołka, choć też gnębiona, żeby za bardzo nie urósł, zajmując stanowiska wicepremiera i szefa MSWiA. Gdy Schetyna urósł, także pod względem wpływów w spółkach Skarbu Państwa, służbach mundurowych i w mediach, a dodatkowo wypychał Tuska do kandydowania w wyborach na prezydenta Polski w 2010 r., ten uznał, że musi Schetynę powstrzymać. Wykorzystał aferę hazardową, by wyrzucić Schetynę z rządu. W partii go zostawił, bo ten znał zbyt wiele kłopotliwych tajemnic.

CZYSTKI SCHETYNY I BUDKI

Gdy w styczniu 2016 r. przewodniczącym PO został Grzegorz Schetyna, można było być pewnym czystek. Tym bardziej że przez długi czas to on był egzekutorem Tuska przy wyrzucaniu z partii osób niebezpiecznych dla lidera bądź niepożądanych. Czystki pokazywały zarówno

siłę szefa, jak i żywotność partii, bo ze słabego ugrupowania właściwie się nie wyrzuca. Pierwszy na liście był rywal z Dolnego Śląska, Jacek Protasiewicz (w październiku 2013 r. wygrał ze Schetyną wybory na szefa struktur regional-

nych PO). Żeby nie wyszło, iż to osobista zemsta tylko na Protasiewiczu, razem z nim w lipcu 2016 r. wyrzucono Stefana Niesiołowskiego, Michała Kamińskiego i Stanisława Huskowskiego. Niesiołowski nazwał tę czystkę „linczem”. I mścił się, mówiąc, że „każdy dzień, w którym ogląda się fałszywy uśmiech Grzegorza Schetyny, to stracony czas. Jego przywództwo to ciąg kompromitacji. [...] Trzeba na pewno pozbyć się Schetyny i jego pomagierów takich jak Kierwiński czy Tyszkiewicz”. Na koncie Schetyny jest też wyrzucenie z partii (w styczniu 2018 r.) Marka Biernackiego, Joanny Fabisiak (wróciła przed wyborami parlamentarnymi w 2019 r.) i Jacka Tomczaka. Formalnie z tego powodu, że wbrew zaleceniom klubu głosowali w sprawie tzw. obywatelskiego projektu ustawy



aborcyjnej. Biernacki to była ważna postać w PO: w latach 2013–2014 był ministrem sprawiedliwości, a w 2015 r. sekretarzem stanu w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów i koordynatorem ds. służb specjalnych.

Gdy na fotelu przewodniczącego PO Grzegorza Schetynę zastąpił Borys Budka, on także musiał mieć własne ofiary, gdyż był uważany za polityka zbyt mało stanowczego. Dlatego w maju 2021 r. wyrzucił posłów Ireneusza Rasia i Pawła Zalewskiego. Formalnym powodem miały być „publiczne wypowiedzi szkodzące partii”. „Nikt ze mną nie rozmawiał, nie wiedziałem o wniosku, nie miałem możliwości się bronić, nie znam zarzutów. Jak nazwać taką procedurę, taki sąd? Czy takie są standardy PO? Czy o to nam chodziło?” – żalił się 14 maja 2021 r. Paweł Zalewski na Twitterze. Odpowiedział mu senator Koalicji Obywatelskiej Kazimierz Ujazdowski: „Pawle: wyrazi solidarności. To kara za własny osąd i podmiotowość. Karzący sami pozabawiają się zdolności do kształtowania przyszłości”.

Budka był w maju 2021 r. na tyle słaby i trwały już rokowania z Tuskiem, żeby wrócił i objął stery w partii, że na czystkę zareagowano. Powstał list 51 parlamentarzystów PO (a ostatecznie 54), w którym można było przeczytać: „Bez daleko idących zmian nie mamy szans utrzymania pozycji lidera opozycji, a w przyszłości wygrania wyborów”. Mało kogo zdziwiło już to, że po wyrzuceniu Rasia i Zalewskiego 22 czerwca 2021 r. odszedł z Koalicji Obywatelskiej senator Kazimierz Michał Ujazdowski (do Koalicji Polskiej).

PARTIA NUDY I ZASTOJU

Gdy 3 lipca 2021 r. kierownictwo Platformy Obywatelskiej ponownie objął Donald Tusk, partia była już najbardziej zamkniętą formacją na polskiej scenie, niemającą siły przyciągania, szczególnie młodych, i niezdolną do pozyskiwania znaczących polityków z zewnątrz. Minął prawie rok i nic się nie zmieniło. Nabytki z ostatnich lat w rodzaju polityków Nowoczesnej, Zielonych i Inicjatywy Pol-

ska nie są dziełem Tuska, lecz Schetyny i Budki. I choć w tych nabytkach nie ma żadnego polityka dużego formatu, ich pozyskanie świadczyło o jakiejś sile przyciągania partii. Teraz nawet to zniknęło. Próby pozyskiwania młodych, choć na razie niewzmocniające partii, w rodzaju Campusu Polska Przyszłości, to inicjatywa Trzaskowskiego mająca służyć wzmocnieniu jego samego, a nie partii. To, że Tusk próbuje tę inicjatywę kopiować w postaci swojego Meet Up Nowa Generacja, świadczy o braku własnych pomysłów i beznadziei. Zresztą nie wia-

Ideowo PO pod wodzą „nowego” Tuska stała się partią martwą, niestwarzającą nawet pozorów życia intelektualnego, a najlepszym tego przykładem jest kompletny uwiąd partyjnego think tanku – Instytutu Obywatelskiego

domo, co ta inicjatywa da Tuskowi i PO. Tym bardziej że oba projekty nie mają cienia intelektualnego rozmachu, choć miały być przeciwwagą dla pomysłu PiS – Polska Wielki Projekt, który przygotował długoterminową wizję rozwoju Polski.

Na razie znacznie większą siłę przyciągania od PO mają Polska 2050 Szymona Hołowni i Koalicja Polska (kontrolowana przez PSL Władysława Kosiniaka-Kamysza). Ideowo PO pod wodzą „nowego” Tuska stała się partią martwą, niestwarzającą nawet pozorów życia intelektualnego, a najlepszym tego przykładem jest kompletny uwiąd partyjnego think tanku – Instytutu Obywatelskiego. Bez intelektualnego fermentu PO nie jest w stanie formułować interesujących dla wyborców programów i przyszłościowych zadań, więc jej siła przyciągania jest siłą rzeczy bardzo ograniczona. Po powrocie

Tuska do polskiej polityki PO stała się najnudniejszą, najmniej twórczą partią na polskiej scenie, praktycznie pozbawioną życia wewnętrznego.

Tusk właściwie nie musi już nikogo zwalczać ani wyrzucać z Platformy, gdyż w partii nie ma kogoś, kto by na to zasługiwał, zapracował. Nie trzeba czyścić, skoro PO sama się wyczyściła, i nie widać szans na zmianę modelu funkcjonowania tej formacji – zamkniętej i niezdolnej do porywania wyborców. W dodatku Tusk skonformizował i pozbawił odwagi swoich ewentualnych

rywali w walce o przywództwo, takich jak Trzaskowski, Schetyna czy Radosław Sikorski. Trzaskowski przebywa na swego rodzaju emigracji wewnętrznej, licząc na to, że różne zewnętrzne okoliczności pozwolą mu przejąć władzę w partii, a jeśli nie, to umożliwią objęcie funkcji premiera (w razie wygranych wyborów) lub jego akceptację przez szeroki front ugrupowań jako wspólnego kandydata na prezydenta Polski w wyborach w 2025 r. Jedyne, co zrobił Trzaskowski, to wypchnięcie Tuska z układów w Unii Europejskiej i USA, ale to na razie za mało. Schetyna stracił większość swoich najwierniejszych żołnierzy i tylko się ludzi, że w razie kłopotów Tuska

znowu go wesprą i stworzą alternatywę. Ale Schetyna też nie gwarantuje, że partia się zmieni. Gdyby wygrał, zapewne przeprowadziłby jakieś czystki, ale tylko z powodu upokorzeń, których doznał od ludzi Tuska, a nie dlatego, żeby pokazać siłę i determinację. Sikorski popiera Tuska tylko dlatego, że Budka się z nim kompletnie nie liczył, ale nie ma w partii na tyle poparcia, by był dla Tuska alternatywą. W dodatku były przewodniczący Rady Europejskiej upokarza Sikorskiego tym, że o poważnych sprawach rozmawia z jego żoną (razem są autorami książki „Wybór”), a nie z nim. Były prezydent Bronisław Komorowski sam zrezygnował z odgrywania jakiejś roli w PO i raczej chce być patronem Koalicji Polskiej. To wszystko sprawia, że w Platformie nie dzieje się nic na tyle istotnego, żeby to było powodem konfliktów czy tym bardziej czystek.

Kultura wysoka i sport z mocnym wsparciem Grupy PGE

Kultura wysoka, sport profesjonalny oraz amatorski dzieci i młodzieży to trzy filary Raportu Sponsoringowego za 2021 r. Grupy PGE. Taka publikacja podsumowująca zaangażowanie i wsparcie Grupy PGE w tych obszarach została przygotowana po raz pierwszy. Największy polski koncern energetyczny uporządkował projekty sponsoringowe, poprawiając ich skuteczność, zwiększając wsparcie na rzecz lokalnych społeczności oraz rozszerzając zaangażowanie w nowe obszary, jak np. e-sport

Tylko w 2021 r. Grupa PGE zawarła 79 umów sponsoringowych, a efektywność tych projektów wyniosła 863 proc. Oznacza to, że każda wydana przez PGE na ten cel złotówka zwróciła się prawie dziewięciokrotnie. Na tak dobre wyniki przełożyło się wprowadzenie nowej strategii sponsoringowej, uporządkowanie projektów wspierających sport i kulturę, a także zaangażowanie w poprawę ich skuteczności. Kluczowe kierunki tych działań zostały sformułowane na nowo tak, by lepiej wypełniały cele obecnej strategii biznesowej Grupy PGE – strategii prowadzącej do transformacji energetyki i osiągnięcia neutralności klimatycznej do 2050 r. Projekty promowane przez PGE będą w kolejnych latach skoncentrowane na sportowcach zawodowych i amatorskich, ze szczególnym uwzględnieniem dzieci i młodzieży. W przypadku kultury wysokiej Grupa PGE będzie wspierać rozwój 15 polskich filharmonii i najważniejszych muzeów w kraju.

WSPÓŁPRACA W OBSZARZE KULTURY

Grupa PGE, wspierając kulturę wysoką, realizuje program Kulturalna Grupa Energetyczna, za którego pośrednictwem została mecenasem Galerii Sztuki XIX Wieku Muzeum Narodowego w Warszawie, a od 2022 r. także mecenasem Muzeum Narodowego w Lublinie i Muzeum Narodowego w Krakowie. Zwiększeniu uległo również wsparcie filharmonii działających na terenie całej Polski. Grupa PGE objęła opieką 15 z nich, m.in. najstarszą w Polsce Filharmonię Narodową



w Warszawie. Z kolei program Dumni z Historii, w którego ramach Grupa PGE dba o pamięć historyczną, zapewnia wsparcie dla Muzeum Powstania Warszawskiego i Zamku Królewskiego na Wawelu w Krakowie, gdzie PGE została mecenasem Edukacji Zamku Królewskiego i Nowego Skarbcza Koronnego.

SPORTOWE EMOCJE

W związku z przyjęciem nowej strategii Grupa PGE wyodrębniła program MOCna Liga PGE, dzięki któremu są kontynuowane m.in. sponsoringi PGE Narodowego i najlepszej ligi żużlowej świata – PGE Ekstraligi. W koncepcję wpisuje się także finansowanie utytułowanych polskich klubów siatkarskich, koszykarskich i piłkarskich. Dodatkowo w ramach programu Sportowa Zima z PGE Grupa PGE współpracuje z dwoma Polskimi Związkami Łyżwiarstwa – Szybkiego i Figurowego. Z kolei przez program Moc Wiatru Grupa PGE wspiera Polski Związek Żeglarski wraz z polską medalistką olimpijską

z 2012 r. – Zofią Klepacką. Z kolei dzięki inicjatywie PGE Junior jest wspomagany rozwój sportu wśród dzieci i młodzieży. W 2021 r. Grupa PGE sponsorowała 16 akademii sportowych. Obecnie program objął już prawie 4 tys. młodych talentów.

NOWOCZESNE OBSZARY SPONSORINGU

2021 r. był przełomowy w działalności sponsoringowej Grupy PGE. Po raz pierwszy największe przedsiębiorstwo sektora elektroenergetycznego w Polsce zaangażowało się na dużą skalę w sponsoring e-sportu. Działania te stanowią również odpowiedź na założenia strategii biznesowej Grupy PGE, której jednym z filarów są nowoczesne usługi energetyczne. Program MOC e-mocji jest poświęcony współpracy z PGE Polską Ligą E-sportową oraz sekcją e-sportową PGE Turów Zgorzelec. Grupa PGE jest otwarta na tak dynamicznie rozwijającą się branżę, rozumie tę pasję i chce wspierać drogę, którą obrało wielu młodych ludzi.

Państwo czy jaskinia zbójców?



Fot. Andrzej Iwaniczuk/REPORTER

Autopromocja

Fundamenty reformy sądowej, przeprowadzonej w 2017 r., wymagają zdecydowanej obrony. Tym bardziej, im bardziej realia polityki zmuszają Polskę do taktycznych ustępstw ze względu na szantaż finansowy



JAN ROKITA

To rzecz niezwykła, że ostatnimi czasy czołowi politycy obozu władzy licytują się w odmalowywaniu fiaska własnych reform systemu sprawiedliwości. Przywódca PiS ogłosił właśnie, że po sześciu latach jego władzy „sądy działają nie źle, ale fatalnie źle”. Prawdę mówiąc, w demokracji rzadko zdarza się tak negatywny osąd własnych dokonań reformatorskich, formułowany publicznie przez lidera obozu władzy. Z kolei minister sprawiedliwości żali się, skądinąd nie po raz pierwszy, iż odkąd nastał premier Morawiecki, w jego resorcie „skończyło się zielone światło dla zmian w sądownictwie”, czego przyczyną ma być defensywna rządowa taktyka ustępstw wobec Unii Europejskiej.

Swoją drogą, trudno nie przyznać, iż o ile być może w 2017 r. Brukseli szło w ogóle o obronę jakichś standardów polskiego systemu sądowego (np. nieusuwanie składu Sądu Najwyższego), to po pięciu latach awantur i szantażów nie idzie już o nic więcej jak o upokorzenie polskich władz i utrzymanie chaosu w polskim sądownictwie co najmniej do czasu przyszłorocznych wyborów.

NAPRAWA SĄDÓW A SUWERENNOŚĆ

Najbardziej zdumiewająca ocena została jednak wygłoszona przez samego szefa rządu, i to od niej zaczęła się owa czarna licytacja kolejnych polityków rządzącej prawicy.

„Ja bym nie chciał umierać za wymiar sprawiedliwości. Naprawdę się nie oplaca” – przekonywał w Spale premier Morawiecki. Na poczet retorycznej niezręczności mówcy można tu zapisać odwołanie się do jednego z najbardziej sławetnych, a zarazem skompromitowanych sloganów politycznych XX w., autorstwa skazanego na karę śmierci francuskiego kolaboranta hitlerowskiego. Owo „nieumieranie za Gdańsk” stało się, przynajmniej w Polsce, symbolem politycznego tchórzostwa i zdrady, więc z pewnością premierowi nie szło o wywołanie u słuchaczy takich konotacji, jakie wywołał. Ale nawet jeśli machnąć ręką na kwestię retoryki, to sama istota idei Morawieckiego odsłania niezrozumienie oraz idący w ślad za nim brak serca dla naprawy polskiego wymiaru sprawiedliwości. Widać, że premier nie ma zbytnio w cenie reform instytucjonalnych, które – jak zresztą wielu współczesnym ludziom – wydają mu się swego rodzaju polityczną fanaberią nie lubianego ministra sprawiedliwości. W końcu cóż wielkiego zależy od tego, czy wymiar sprawiedliwości jest albo nie jest pod kontrolą korporacji? Czy

z tego powodu ludziom żyje się gorzej bądź lepiej? Albo czy to zagraża polskiej niepodległości?

Tak wyraziście zadeklarowana obojętność szefa rządu dla reform wymiaru sprawiedliwości obruszyła członków Krajowej Rady Sądownictwa, którzy wydali deklarację jednoznacznie uderzającą w idee Morawieckiego. Kaeresowców poruszyło zwłaszcza, przyznać trzeba – dziwaczne, przeciwstawienie naprawy sądów i zachowania suwerenności. Premier dowodził bowiem w Spale, że reformy sądów działają osłabiająco na polską suwerenność, którą z kolei wzmacniają pieniądze unijne, warunkowane wycofaniem tych reform. Co do sędziów z KRS to ich stanowisko budziłoby respekt, gdyby nie trywialny fakt, iż groźba cofnięcia całości reform sądowych, którą można wyczytać z *désintéressement* Morawieckiego, jest zarazem groźbą utraty przez nich prestiżowych posad państwowych. Oni są interesariuszami tej reformy, pewnie nawet tymi najbardziej kluczowymi.

To jasne, że zagraniczny szantaż finansowy, zwłaszcza w dzisiejszej, coraz wyraźniej kryzysowej sytuacji polskiej gospodarki, wymaga decyzji o ustępstwach. Nie tak dawno w takich właśnie kategoriach taktycznych i koniecznych ustępstw interpretowałem na tych łamach prezydencką inicjatywę likwidacji Izby Dyscyplinarnej i tzw. testu niezawisłości. W międzyczasie ta inicjatywa stała się już obowiązującym prawem. Ale



KLIKASZ I CZYTASZ!

Czytaj wygodnie tygodnik **SIECI**
na telefonie. Sprawdź na stronie **75**

jedna rzecz – to taktyczne ustępstwa pozwalające być może (bo przecież nie na pewno) wygrać spory budżet dla słabnącej polskiej gospodarki. A kompletnie inna – to przeciwstawienie naprawy systemu sprawiedliwości i pryncypium państwowej niepodległości. To ostatnie jest logicznie nieuprawnione, gdyż to nie co innego jak dobrze urządzony ustrój państwa jest kluczową ostoją suwerenności, o czym w polskiej historii tak boleśnie przekonali się Polacy w XVIII w. Ale co ważniejsze, takie swoiste rzekome „poświęcenie” wymiaru sprawiedliwości dla suwerenności, abstrahuje od coraz większego ryzyka, które dla współczesnych państw, nie tylko państwa polskiego, niesie oportunistyczne pogodzenie się polityków z korporacyjną samowolą sędziów i paneuropejskim trendem do przejmowania przez nich władzy politycznej. Czyli groźnego zjawiska politycznego, trafnie nazwanego „jurystokracją” przez prof. Bélé Pokola.

JURYSTOKRACJA

To znamienne, że ilekroć w ciągu kilku ostatnich dekad polski Sejm podejmował próby przywrócenia elementarnej sprawiedliwości w życiu publicznym, zawsze napotykało to na sprzeciw, przeszkody i przeciwdziałanie ze strony wymiaru sprawiedliwości. Co najmniej dwukrotnie sam sparzyłem się na takim doświadczeniu, w czasie gdy czynnie uczestniczyłem w polityce.

Po raz pierwszy – w sejmowej komisji do zbadania zbrodni stanu wojennego, której przyjęty przez Sejm raport postulujący usunięcie z funkcji publicznych najbardziej zawisłych oraz skompromitowanych prokuratorów i sędziów został przez wymiar sprawiedliwości ostantacyjnie zignorowany, tak jakby w ogóle nie zaistniał.

A drugi raz – w sejmowej komisji śledczej badającej aferę Rywina, gdy Sąd Najwyższy robił wiele, by podważyć jej legalny mandat i zablokować podejmowane decyzje. Parę lat później obserwowałem dokładnie to samo zjawisko, gdy Sejm stworzył komisję z zadaniem naprawy najcięższych nie-

godziwości i korupcji, które wydarzyły się podczas warszawskiej repriwatywacji. I tym razem wymiar sprawiedliwości uczynił wiele, by sprawiedliwości nie udało się wyegzekwować, stając co najmniej w kilku sprawach jawnie po stronie interesów warszawskiej mafii prawniczo-repriwatywacyjnej.

Dlaczego tak się dzieje? To proste. Bo ustrój sprawiedliwości był w Polsce wadliwy u samych swoich podstaw. Aby to dostrzec, wystarczy choćby powierzchownie rozumieć ścisłą więź między dobrze urządzonymi instytucjami ustrojowymi a elementarną sprawiedliwością w państwie. To właśnie tu tkwi przyczyna swoistej „obsesji”, którą mieli dawniejsi filozofowie polityki (zwłaszcza starożytni) na punkcie poszukiwań

Ogólnie zatem nie mają racji czołowi politycy rządzącej prawicy, którzy teraz licytują się w malowaniu czarnego obrazu polskich sądów jako rezultatu dotychczasowych reform

„najlepszego ustroju”. Jest całkiem jasne, że oddanie w pacht korporacyjnemu samorządowi prawników całego państwowego wymiaru sprawiedliwości, jak uczyniono to swego czasu w Polsce, musiał spowodować zepsucie sądownictwa i upadek sprawiedliwości. Interes korporacji nie może bowiem nigdy zyskać przewagi nad dobrem publicznym, jeśli się chce uniknąć takich fatalnych dla kraju konsekwencji.

Dlatego właśnie fundamenty reformy sądowej, przeprowadzonej w 2017 r., wymagają zdecydowanej obrony, a nie obojętności czy też poświęcenia, jak to niedwuznacznie deklarował w Spale premier. Wymagają obrony tym bardziej, im bardziej realia polityki zmuszają Polskę do taktycznych ustępstw ze względu na szantaż finansowy.

Z REFORMĄ O KROK DALEJ

Ogólnie zatem nie mają racji czołowi politycy rządzącej prawicy, którzy teraz licytują się w malowaniu czarnego obrazu polskich sądów jako rezultatu dotychczasowych reform. Owszem, pasmo ciężkich konfliktów politycznych zaciążyło na dzisiejszym stanie sądownictwa, które stało się terenem bezpardonowej bitwy sędziów, prowadzonej bez respektu dla interesu obywateli – klientów wymiaru sprawiedliwości. Za rozpętanie tej bitwy odpowiedzialność przed historią już ponoszą prawnicy, których przyszłe podręczniki opisać tak, jak dziś opisują sarmackich rębajłów i gwałtowników z XVII i XVIII w., winnych anarchizacji Rzeczypospolitej i ówczesnej utraty jej suwerenności.

Mimo to jednak jak dotąd udało się przez pięć lat utrzymać kluczowy element reformy: pozbawienie korporacji przywileju nominacji składu KRS. Dzięki temu nastąpiło przynajmniej częściowe złamanie sztywnej zasady korporacjonizmu sędziowskiego, a system sądowy otworzył się na nowych sędziów, także tych z innych zawodów prawniczych. Stało się tak, choć stara elita sędziowska w przypływie desperacji usiłowała całkowicie zablokować dostęp do zawodu młodym asesorum, których sławetny sędzia Żurek nazywał „janczarami”. Owi „janczarzy” nie muszą już przez całe późniejsze życie zawodowe odwdzięczać się starej elicie korporacyjnej, ale mają szansę zyskać realną niezawisłość także względem interesów i przesądów wyznawanych przez starą elitę sędziowską. Tę szansę warto zwiększyć, spłaszczając i demokratyzując dzisiejszą hierarchiczną strukturę sądów, a tym samym przyspieszając awans i karierę zawodową „janczarów”. To właśnie, nie bez racji, postuluje od dawna resort sprawiedliwości.

Nawet jeśli jest to tylko szansa, a nie pewność, to i tak zrębów reformy 2017 r. opłaca się bronić, a nawet pójść z nią teraz o krok dalej. A premier mógłby sobie powiesić nad biurkiem starą i sławną maksymę św. Tomasza z Akwinu: państwo, w którym przyzwolono na rozkład systemu sprawiedliwości, w istocie niewiele różni się od jaskini zbójców. 



Agencja Rozwoju Przemysłu S.A.

oferuje **POŻYCZKĘ ANTYINFLACYJNĄ**

dla Małych i Średnich Przedsiębiorstw

z gwarancją Europejskiego Funduszu Gwarancyjnego



 **ARP S.A.**
ul. Nowy Świat 6/12
Warszawa

 www.arp.pl/pl/dla-biznesu/finansowanie



Mieszkań budowanych przez deweloperów i indywidualnych inwestorów jest pod dostatkiem.

Problemem jest wzrost cen kredytów i nieruchomości.

Dlatego wyzwaniem pozostaje skuteczne finansowanie mieszkań ze środków publicznych, z nierynkowymi zasadami ich udostępniania przez podmioty nienastawione na zysk. Rząd PiS realizuje kilka programów skierowanych na ten cel. Donald Tusk, sugerujący wrażliwość na ten problem, to nowość. Szczegółów jego pomysłu nie znamy. Jedno jest pewne: liberalna doktryna upadła



Mieszkanie prawem, czyli upadek liberalnej doktryny



MACIEJ WALASZCZYK

Donald Tusk nerwowo szuka poparcia dla Platformy Obywatelskiej. Niedawny wyznawca liberalnej polityki ekonomicznej, zmuszony do rewizji dawnych przekonań, zaskoczył wyznaniem podczas inauguracyjnego spotkania Meet Up Nowa Generacja.

„Wiem, co to znaczy być młodym człowiekiem, wziąć ślub, być po raz pierwszy ojcem i nie mieć żadnej szansy na mieszkanie. [...] Dlatego bym dzisiaj powiedział bez chwili wahania, że mieszkanie jest

prawem człowieka, to znaczy móc mieszkać w godnych warunkach to nie jest jakiś przywilej, to nie może być marzenie i dorobek całego życia” – powiedział lider PO. Dodał, że ostatnie zdanie jest opisem sytuacji z ostatnich lat. To przede wszystkim opis sytuacji z tragicznych pod tym względem lat 90. i późniejszych, za które ponosi współodpowiedzialność. Podobnie jak postkomuniści. W drugiej połowie lat 90. w obszarze budownictwa mieszkaniowego nastąpił totalny spadek inwestycji. W 1996 r. oddano do użytku 62 tys. mieszkań, czyli najmniej od lat 50. XX w., a więc okresu powojennej odbudowy i biedy. Brzmi to szokująco. To nie tyle brzemień kryzysu gospodarczego lat 80., ile realizacji w Polsce neoliberalnej doktryny gospodarczej, której symbolem byli Leszek Balcerowicz i tzw. gdańscy li-

berałowie: Janusz Lewandowski i właśnie Donald Tusk.

Norbert Maliszewski, szef Rządowego Centrum Analiz i sekretarz stanu w kancelarii premiera, nie ma złudzeń, że deklaracja Tuska w tej sprawie to polityczny manewr mający na celu przyciągnięcie do PO młodych wyborców. Przypomina, że jego problemem jest niska wiarygodność. Jak wynika z badań CBOS, jest on liderem rankingu nieufności. Nie ufa mu 55 proc. badanych. – Powodem tego jest jego przeszłość. Dawny gdański liberal nigdy nie angażował się w projekty, które dziś proponuje lewica. A to nie budzi zaufania – tłumaczy analityk.

Zwycięstwo wyborcze PiS w 2015 r. wraz z realizacją oferty socjalnej, np. w postaci programu 500+, a nawet nie do końca udanego programu Mieszkanie+, całkowicie



Fot. Andrzej Skowronczyk

zmieniło obraz krajowej polityki. Świadcza o tym niespójne i nerwowe reakcje polityków Platformy. Najpierw Jacek Rostowski, minister finansów w rządzie Tuska, mówił, że pieniędzy na te cele nie ma i nie będzie, a wobec ich beneficjentów rozkręcano spiralę nienawiści, pomstowano na odchodzenie matek od dorywczych zajęć. I tak z roku na rok dokonał się przełom. Dzisiaj PO nie pisnie nawet o likwidacji tego świadczenia. Nie ma dziś też powrotu do liberalnego *status quo*. Tusk nerwowo szukający poparcia na lewicy, mówiący do gospodarczych liberalów o tym, że muszą w końcu zrozumieć, że „mieszkanie jest prawem”, jest tego najlepszym dowodem.

– Wektor polityki zwrócił od liberalnego założenia taniego państwa, które jest słabe, w stronę silnego państwa i regulacji. Liberalny model według zasady „zmień prace i weź kredyt” uległ wyczerpaniu – zauważa Jan Śpiewak z lewicowej inicjatywy Miasto Jest Nasze.

TUSK W POSZUKIWANIU ELEKTORATU

PO od porażki wyborczej w 2015 r. ciągle staje przed dylematem wspólnej koalicji wyborczej do Sejmu lub wspólnej listy

tylko do Senatu. Jakiegoś kompromisu programowego łączącego centrowych liberalów, zawodowych ludowców z lewicą w jedną grupę. A tak naprawdę dotarcia do na tyle szerokiej grupy wyborców, także młodych, którzy przechyliły szalę i pozwolą „odsunąć PiS od władzy”. To cel najważniejszy. Cała reszta to ciągle zmieniające się dekoracje programowe. Tusk próbuje w nowej scenarii przeforsować jedną listę wyborczą opozycji.

„Będę to proponował jako jedną z platform porozumienia między partiami – powrót do realnych przez nas realizowanych projektów, które znowu pozwolą młodym ludziom w mieszkaniu mieszkać, a nie o mieszkaniu marzyć” – zadeklarował. I to do nich Tusk kierował słowa, że mieszkanie dla polskiej rodziny staje się jej prawem i „nie może być wyłącznie marzeniem albo wyłącznie towarem czy przedmiotem spekulacji wielkich korporacji”.

Jan Śpiewak nie wierzy w te zapowiedzi. – Platforma rządzi w wielu dużych samorządach, które mają bardzo duże budżety. Nie buduje nawet tego, co obiecywała, a i tak obiecywała niewiele – komentuje. Jako przykład podaje Warszawę, gdzie Rafał Trzaskowski miał budować 1,5 tys. lokali komunalnych rocznie, a oddaje ok. 200. – To żenujące liczby jak na dwumilionowe miasto – dodaje.

Piotr Borys z Platformy tłumaczy, że zwrot jego partii w sprawie mieszkań jest reakcją na podrożenie kredytów i kosztów budowy domów nawet o 50 proc. – Bez poszukiwania wsparcia ze strony rządu i samorządów nie da się tego wielkiego problemu, a więc kupna mieszkania, zrealizować – przyznaje poseł Borys. Jednak nie zna żadnych szczegółów programowych. Wszystko pojawiło się nagle. – Wszystkie założenia się tworzą – dodaje, potwierdzając słowa Izabeli Leszczyny ucinającej sprawę słowami: „Jak wygramy wybory, przedstawimy szczegóły”.

– Teraz Platforma chce wejść w buty PiS. Ale z jej wiarygodnością jest trudno – ocenia Jan Śpiewak.

Mieszkaniowe deklaracje PO wpisują się w strategię Tuska, który w czasie niepokoju, wojny, inflacji stara się uruchomić huśtawkę emocji społecznych. Stąd mówienie o aborcji na życzenie, wymyślona historia z zakazem rozwodów, odwoływanie do spraw, wokół których Polacy są podzieleni. – Tusk odwołuje

się do frustracji społecznych, pomysłów proinflacyjnych, nakręcania spirali płacowej, bazowania na niskich emocjach – podkreśla Norbert Maliszewski.

JAK BUDOWAŁA PLATFORMA?

A jak wyglądają efekty polityki mieszkaniowej Platformy, gdy rządziła? W pierwotnej wersji programu „Mieszkanie dla młodych” (kontynuacji „Rodziny na swoim”) realizowanego przez rząd Tuska nie uwzględniono np. dopłat do zakupu mieszkań z rynku wtórnego. Jak wskazywała Najwyższa Izba Kontroli, osoby z niskimi dochodami miały ograniczony dostęp do tańszych, używanych mieszkań, a w mniejszych miejscowościach skorzystanie ze wsparcia państwa było wręcz niemożliwe z uwagi na brak nowych inwestycji mieszkaniowych. Nie zdecydowano się też na wprowadzenie progów dochodowych dla beneficjentów, w efekcie czego wbrew założeniom z dopłat obok osób, dla których program był jedyną drogą do zakupu mieszkania, korzystali także ci, których stać było na mieszkaniu nawet bez pomocy państwa.

Polityka mieszkaniowa to więc domena nie tylko biznesu, ale i spore wyzwanie dla władz państwowych i samorządów. To zadania kosztowne i czasochłonne. Do kogo polityka mieszkaniowa powinna być skierowana? Jakich mieszkań brakuje? I gdzie ich brakuje? To podstawowe pytania, bo duży popyt na mieszkania wciąż utrzymuje się w dużych aglomeracjach miejskich, takich jak Warszawa, Kraków, Wrocław, do których ludzie przyjeżdżają za pracą i się przeprowadzają. W Warszawie udzielono mniej więcej połowę kredytów mieszkaniowych w całej Polsce. W Łodzi jest ich jednak paradoksalnie bardzo mało. Dlatego każdy region, gmina i miasteczko mają swoją specyfikę. Indywidualne uwarunkowania społeczno-ekonomiczne, dochody, strukturę społeczną i zawodową oraz potrzeby mieszkaniowe.

Kilka lat temu pojawiła się książka Filipa Springera „13 piętér”. Miała ona już swoje dwa wydania. Autor opisał w niej, jak wygląda rynek mieszkaniowy z wynajmem włącznie. Nie miał wątpliwości, że jednym z politycznych kluczy do świadomości wyborców jest drastyczne zwiększenie oferty mieszkań przystępnych

cenowo, a więc poniżej ceny rynkowej. Dużej liczby mieszkań czynszowych i komunalnych.

Jan Śpiewak mieszkaniową deklarację szefa PO stawia obok zapowiedzi podwyżki w budżetówce o 20 proc.: – Donald Tusk zrozumiał, że bez pewnego skreślenia socjalnego w stronę państwa opiekuńczego nie będzie w stanie przyciągnąć nowych wyborców, a nawet utrzymać tych, których ma dzisiaj.

Dziś największą grupą najemców mieszkań są ludzie w wieku od 20–29 lat. To ponad 65 proc. takich klientów. Niemal 90 proc. z nich jest poniżej 40. roku życia. Osoby powyżej 40. roku życia wynajmują znacznie rzadziej. Odpowiadają oni w sumie za niecałe 14 proc. najemców mimo znacznie większego udziału w populacji. Jednak według analizy profilu najemców mieszkań – przeprowadzonych przez ThinkCo badającego rynek nieruchomości – ponad 80 proc. ankietowanych jest świadoma, że zakup mieszkania jest bardziej opłacalny niż najem, ale aż 41 proc. z nich nie ma pieniędzy potrzebnych do zakupu nieruchomości. Dla Polaków, jak wskazuje raport „Budowane na wynajem. Sylwetka użytkowników”, najważniejszą zaletą własności jest przekonanie, że jedynie ona zapewnia bezpieczeństwo dla ich rodziny. I ten element był kluczowy dla rządów PiS.

– Polacy przede wszystkim marzą o własnym domu i własnym mieszkaniu. Przypomnijmy, że to PiS przekształcił mieszkania spółdzielcze we własnościowe. Zależy nam na wsparciu młodych rodzin, które kupują swoje pierwsze mieszkanie. Stąd wakacje kredytowe, ulgi, gwarantowany wkład własny – potwierdza Norbert Maliszewski, szef Rządowego Centrum Analiz.

NIE TYLKO MIESZKANIE+

Na chwilę obecną rząd realizuje kilkanaście programów mieszkaniowych. Najbardziej znany z nich Mieszkanie+ miał na celu zwiększenie podaży mieszkań o umiarkowanych cenach i czynszach z możliwością dojścia do własności, również przy wykorzystaniu nieruchomości Skarbu Państwa. Poniósł fiasko, bo rząd bardzo wysoko postawił sobie poprzeczkę.

Ale nie znaczy, że był niepotrzebny i nie miał uzasadnienia. Na 100 tys. zaplanowanych do 2019 r. mieszkań powstało dopiero 18 tys., a 24 tys. jest w budowie.

– Musi funkcjonować najszerszy wachlarz rozwiązań. To dzięki nim trafimy w potrzeby ludzi, którzy nie są w jednokowej sytuacji w całej Polsce. Im więcej instrumentów, tym lepiej – przyznaje Artur Soboń, niegdyś odpowiedzialny za realizację programu.

Poza Mieszkaniem+ jest też realizowanych kilka innych częściowych programów, o których rzadziej się wspomina. Program społecznego budownictwa czynszowego przewiduje preferencyjne kredyty dla TBS, spółek gminnych, spół-

Donald Tusk zrozumiał, że bez pewnego skreślenia socjalnego w stronę państwa opiekuńczego nie będzie w stanie przyciągnąć nowych wyborców, a nawet utrzymać tych, których ma dzisiaj – ocenia Jan Śpiewak mieszkaniowe deklaracje lidera PO

dzielni mieszkaniowych i społecznych inicjatyw mieszkaniowych na mieszkania pod wynajem i rewitalizację. Łącznie 450 mln zł rocznie. Dzięki niemu powstało już 110 tys. mieszkań. Spółki budujące domy w ramach społecznej inicjatywy mieszkaniowej otrzymują 30 proc. partycypacji w kosztach budynku wielorodzinnego i są wspierane preferencyjnymi kredytami BGK w wysokości 80 proc. wartości inwestycji. Do tego dochodzi boni mieszkaniowy o wartości 5 tys. zł na osobę w rodzinie do zrealizowania w ramach inwestycji SIM. W przypadku rodzin z trójką dzieci lub osobą niepełnosprawną nieposiadających mieszkania lub posiadających mieszkanie do 62 mkw. wartość bonu wynosi 100 tys. zł plus 15 tys. zł za każde kolejne dziecko. Program Miesz-

kanie bez wkładu własnego daje rządowe gwarancje kredytu od 10 proc. do 20 proc. wartości, zastępujące wymóg wkładu własnego, oraz możliwość spłaty 20 tys. zł kredytu przy powiększeniu rodziny o drugie i każde kolejne dziecko. Program Lokal za Grunt daje gminom możliwość sprzedaży gruntów pod mieszkania z częściowym rozliczeniem ceny nieruchomości mieszkaniami. W ten sposób rozdysponowano już 32 nieruchomości w 14 województwach, na których ma powstać ponad 5 tys. mieszkań. Na wsparcie budownictwa spółdzielczego w latach 2019–2025 przeznaczono 6 mld zł. Rządowy program dopłat do czynszów Mieszkanie na Start jest kierowany do młodych rodzin (najemców,

podnajemców) o niskich dochodach i niemających własnego mieszkania. Udział bierze w nim 27 gmin, a rząd od 2019 r. zabezpieczył na ten cel 800 mln zł. Program budownictwa socjalnego i komunalnego zakłada bezzwrotne wsparcie 80 proc. wartości inwestycji z Funduszu Dopłat dla gmin na budowę lub remont przystępnych cenowo mieszkań. Poza tym można się starać o premie termomodernizacyjne, remontowe i kompensacyjne w wysokości połowy dofinansowania do kredytów. Rząd na lata 2020–2029 zabezpieczył na ten cel 3,2 mld zł.

W wielu miastach i mniejszych miejscowościach problemem wciąż jest degradacja centrów, niski standard starej zabudowy (łazienki w korytarzach), zły stan klatek schodowych, instalacji grzewczych. To również spadek po czasach liberalnego doktrynerstwa. W ramach Krajowego Planu Odbudowy znajdują się m.in. pieniądze, które będą wykorzystane na termomodernizację istniejących już budynków komunalnych i poprawę ich stanu technicznego. KPO ma dać gminom dostęp m.in. do wyższego o 15–25 proc. bezzwrotnego wsparcia na pokrycie kosztów budowy nowych mieszkań komunalnych i społecznych mieszkań czynszowych. Inwestycje te będą realizowane głównie w ramach TBS i społecznych inicjatyw mieszkaniowych. Kluczowe wyzwanie to połączenie finansowania mieszkań ze środków publicznych z nierynkowymi zasadami ich udostępniania przez podmioty nienastawione na zysk.



Grupa Azoty to zdecydowany lider w Polsce i jedna z kluczowych grup kapitałowych branży nawozowo-chemicznej w Europie.

Jednym z filarów strategii Grupy Azoty są inwestycje, a największym projektem realizowanym przez spółkę celową Grupę Azoty Polyolefins S.A., są Polimery Police.

Po zakończeniu inwestycji, Polska dołączy do czołowych producentów Polipropylenu w Europie, stając się największym wytwórcą w regionie CEE.

grupaazoty.com





Praca zdalna z nami zostaje

Praca zdalna trafia na stałe do Kodeksu pracy. Zdaniem rządu to wyjście naprzeciw oczekiwaniom młodych ludzi i kobiet wracających do aktywności zawodowej po przerwie związanej z urodzeniem dziecka. Ta forma zatrudnienia ma wielu zwolenników i równie wielu przeciwników. Jakie są jej blaski i cienie?



DOROTA ŁOSIEWICZ

Przygotowany przez resort rodziny projekt nowelizacji Kodeksu pracy, który na stałe wprowadza pracę zdalną do porządku prawnego, rząd przyjął 24 maja. Pod-

czas ubiegłotygodniowego posiedzenia Sejmu odbyło się pierwsze czytanie tego projektu.

ZMIANY W PRAWIE

Według Marleny Małąg, szefowej Ministerstwa Rodziny i Polityki Społecznej, to bardzo wyczekiwana zmiana. Zarówno przez pracodawców, jak i np. rodziców z małymi dziećmi, bo pozwoli łączyć pracę zawodową z życiem rodzinnym. Choć możliwość skorzystania

z pracy zdalnej jest przewidziana w tzw. przepisach covidowych, to jednak wpisanie jej na stałe do Kodeksu pracy wymagało długich prac i rozmów w ramach Rady Dialogu Społecznego. „Zostało przedstawione rozwiązanie kompromisowe, oparte na wzajemnym porozumieniu się stron, aby pracę zdalną w swojej instytucji wprowadzić” – powiedziała w rozmowie z PAP minister Małaga. „Pierwsze takie porozumienia będą między pracodawcą a organizacjami związkowymi, jeżeli w danej instytucji

Fot. Shutterstock

funkcjonują. Jeżeli w firmie nie będzie związków zawodowych, będzie to porozumienie już z pracownikiem” – dodała.

– Z badań wynika, że młodzi ludzie oczekują elastycznych form zatrudnienia. Rozwiązanie dotyczące pracy zdalnej, które proponujemy w wyniku kompromisu przygotowanego ze stroną społeczną i stroną pracodawców w Radzie Dialogu Społecznego, ma zastąpić tzw. telepracę. Teraz wprowadzamy do Kodeksu pracy definicję pracy zdanej, możliwość pracy hybrydowej, a także wprowadzenie tej pracy na zasadzie porozumienia – tłumaczy w rozmowie z tygodnikiem „Sieci” minister Małag. – Zgodnie z nowymi przepisami pracodawca nie będzie mógł odmówić pracy zdalnej, jeśli wykonywanie pracy w ten sposób będzie możliwe, osobie wychowującej dziecko do czwartego roku życia – mówi szefowa MRiPS.

– To bardzo istotne narzędzie w przypadku młodych rodziców, bo kobiety, które po przerwie macierzyńskiej myślą o powrocie do pracy, oczekują, że odbędzie się to stopniowo, etapami, które miałyby wyeliminować szok dla całej rodziny wynikający z powrotu na pełny etat z dnia na dzień. Praca zdalna pozwala na taki stopniowy powrót do pracy, ułatwia logistykę. A podczas pandemii nauczyliśmy się pracy zdalnej i poznaliśmy też wady tego rozwiązania. I pracodawcy, i pracownicy mają wyrobione opinie – tłumaczyła w studiu w Polsce.pl Barbara Socha, wiceminister rodziny pracy i polityki społecznej.

ZA, A NAWET PRZECIW

W marcu portal Pracuj.pl opublikował raport pt. „Dwa lata nowej normalności”. Opracowanie przedstawia opinie pracowników m.in. o ich życiu zawodowym i sposobie wykonywania obowiązków w czasie pandemii. Pomiar zrealizowano na początku marca 2022 r. na grupie blisko 1000 użytkowników serwisu.

Z opracowania wynika, że 6 na 10 badanych wybiera pracę hybrydową jako preferowany model realizacji obowiązków w bliskiej przyszłości. Rośnie presja ze strony kandydatów do pracy na umożliwianie jej z domu. Aż 91 proc.

badanych oczekuje ustosunkowania się do pracy zdalnej w ofertach o pracę, 74 proc. respondentów nie chce pracować wyłącznie stacjonarnie.

35 proc. respondentów pracujących zdalnie lub hybrydowo było kontrolowanych przez pracodawcę. Najczęstsze metody to spotkania online, raportowanie i formularze. 89 proc. pracujących zdalnie lub hybrydowo przyznaje, że podczas pracy z domu wykonywali w godzinach pracy czynności związane z życiem prywatnym.

Także ja przeprowadziłam małe badania socjologiczne, pytając przez profil na Facebooku znajomych o ich zdanie

Przy pracy zdalnej muszą być przestrzegane przepisy Kodeksu pracy i umowy zawartej z pracodawcą. Pracodawca będzie miał prawo do kontrolowania wykonywania pracy zdalnej w miejscu jej wykonywania. Ale ta kontrola musi przebiegać z zachowaniem miru domowego – wyjaśnia szefowa resortu pracy

na temat pracy zdalnej. Ilu pracowników, tyle opinii. O ile część osób uważa, że praca zdalna jest efektywniejsza, pozwala oszczędzać czas i daje większą elastyczność, o tyle inni są zdania, że nie odpowiada im zatarcie granicy między życiem zawodowym a prywatnym.

„U mnie absolutnie odpada praca z domu. Mam troje małych dzieci na pokładzie plus troje dużych i jestem non stop mamą. W pracy odpoczywam” – żartuje Joanna Wojciechowska. „Pracuję zdalnie od początku pandemii. Od niedawna hybrydowo. Praca zdalna to z jednej strony oszczędność czasu i pieniędzy na dojazdy, z drugiej osłabienie więzów ze współpracownikami.

Byłoby mi jednak bardzo trudno wrócić do pracy stacjonarnej” – komentuje Monika Sarzyńska.

Z kolei Anna Sadzińska jest zdecydowaną przeciwniczką takiego rozwiązania: „Praca zdalna absolutnie nie jest dla mnie. Muszę wyjść z domu do ludzi, ubrać się, umalować, zostawić wszystko. Nie umiem pracować w domu, bo zawsze mam wtedy milion rzeczy do zrobienia”. Krytycznie o pracy zdalnej wypowiedziała się również Katarzyna Zielińska: „Zdalna praca jest dla leni, którzy nie przykładają się w żaden sposób do tego, co mają wykonać. Są rozkojarzeni, mają milion innych spraw w tym czasie do załatwienia. Jeśli już muszą wykonać zdalną, to na tzw. odpięprz”.

Z takim podejściem do pracy zdalnej zupełnie nie zgadza się Sylwia Rosłońska: „Nie zawsze tak jest. Ja pracuję zdalnie od 15 lat i nie zaniedbuję swoich obowiązków. Wręcz przeciwnie, mogę zrobić więcej, bo nie tracę czasu na dojazd. Z kolei gdy jadę do klienta popracować u niego, to nigdy nie wykonam planu, bo nagle wszyscy przychodzą ze swoimi problemami, a to prezes, a to kadrowa czy fakturzystka. Ja sobie pracę zdalną bardzo chwalam, ale być może taka jest specyfika pracy księgowej, najlepiej się pracuje, jak nikt się nie kręci ani nie przeszkadza”.

Za to Tatiana Beck-Sadowska chwali pracę hybrydową: „Praca zdalna na 100 proc. – absolutnie nie, ale w proporcji 2/3 czy 1/2 już tak. Kontakty z ludźmi są nie do przecenienia, a i szybkość omówienia spraw na żywo dużo efektywniejsza”. „W pracy zdalnej nie ma kreacji, jest po prostu mechaniczne podejście. Nie ma kontaktu, tej osłonki, która powinna być, bo jest potrzebna. Kontakt z drugim człowiekiem, wymiana myśli, stosunki między ludźmi” – ocenia Andrzej Wejchert. „Początkowo byłem bardzo mocno na nie i czekałem na tzw. powrót do normalności, ale zmieniłem zdanie. Zdecydowanie pasuje mi praca zdalna bez konieczności stania w korkach, przepychania się przez tłumy. Doskonale rozwiązanie. Zupełnie nie tęsknię za biurem, wręcz przeciwnie, bo powrót do biura to udręka. Do tego

eko i oszczędność czasu” – ocenia Grzegorz Drzycimski.

„Pracowałem czasami zdalnie. Dom przestał kojarzyć mi się z czymś miłym. To było okropne” – dorzuca Aleksander Krakowski. Dostaję też opinie na prywatny komunikator od mamy rocznego malucha, która chce pozostać anonimowa: „Praca zdalna to był okropny stres. Szef potrafił wrzucić o godz. 19 dane do przygotowania raportu na dzień następny. No przecież siedzę w domu, więc mogę to zrobić. Kończyło się zartowaną nocą, bo przecież dziecko trzeba wykapać i uśpić” – czytam relację.

ZŁOTY ŚRODEK

O tę ostatnią sytuację zapytałam Marlenę Małąg. – Przy pracy zdalnej muszą być przestrzegane przepisy Kodeksu pracy i umowy zawartej z pracodawcą. Pracodawca będzie miał prawo do kontrolowania wykonywania pracy zdalnej w miejscu jej wykonywania. Ale ta kontrola musi przebiegać z zachowaniem miru domowego. Poza tym praca zdalna nie oznacza pracy 24 godziny na dobę, tylko w godzinach określonych w umowie o pracę. Te zasady muszą być przestrzegane zarówno w przypadku pracy zdalnej, jak i w przypadku pracy stacjonarnej – nie ma wątpliwości pani minister.

– Na własnym przykładzie mogę powiedzieć, że praca zdalna wiele ułatwia i jest bardzo korzystna podczas roku szkolnego, gdy dzieci są na lekcjach. W wakacje praca zdalna bardziej przypomina akrobatykę – żartowała w rozmowie ze mną wiceminister Barbara Socha. – Ale przecież nie chodzi o to, żeby mama pracowała z dzieckiem na kolanach. Nie tędy droga. W życiu zawsze potrzebny jest umiar i znalezienie złotego środka. Dobrze sprawdza się więc praca hybrydowa. Nowe przepisy dają możliwość porozumienia się pracodawcy z pracownikiem i wypracowania formy zadowalającej obie strony, trzeba też pamiętać, że pracodawcy mają wiele korzyści z pracy zdalnej.

A tych jest co najmniej kilka. Portal Zdalni.pl zwraca m.in. uwagę na ograniczenie wydatków w firmie czy

zwiększoną dostępność pracowników. Przy wprowadzeniu pracy zdalnej znika konieczność utrzymywania przestronnych biur z pełnym wyposażeniem. Jeżeli praca zdalna dotyczy tylko części czasu pracy, wielu przedsiębiorców decyduje się na wprowadzenie tzw. hot desking. W ramach tego rozwiązania osoby zatrudnione w firmie nie są przypisane do konkretnego biurka. Pozwala to efektywnie wykorzystać dostępne miejsca bez niepotrzebnego mnożenia wydatków na wyposażenie i sprzęt biurowy. Osoby oddelegowane do pracy zdalnej często korzystają też z własnego sprzętu, który mają w domach. Pracodawca nie musi wówczas wyposażać każdego stanowiska pracy we wszystkie potrzebne

Zgodnie z nowymi przepisami pracodawca nie będzie mógł odmówić pracy zdalnej, jeśli wykonywanie pracy w ten sposób będzie możliwe, osobie wychowującej dziecko do czwartego roku życia – mówi minister Marlena Małąg

elementy. I choć jest zobowiązany przepisami prawa do wypłacenia ekwiwalentu osobie zatrudnionej pracującej na swoim laptopie, to jego wartość jest i tak zazwyczaj niższa niż zakup urządzeń biurowych. To tylko niektóre korzyści opisane przez wspomniany portal.

SZANSA DLA POLSKI B

Wiceminister Socha zwraca uwagę na jeszcze jeden ważny aspekt pracy zdalnej. – W wielu regionach Polski ciężko o atrakcyjne miejsca pracy, zwłaszcza atrakcyjne dla kobiet. Stąd mamy ogromną migrację kobiet do dużych aglomeracji, bo to daje szansę na znalezienie dobrej pracy, tam jest szansa na rozwój. Więc praca zdalna to szansa,

by w mniejszych miejscowościach powstawały atrakcyjne miejsca pracy, tak by np. kobiety po studiach mogły wracać w swoje rodzinne strony – wylicza wiceszefowa resortu.

A problem jest poważny. Na 52 proc. kobiet z wykształceniem wyższym w wieku 25–35 lat przypada tylko 32 proc. mężczyzn z wyższym wykształceniem. Lepiej wykształcone kobiety przenoszą się do dużych ośrodków. W mniejszych miejscowościach i na wsiach młodzi mężczyźni bezskutecznie szukają żon. „Hasło »rolnik szuka żony« nie jest tylko wymysłem telewizji – samotność mężczyzn na wsiach jest faktem i istotnym problemem społecznym” – donosi raport Klubu Jagiellońskiego „Przemilczane nierówności”. „Podczas gdy w niektórych małych gminach na 10 młodych mężczyzn przypada 7 kobiet, w Warszawie jest o 14 proc. więcej młodych kobiet niż mężczyzn” – informują analitycy z Klubu Jagiellońskiego. Oznacza to, że w niektórych rejonach kraju nawet co trzeci mężczyzna może nie znaleźć towarzyszk życia. Z kolei w stolicy co siódma kobieta będzie bezskutecznie szukać drugiej połowy. A to tylko kolejny kamyczek do ogródka problemów demograficznych Polski.

„Dzisiaj mamy do czynienia z powszechną homogamią, tzn. łączą się w pary osoby o podobnym wykształceniu. Biorąc pod uwagę to, jaką mamy potężną lukę, jeśli chodzi o mężczyzn, łatwo sobie wyobrazić, jakie to ma skutki dla procesu tworzenia się rodzin – one po prostu się nie tworzą” – tłumaczyła Barbara Socha podczas Kongresu 590. „Jednym z najważniejszych problemów, które mamy dzisiaj w Polsce do rozwiązania, to zachęcenie panów do tego, by szli na studia, by nie porzucali tych studiów, by mieli wykształcenie na takim poziomie, by byli atrakcyjną partią dla młodych, pięknych, bardzo dobrze wykształconych młodych Polek” – dodała wiceminister.

Paradoksalnie więc praca z domu może się okazać rozwiązaniem przynajmniej części problemów demograficznych, z którymi boryka się Polska. Nie ulega wątpliwości, że praca zdalna zostaje z nami na dobre.



Bank Pekao

BIERZ ŻYCIE ZA ROGI



PZKosz

Bank Pekao S.A.

Sponsor polskiej
koszykówki

**WSPIERAMY
TYCH, KTÓRZY
PODEJMUJĄ
WYZWANIA**

POLSKA

12

Energia

**Polski
Cukier**

adidas

asa.pl a0f2c3b466

Pułapka elektryczności

Wymiana samochodów spalinowych na elektryczne może być dla Polski trudna do udźwignięcia. Bo nie chodzi tu wyłącznie o problemy techniczne i finansowe związane ze zmianą jednej technologii na drugą, ale również – a może przede wszystkim – o wielkie koszty społeczne



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Wszystko wskazuje na to, że od 2035 r. nie będzie można na terenie Unii Europejskiej zarejestrować nowego auta osobowego lub dostawczego z napędem spalinowym. To konsekwencje czerwcowego głosowania w Parlamencie Europejskim, podczas którego większość eurodeputowanych opowiedziała się za ograniczeniem do

zera emisji dwutlenku węgla w transporcie samochodowym. Wprawdzie niemiecki minister finansów Christian Lindner zapowiedział, że jego kraj odrzuci zakaz rejestracji aut spalinowych, ale raczej nie należy wiązać z tym wielkich nadziei. Niemcy nie odrzucają bowiem idei elektromobilności jako takiej.

I choć po 2035 r. nadal będzie możliwe rejestrowanie używanych aut spalinowych, to jest już jasne, że ich epoka wkrótce dobiegnie końca. Ich właściciele muszą się bowiem liczyć z wyższymi kosztami ich utrzymania wynikającymi z zakończenia produkcji i kłopotów z serwisem oraz innymi utrudnieniami takimi jak np. zielone strefy z zakazem wjazdu dla pojazdów emitujących dwutlenek wę-

gla. Eksploatacja starych, używanych aut spalinowych może więc okazać się zbyt droga i zupełnie nieopłacalna. Zwłaszcza że ich wartość będzie gwałtownie spadać.

Co więcej, właściciele takich samochodów mogą być obciążeni specjalnymi opłatami za emisję dwutlenku węgla. Mimo że nie jest ciągle jasne, kiedy i w jakiej formie zostaną one wprowadzone, to już dziś te opłaty – nazywane niekiedy podatkiem od aut spalinowych – stały się przyczyną obaw i ostrych sporów, również wewnątrz obozu Zjednoczonej Prawicy. Część polityków, w szczególności tych wywodzących się z Solidarnej Polski, uważa, że opłaty zostały nam narzucone jako jeden z tzw. kamieni milowych, od których uzależnia się wypłaty

w ramach Krajowego Planu Odbudowy (KPO). Inni odrzucają ten pogląd, twierdząc, że w KPO takich zapisów nie ma. Zdaniem ministra rozwoju i technologii Waldemara Budy rząd rzeczywiście będzie musiał zróżnicować opłaty, ale zrobi to bez podwyżek – po prostu obniżając opłaty właścicielom pojazdów niskoemisyjnych.

Niezależnie od tego, jak ostatecznie zostanie rozwiązana kwestia opłat za emisję dwutlenku węgla, będzie to poważne wyzwanie, przed którym stanie rząd. Bo nie chodzi tu przecież wyłącznie o problemy techniczne i finansowe związane ze zmianą jednej technologii na drugą, ale również – a może przede wszystkim – o wielkie koszty społeczne.

RYZYKOWNE TEMPO

Forsowany przez Komisję Europejską (KE) plan redukcji gazów cieplarnianych nazwany „Fit for 55” (Dostosowani do 55) zakłada obniżenie emisji do 2030 r. o 55 proc., a w 2050 r. – całkiem do zera. Wszystko to miałoby, przynajmniej teoretycznie, powstrzymać niebezpieczne skutki kryzysu klimatycznego. Ale być może – jak twierdzą sceptycy – wcale nie chodzi wyłącznie o klimat, ale również o coś innego. Na przykład o pieniądze. Drastyczne tempo redukcji gazów, zaproponowane przez KE, oznacza bowiem prawdziwą rewolucję, nie tylko technologiczną i gospodarczą, ale również społeczną. Na zmianach zyskają najbogatsi, którzy dzięki swojej przewadze ekonomicznej utrzymują konkurencyjność i staną się jeszcze bogatsi. Ubożsi zapłacą za to obniżeniem standardu życia.

Po ataku Rosji na Ukrainę wydawało się, że wcześniejsza presja eurokratów na rewolucję klimatyczną nieco osłabła. Z jednej strony świat zaczął mieć inne zmartwienia na głowie, a z drugiej wyszło na jaw sporo kompromitujących faktów świadczących o tym, że wielu bojowników walki o klimat było pokątnie finansowanych przez Moskwę zmierzającą – także przez swoją politykę energetyczną – do wywołania kryzysu na Zachodzie.

Szybko jednak się okazało, że rosyjska agresja niewiele zmieniła. Co wię-

cej, można ją wykorzystać jako dobry pretekst do jeszcze silniejszego forsowania planu „Fit for 55”. Jeden z jego głównych pomysłodawców, wiceprzewodniczący KE Frans Timmermans, już kilka tygodni po wybuchu wojny tłumaczył, że im szybciej przejdziemy na niskoemisyjne źródła energii, tym prędzej pozbędziemy się zależności od rosyjskich paliw kopalnych. I choć będzie to trudny proces, to w ostatecznym rachunku zyska nie tylko klimat, ale i nasze bezpieczeństwo.

Timmermans ostrzegał też, że trzeba za wszelką cenę uniknąć sytuacji, w której ludzkość będzie w przyszłości toczył wojny o wodę i pożywienie. I nawet trudno nie odmówić pewnej racji temu rozumowaniu. To jasne, że nasze bezpieczeństwo ma dzisiaj charakter globalny,

Dowiadujemy się, że wielu z nas będzie musiało wkrótce zrezygnować z samochodów. Oczywiście podróżować nikt nam nie zabroni, o ile będziemy wystarczająco bogaci

a nikt nie chciałby – zwłaszcza dziś, w obliczu rosyjskiej agresji – doprowadzić do zaostrzenia kryzysu migracyjnego i związanych z tym niepokojów, które byłyby nieuchronnym skutkiem kurczenia się zasobów. Tyle że tempo i skala proponowanych przez komisję zmian są tak wysokie, że można przy tej okazji wylać dziecko z kąpielą i doprowadzić do poważnego konfliktu społecznego wewnątrz samej Europy.

ZABAWKA DLA BOGATYCH

W tej chwili niemal wszyscy poruszamy się autami spalinowymi, które – owszem, zanieczyszczają środowisko, ale mają na razie tę przewagę nad elektrycznymi, że są od nich znacznie tańsze. I pewnie nikt nie miałby nic przeciwko temu, by przejąć się do elektrycznego samochodu,

gdyby nie jego zawrotna – zwłaszcza jak na polskie warunki – cena. Głównym składnikiem tej wysokiej ceny jest zasilająca elektryczne auto bateria, co do której można mieć zresztą poważne wątpliwości, czy jest ekologiczna. Ale ustaliliśmy już, że nie tylko o ekologię tu chodzi.

Z publikowanych co jakiś czas prognoz dotyczących kształtowania się cen samochodów elektrycznych wynika, że już wkrótce zrównają się one z cenami aut spalinowych, a – najdalej za pięć, sześć lat – będą od nich tańsze. To, wydawałoby się, dobra wiadomość. Tyle że to zrównanie cen nie będzie osiągnięte dzięki znaczącej obniżce kosztów zakupu aut elektrycznych, lecz przeciwnie – przez podbijanie ceny nowych aut spalinowych. Jest to wymuszone – jak twierdzą producenci – wyśrubowanymi normami ekologicznymi dla silników. Szczególnie dotkliwe w przypadku małych, tańszych aut, których produkcja po wprowadzeniu nowych, zaostrzonych norm po prostu przestanie się kalkulować. Ich ceny będą bowiem nieakceptowalne dla klientów. Pozostaną więc jedynie auta elektryczne.

Do tej pory problem zbyt drogich aut rozwiązywano w Polsce dzięki zakupowi używanych pojazdów. O ile jednak w przypadku samochodów spalinowych miało to sens, o tyle jeśli chodzi o auta elektryczne – już niekoniecznie.

Przeszkodą jest wspomniana już wysoka cena baterii zasilającej samochód. Jej sprawność producenci szacują na osiem lat lub 150 tys. km, co mocno ogranicza atrakcyjność zakupu samochodu elektrycznego na rynku wtórnym. Jasne jest przecież, że pojemność baterii będzie spadać z każdym ładowaniem. Można wprawdzie zużytą baterię wymienić, tyle że koszt takiej wymiany jest według dzisiejszych cen kosmicznie wysoki i waha się od 80 tys. zł (VW e-Golf, BMW i3) do nawet 150 tys. zł (Hyundai Kona Electric). Oznacza to więc, że w gruncie rzeczy auta elektryczne są na razie jednorazową zabawką dla bogatych. Z punktu widzenia producentów to mniejszy problem, bo choć samochodów sprzedawać się będzie mniej, to popyt na nowe auta – przynajmniej wśród zamożnych klientów – będzie zagwarantowany.

Wszystko to musi jednak doprowadzić do prawdziwej rewolucji w życiu wielu ludzi. Dziś – jeśli chodzi o samochody – dzielimy się na mniej więcej trzy kategorie: tych, którzy nie muszą mieć samochodu i korzystają z innych rodzajów transportu (bo np. mieszkają w mieście), tych, dla których auto jest koniecznością (bo pracują w usługach, mieszkają daleko od pracy lub szkoły itd.), i tych, którzy samochodu mieć nie muszą, ale go mają (bo lubią, bo ich stać itp.). Na zmianach bez szwanku wydają jedynie pierwsza i trzecia kategoria. Ci ostatni są bowiem zwykle wystarczająco bogaci, by sprawić sobie elektryczne auto, choć żeby mogli w pełni korzystać z walorów takiego samochodu, konieczna jest jeszcze pilna budowa w całym kraju infrastruktury do ładowania, ale to chyba najmniejsze dziś zmartwienie (jedynie pytanie brzmi: czy sieci energetyczne uciągną zwiększony pobór mocy?). Zresztą dla najbogatszych kierowców przewidziano wyjątki – najdroższe modele aut spalinowych takich firm, jak Ferrari czy Lamborghini będą mogły być sprzedawane dłużej, a dla najbardziej ekskluzywnych producentów, wypuszczających na rynek do 1000 sztuk samochodów rocznie, zakaz rejestracji nowych aut ma być całkowicie zniesiony.

Co zatem z drugą kategorią, a więc tymi, którzy bez samochodu nie mogą się obyć? Część z nich będzie musiała ograniczyć mobilność, inni spróbują przeprosić się z transportem publicznym (o ile uda się go poza miastami odbudować), jednak większość zostanie na lodzie lub będzie musiała skorzystać z propozycji firm oferujących długoterminowy wynajem aut elektrycznych. Oczywiście ci, którzy będą mogli, wliczą sobie wyższe koszty w cenę wykonywanych usług, pozostali czeka spadek dochodów i dotychczasowego standardu życia.

Widać więc wyraźnie, że na wymianie samochodów spalinowych na elektryczne najwięcej stracą średniozamożni i biedniejsi. W takim kraju jak Polska oznacza to poważny problem społeczny.

ŚLEPY ZAULEK?

W ciągu ostatnich 10 lat zainwestowano w Polsce mnóstwo środków (w tym także

unijnych) w rozbudowę infrastruktury transportowej. Państwo niegdyś pozbawione jakichkolwiek solidnych dróg jest dziś przecięte wieloma autostradami i drogami ekspresowymi. Pytanie jednak, po co wydawano miliardy na te drogi, skoro już niebawem ruch będzie znacznie mniejszy? Być może lepiej było w zamian budować i modernizować na szerszą skalę znacznie bardziej ekologiczne linie kolejowe? Owszem, dziś – po ćwierćwieczu degradacji i likwidacji sieci kolejowej w Polsce – znowu się rozwijają, istnieją też bardzo ambitne plany kolejowe związane z budową Centralnego Portu Komunikacyjnego. Jednak przywrócenie funkcjonalności i atrakcyjności kolei zajmie w Polsce sporo czasu i wymaga wielkich pieniędzy. Znacznie

Ci, których nie będzie stać na elektryczne auto, będą musieli ograniczyć mobilność. Inni spróbują przeprosić się z transportem publicznym (o ile uda się go odbudować), a reszta zostanie na lodzie

większych od tych, które wydawano na autostrady. Zanim to nastąpi, jesteśmy skazani w głównej mierze na transport samochodowy. Tymczasem dowiadujemy się, że wielu z nas będzie musiało wkrótce zrezygnować z samochodów. To jak mamy podróżować?

Oczywiście podróżować nikt nam nie zabroni, o ile będziemy wystarczająco bogaci, by kupić auto elektryczne lub bilet na pociąg. Oba środki lokomocji są zasilane energią elektryczną, ale prąd droższe i dopóki niskoemisyjne źródła energii nie staną się tanie (a niewiele wskazuje na to, że szybko do tego dojdzie), nie należy się spodziewać obniżek. Samoloty też odpadają, bo – zgodnie z planami ograniczenia emisji gazów cieplarnianych – przewoźnicy działający z portów lotniczych na terenie Unii, będą obciążeni opłatami

emisyjnymi, które zostaną – rzecz jasna – wliczone w cenę biletów.

Zresztą zakup auta elektrycznego też nie rozwiązuje do końca problemu. Przynajmniej do czasu, gdy zbuduje się odpowiednią infrastrukturę zasilającą przy drogach i skróci czas ładowania auta, którego średni zasięg wystarcza do jazdy po mieście, ale niekoniecznie już do wakacyjnych wojaży.

Dla wielu Polaków największym problemem będzie jednak nie wyjazd na dłuższe eskapady, lecz codzienne podróże do pracy, na zakupy czy do szkoły. Bez sprawnego transportu publicznego może się to okazać poważnym wyzwaniem, zwłaszcza dla mieszkańców wsi, mniejszych miejscowości czy rozległych osiedli podmiejskich. Nie każdego stać przecież na mieszkanie w mieście.

Poza tym w Polsce samochód ciągle jest wyznacznikiem statusu. Wystarczy popatrzeć na liczbę samochodów na naszych drogach. I chociaż to idiotyczne, w wielu środowiskach ktoś, kogo nie stać na auto, uchodzi za nieudacznika. Zatem rewolucja klimatyczna może oznaczać nie tylko niższy standard życia, ale i – w subiektywnym odczuciu wielu osób – upokarzającą degradację społeczną. A to już dobre paliwo do buntu przeciwko każdemu, kto zostanie uznany za sprawcę tych upokorzeń.

Elektryczne samochody są z pewnością przyjazne dla środowiska. Nie zanieczyszczają powietrza i są ciche. Być może rozwój technologii sprawi, że z czasem staną się bardziej dostępne dla przeciętnych ludzi. Będą też tacy, którym perspektywa mniejszego ruchu na drogach i więcej miejsc parkingowych na pewno się spodoba, zwłaszcza w dużych miastach. Jednak w warunkach państwa na dorobku, którym ciągle jest Polska, 13 lat to zbyt mało, by sprawnie przeprowadzić taką operację. W tak krótkim czasie nie przekształcimy się masowo w Szwajcarów czy Holendrów gotowych poświęcić ułamek swoich dochodów dla dobra klimatu. Bo dla większości Polaków te koszty będą przecież znacznie wyższe. W tej chwili wjeżdżamy więc w zaulek, który – bez kolejnych, wielkich nakładów finansowych – może okazać się ślepy.

Ubezpieczenie
domu **już od**
12 zł miesięcznie
w abonamencie

Z **PZU Dom** możesz spokojnie cieszyć się wakacjami

Wyjeżdżasz? Ubezpiecz dom
lub mieszkanie w PZU.

Sprawdź szczegóły w oddziale lub u agenta, w aplikacji mojePZU
albo pod numerem 600 600 601 (opłata zgodna z taryfą operatora)



Zakładem ubezpieczeń jest PZU SA. Materiał nie stanowi oferty w rozumieniu art. 66 kodeksu cywilnego. Składka za PZU Dom za okres 12 miesięcy, w wariantcie Od Wszystkich Ryzyk, w wysokości 12 zł miesięcznie w abonamencie, została wyliczona dla sum ubezpieczenia: nieruchomości – 80 000 zł, ruchomości domowe – 3 000 zł oraz dla sumy gwarancyjnej OC w życiu prywatnym – 20 000 zł, z zastosowaniem promocji Bądź z Nami 2022 (promocja trwa do odwołania) – dla ubezpieczającego w wieku 63 lat i dla domu jednorodzinnego, wyposażonego w drzwi antywłamaniowe, w Żarnowie, pow. Opoczyński (26-330). Szczegółowe informacje o zakresie ubezpieczenia, w tym o wyłączeniach i ograniczeniach odpowiedzialności, znajdziesz w aktualnych ogólnych warunkach ubezpieczenia PZU Dom, informacje o abonamencie – w zasadach płatności abonamentowych, a szczegóły promocji – w Regulaminie promocji BZN 2022 r., dostępnych na pzu.pl, w naszych oddziałach i u naszych agentów. Twoja indywidualna cena może różnić się od podanej w reklamie.

Schyłek pontyfikatu?

Latynoski model zarządzania Kościołem przez Franciszka coraz mocniej ujawnia swoje słabości



GRZEGORZ GÓRNY

W ostatnich tygodniach media na świecie żyły spekulacjami o prawdopodobnie abdykacji Franciszka, do której miałyby dojść pod koniec sierpnia po planowanym wówczas konsystorzu, czyli spotkaniu kardynałów z całego świata. Pogłoski były podsycane informacjami o złym stanie jego zdrowia, na skutek czego została odwołana lipcowa podróż apostolska do Afryki. Okazało się, że zamiast na Czarny Ląd Franciszek wybierze się do L'Aquila w Abruzji, gdzie znajduje się grobowiec Celestyna V – papieża, który ustąpił z tronu Piotrowego w 1294 r. Media przypominały, że tam właśnie niedługo przed swoją rezygnacją modlił się Benedykt XVI.

Wielu dziennikarzy, wyolbrzymiając drugorzędne fakty i podnosząc je do rangi determinantów, podgrzewało atmosferę, wieszcząc rychły koniec obecnego pontyfikatu. Powtarzano przede wszystkim tezę, iż zdrowie Franciszka nie pozwala mu na kontynuowanie posługi. To prawda, że z powodu zapalenia więzadeł w prawym kolanie odczuwa on ból biodra i od ponad miesiąca porusza się na wózku inwalidzkim. Jednak wielu publicystom umknęła oczywista

prawda, że Kościołem zarządza się głową, a nie nogami.

Pogłoski o spodziewanej abdykacji w Watykanie urosły już do takich rozmiarów, że postanowił odnieść się do nich sam zainteresowany. Podczas spotkania z brazylijskimi biskupami oznajmił, że mimo problemów z chodzeniem decyzja o ustąpieniu nie przyszła mu nawet na myśl.

Cała sytuacja stała się jednak okazją dla wielu komentatorów do podsumo-



Fot. Shutterstock

wania dorobku Franciszka w ostatnich dziewięciu latach. Niezależnie bowiem od tego, kiedy zakończą się jego rządy, wśród watykanistów dominuje przekonanie o schyłkowości tego pontyfikatu.

ATOMIZACJA KOLEGIUM KARDYNALSKIEGO

Od kilku miesięcy wśród purpuratów na świecie krąży czasopismo o nazwie „Cardinalis”, stworzone specjalnie z myślą o nich. Wydawane jest w Francji, ukazuje się w czterech językach, a jego celem – jak deklaruje redakcja – jest pomoc kardynałom w „poznaniu się i podejmowaniu właściwych decyzji w ważnych momentach życia Kościoła”, czyli w perspektywie przyszłego konklawe. Twórcy pisma prezentują sylwetki różnych kardynałów oraz piszą o ich stosunku do najważniejszych problemów, przed którymi stoi dzisiaj Kościół. Ich zdaniem jest to wiedza konieczna w przypadku wyboru przyszłego papieża.

Problem polega na tym, że członkowie obecnego kolegium kardynalskiego nie znają się dobrze nawzajem. Do tej pory najlepszą okazją do poznania były momenty kreacji kardynałów w Rzymie. Zazwyczaj odbywał się wówczas tzw. konsystorz publiczny, podczas którego nominaci otrzymywali w bazylice św. Piotra z rąk papieża czerwone birety, a następnie miał miejsce tzw. konsystorz tajny. Wówczas kardynałowie, którzy zjeżdżali się do Watykanu na uroczystość z całego świata, mogli spotkać się sami w zamkniętym gronie, poznać się, podyskutować, wymienić opiniami. Kiedy Karol Wojtyła wybierał się na konklawe w 1978 r., znał osobiście 106 spośród 110 pozostałych purpuratów. Było to możliwe głównie dzięki konsystorzom tajnym, zwoływanym przez Pawła VI.

Najwyżsi hierarchowie katoliccy nie mają obecnie takiej szansy. Franciszek zorganizował bowiem do tej pory tylko jeden konsystorz tajny – w lutym 2014 r., kiedy pierwszy raz kreował 19 nowych kardynałów. Zlecił wówczas kard. Walterowi Kasperowi, którego sam nazwał największym żyjącym teologiem, wygłoszenie referatu będącego wstępem do dyskusji. Nie-

miecki dostojnik zaproponował wtedy zmianę nauczania Kościoła w sprawie dopuszczania do Eucharystii osób rozwiedzionych i utrzymujących relacje seksualne w ponownych związkach, opowiadając się zdecydowanie za takim rozwiązaniem. Postulat Kaspera spotkał się jednak z jednoznacznym sprzeciwem większości purpuratów, którzy zdecydowanie odrzucili jego pomysły. Od tamtego czasu Franciszek przestał organizować konsystorze tajne, mimo że później jeszcze sześć razy zwoływał konsystorze jawne, by wręczać nominatom birety.

Po raz pierwszy od wielu lat wszyscy kardynałowie będą mieli okazję spotkać się pod koniec sierpnia w Rzymie, ponieważ Franciszek zaprosił ich do dyskusji na temat ogłoszonej niedawno konstytucji apostolskiej „Praedicate Evangelium”. Wspomniany dokument wprowadza długo oczekiwaną reformę kurii rzymskiej. Jak powiedział kard. George Pell, głównym celem, który stawiali w 2013 r. kardynałowie przed Jorge Mario Bergoglio, dokonując jego wyboru, było właśnie zreformowanie kurii. Ciągle się jednak to opóźniało. Przez ostatnich dziewięć lat zarządzanie Kościołem na najwyższych szczeblach odbywało się nie wokół stałych i czytelnych reguł, lecz miało charakter woluntarystyczny i było rezultatem osobistych decyzji Franciszka, nieliczącego się z obowiązującymi do tej pory normami.

ODPOWIEDZIALNY POPULIZM

Przy okazji wyboru Jana Pawła II katolicki filozof Rocco Buttiglione zauważył, że chociaż misja każdego papieża jest uniwersalna, to jednak naznacza on swój pontyfikat elementami wywodzącymi się z jego temperamentu oraz tradycji i kultury, które go uformowały. W tym kontekście włoski myśliciel zwracał uwagę na wiele rysów polskości, które miały wpływ na posługę Karola Wojtyły w Watykanie. Analogicznie można zastanowić się nad tym, co ukształtowało Jorge Mario Bergoglio.

Po pierwsze, jest to Kościół latynoamerykański, który od lat 60. ub. w. skoncentrował się na sprawach społecznych, odsuwając na dalszy plan kwestie

duchowe, teologiczne i doktrynalne. Przejawem tego były m.in. teologia wyzwolenia lub teologia ludu, które implementowały do tamtejszego katolicyzmu wiele elementów marksizmu. Dziś wielu latynoskich księży bardziej niż głoszeniem Jezusa zajmuje się sprawiedliwością społeczną, postulatami równościowymi, polityką klimatyczną itd. Towarzyszy temu ostentacyjne lekceważenie liturgii i dyscypliny sakramentów (np. w diecezji Buenos Aires dopuszczanie par niesakramentalnych do Eucharystii od dawna jest powszechną praktyką).

Prym w tym nurcie od kilkudziesięciu lat wiodą zwłaszcza jezuici, spośród których najbardziej byli znani m.in. Leonardo Boff z Brazylii czy Fernando Cardenal z Nikaragui (przez sześć lat minister w marksistowskim rządzie sandinistów). Nadali oni ton życiu Kościoła w Ameryce Południowej, gdy generałem tego zakonu w latach 1965–1983 był Pedro Arrupe, wychwalany dziś przez Franciszka jako jeden z prawdziwych świętych naszych czasów (w 2018 r. rozpoczął się jego proces beatyfikacyjny).

Rezultatem skupienia się Kościoła na sprawach społecznych jest masowe odchodzenie latynoskich katolików do zborów zielonoświątkowych i ewangelikalnych. Jest to zjawisko, które w ostatnich dekadach radykalnie zmieniło religijne oblicze kontynentu. Ludzie, którzy mają w sercu pragnienie Boga, dosyć mają księży powtarzających to samo, co mówią lewicowi politycy, dlatego przechodzą do wspólnot neoprotestantckich, gdzie mogą w końcu usłyszeć o Jezusie jako Zbawicielu czy walce duchowej z realnym złem.

Drugim ważnym czynnikiem, który ukształtował Jorge Mario Bergoglio, jest kultura polityczna panująca w krajach latynoskich, a zwłaszcza doświadczenie rządów Juana Peróna w Argentynie. Część watykanistów twierdzi, że słowem, które najlepiej oddaje istotę obecnego zarządzenia Kościołem, jest właśnie peronizm – styl oparty m.in. na niesposobieniu ustalonych norm, całkowitym woluntaryzmie, porozumiewaniu się z narodem ponad głowami instytucji pośredniczących, a przede wszystkim na populizmie. W encyklice

„Fratelli tutti” Franciszek dokonał zresztą rehabilitacji tego ostatniego pojęcia, zauważając, że oprócz nieodpowiedzialnego populizmu istnieje też populizm odpowiedzialny, którego sensem jest troska o lud, rozumiany także jako „kategoria mityczna”.

PERSONALNA KARUZELA

Najbardziej spektakularnym przykładem peronistycznego stylu zarządzania jest polityka personalna Watykanu, a zwłaszcza nominacje, awanse, przymusowe urlopy i przeniesienia, które stały się prawdziwą karuzelą. Obecnie brakuje nuncjuszów apostolskich w 17 krajach. Swoich purpuratów nie mają metropolie uznawane za stolice kardynalskie, takie jak Paryż, Los Angeles, Berlin, Kraków, Dublin, Edynburg, Seul, Neapol, Turyn, a nawet Wenecja i Mediolan (te dwa ostatnie miasta w XX w. dały Kościołowi aż pięciu papieży).

Część biskupów o swoich nominacjach kardynalskich dowiedziała się dopiero po ich ogłoszeniu w mediach, jak np. Lucas Van Looy z Gandawy, który natychmiast odmówił przyjęcia czerwonego biretu. Oświadczył, że jest niegodny tego zaszczytu, ponieważ w przeszłości ukrywał nadużycia seksualne popełniane przez kapłanów w jego diecezji. Rodzi się pytanie: czy nikt nie ostrzegł Franciszka przed kreowaniem skompromitowanego hierarchy na księcia Kościoła? Przecież wiedza o tym była w Belgii powszechna. Wszystko wskazuje na to, że podjął on decyzję bez konsultowania jej z kompetentnymi osobami. Ten przykład wiele mówi o stylu jego zarządzania.

Oddzielną kwestią jest traktowanie przez niego biskupów. W grudniu 2021 r. Franciszek zdymisjonował metropolitę Paryża abp. Michela Aupetita, którego – jak sam przyznał – „poświęcił na ołtarzu hipokryzji”. Przypomnijmy: wobec francuskiego hierarchy pojawiły się w mediach oskarżenia o utrzymywanie w przeszłości zbyt bliskich relacji z pewną kobietą. Mimo dziennikarskiego dochodzenia nie potwierdziły się jakiegokolwiek zarzuty o przekrocze-

nie przez duchownego dopuszczalnych granic, np. utrzymywanie stosunków seksualnych. Hierarcha stracił jednak swoje stanowisko, ponieważ według Franciszka skandal medialny pozbawił go wiarygodności do sprawowania takiej funkcji. Stosując podobną logikę, można zdymisjonować każdego fałszywie oskarżonego biskupa, ponieważ przedstawiono go w negatywnym świetle w oczach opinii publicznej. Do tej pory poświęcano ludzi na ołtarzu prawdy, ponieważ służyło prawdzie. Dlatego teraz poświęca się ich w imię hipokryzji?

Uderzający jest też sposób potraktowania przez Franciszka kard. Rainera

Pogłoski o spodziewanej abdykacji w Watykanie urosły do takich rozmiarów, że postanowił odnieść się do nich sam Franciszek. Podczas spotkania z brazylijskimi biskupami oznajmił, że mimo problemów z chodzeniem decyzja o ustąpieniu nie przyszła mu nawet na myśl

Marię Woelkego z Kolonii, w którego archidiecezji sporządzono raport na temat nadużyć seksualnych księży. Autorzy dokumentu wykazali rażące uchybienia kilku ordynariuszy i biskupów pomocniczych w przeszłości, jednak kard. Woelki okazał się całkowicie czysty i bez zarzutu. Do czasu zakończenia dochodzenia postanowił oddać się jednak całkowicie do dyspozycji Franciszka. Ten ostatni w jednym z niedawnych wywiadów powiedział: „Poprosiłem arcybiskupa, żeby wyjechał na pół roku, żeby się uspokoiło. [...] Kiedy powrócił, poprosiłem go o napisanie listu rezygnacyjnego. Zrobił to i dał mi. Pozostawiłem go na miejscu,

żeby zobaczyć, co się stanie, ale mam w ręku jego rezygnację”. Wielu komentatorów odbiera takie postępowanie jako publiczne poniżenie kardynała, który w niemieckim episkopacie najmocniej sprzeciwia się tamtejszej drodze synodalnej.

DESTRUKCJA PRAWNA

Wiele o latynoskim sposobie zarządzania Kościołem mówi wydana rok temu ponad 300-stronicowa książka Geraldiny Boni, profesor prawa kanonicznego i kościelnego na Uniwersytecie Bolońskim, która od 2011 r. pracuje jako konsultor dla Papieskiej Rady ds. Tekstów

Prawnych. Zadaniem tego organu jest czuwanie nad poprawnością dokumentów prawnych ogłaszanych przez Stolicę Apostolską.

Książka prof. Boni jest jednym wielkim krzykiem rozpaczy nad dewastacją architektury prawnej Kościoła. Za obecnego pontyfikatu w Watykanie ukazała się gigantyczna liczba nowych aktów prawnych, dekretów, rozporządzeń, instrukcji itd., jednak większość z nich nigdy nie została przesłana do zaopiniowania wspomnianej radzie. Okazuje się, że były one opracowywane przez jakieś efemeryczne komisje, powoływane każdorazowo ad hoc przez Franciszka, których składu niemal nikt nigdy nie znał. Autorzy tych dokumentów – jak udowadnia w swojej pracy autorka – mają raczej blade pojęcie o prawie kanonicznym

i kościelnym. W efekcie powstają akty prawne, które napisane są niechlujnie, bez dbałości o aspekt formalny, posługują się nieprecyzyjną terminologią, są niespójne wewnętrznie, niekiedy sprzeczne z innymi dokumentami oraz nieskoordynowane z całym systemem prawnym. Mimo to są oficjalnie ogłaszane przez Franciszka, wywołując później zamieszanie w podstawowych kwestiach interpretacji i aplikacji prawa.

O podobnym zamieszaniu w sprawach doktrynalnych mogłoby z kolei wiele powiedzieć teologowie. Wszystko wskazuje na to, że podczas kolejnego konklawe eksperymentu latynskiego raczej nie będzie.

PKO Bank Polski – sprawdzony partner dla małego, średniego i dużego biznesu

PKO Bank Polski konsekwentnie wspiera firmy w rozwoju i realizacji projektów inwestycyjnych, zarówno doradzając przy doborze form finansowania przedsięwzięć, jak i oferując elastyczne warunki dopasowane do potrzeb danej firmy i jej działalności. Klienci biznesowi największego polskiego banku mogą korzystać również z produktów oraz usług leasingowych i faktoringowych

Rok 2022 jest nadal czasem wielu wyzwań dla przemysłu i gospodarki. W niepewnych czasach firmy potrzebują solidnego i sprawdzonego bankowego partnera, który doradzi i wesprze je usługami finansowymi skrojonymi na miarę.

PKO Bank Polski oferuje pełny zakres usług finansowych dla firm. Przedsiębiorstwa o przychodach do 30 mln zł rocznie mogą liczyć na wsparcie mobilnych doradców i zespołu ekspertów specjalizujących się w różnych dziedzinach (analizie kredytowej, leasingu, faktoringu, handlu międzynarodowym, rynku walutowym).

– Przedsiębiorstwa mogą korzystać w PKO Banku Polskim z najwyższych standardów obsługi, co pozwala na indywidualne i holistyczne spojrzenie na klienta, szczególnie w przypadku nietypowych, innowacyjnych biznesów. Decyzje podejmujemy lokalnie, w Polsce, co daje nam większą elastyczność – mówi Agnieszka Wardak, dyrektor Centrum Bankowości Przedsiębiorstw w PKO Banku Polskim.

W ofercie banku przedsiębiorcy znajdą również wiele narzędzi i usług, które pomagają w bieżącym zarządzaniu biznesem. Dobrym przykładem takiego rozwiązania jest bankowy kantor internetowy dla firm. Można w nim znaleźć atrakcyjne kursy i dostęp do wielu walut, co więcej – można telefonicznie negocjować kurs wymiany w kantorze bezpośrednio z dealerem banku nawet dla jednej transakcji. Aby było szybko i bezpiecznie, środki przy takiej wymianie cały czas znajdują się na rachunku firmy. Kantor w PKO Banku Polskim ma też funkcję wymiany waluty bez konta walutowego, która sprawdza się w przypadku pojedynczych przelewów przychodzących i wychodzących. Kantor internetowy działa również na smartfonach.

Jeśli w firmie znajduje się dział księgowości, kadr czy zakupów, wówczas system bankowości internetowej można udostępnić swoim pracownikom w zakresie, jaki



Agnieszka Wardak,
dyrektor Centrum
Bankowości Przedsiębiorstw
w PKO Banku Polskim

jest potrzebny na danym stanowisku (np. tylko przelew podatkowy akceptowany smartfonem przez członka zarządu). Przez serwis bankowości internetowej można również wnioskować m.in. o kredyt na kilka milionów złotych. Z kolei każdy pracownik za pośrednictwem smartfona może zarządzać swoją kartą służbową (sprawdzać limity, nadawać PIN itp.). Takie możliwości oferuje system iPKO biznes wraz z aplikacją mobilną.

PKO Bank Polski ma oddziały dla klientów biznesowych w Niemczech, Czechach i na Słowacji. Konta można otworzyć bez wyjeżdżania z Polski. W każdym z wymienionych państw działa jeden serwis bankowości online. Oznacza to, że bez przelogowania

można zarządzać rachunkami firmy w czterech krajach, a przelewy między nimi są realizowane w czasie rzeczywistym. To rozwiązanie jest szczególnie przydatne m.in. dla branży e-commerce.

W zmiennym otoczeniu rynkowym przedsiębiorcy szukają także zabezpieczenia przed wzrostem stóp procentowych. Dlatego PKO Bank Polski oferuje im „Kredyt z oprocentowaniem nie większym niż”. Klient ma możliwość wykupienia ochrony stawki referencyjnej WIBOR 3M, która stanowi podstawę wysokości oprocentowania kredytu. Dzięki temu przedsiębiorcy będą mogli ograniczyć ryzyko wzrostu stóp procentowych.

– W czasie dynamicznie zmieniających się uwarunkowań rynkowych bardzo ważne dla nas jest bezpieczeństwo finansów naszych klientów. Dlatego warto rozważyć zabezpieczenie się przed ryzykiem stóp procentowych, gdy okres spłaty kredytu firmowego będzie dłuższy niż sześć miesięcy. Oprócz stosowanych produktów, takich jak opcja CAP, kontrakty IRS czy CIRS, nasi klienci mogą także wykupić ochronę stawki referencyjnej – mówi Agnieszka Wardak.

pkobp.pl/przedsiębiorstwa

Polska to kluczowy gracz w regionie

Jest oczywiste, że wojna na Ukrainie zmieniła kontekst geopolityczny w Europie Środkowo-Wschodniej, a proces ten jest głęboki i silny. Pisał pan niedawno, że międzynarodowa pozycja Polski jest wzmocniona. Co dokładnie ma pan na myśli?

Aleks Szczerbiak: To, że centralne miejsce Polski w kontekście reakcji Zachodu na wojnę na Ukrainie dało Warszawie szansę na podniesienie jej rangi dyplomatycznej i wojskowej jako kluczowego gracza regionalnego. Jej krytyczne położenie geograficzne w połączeniu z faktem, że jest największym członkiem NATO w regionie, z największymi wydatkami na obronę, sprawiają, że Polska stała się kluczowa w stosunkach paktu z Moskwą. Polska jest jednym z głównych ośrodków kierowania pomocy wojskowej i humanitarnej na Ukrainę oraz głównym celem uchodźców uciekających przed konfliktem, z ponad 3 mln ludzi, którzy przekroczyli wschodnią granicę. Poza tym ważny jest jeszcze jeden fakt.

Jaki?

Wiarygodność i pozycję Polski na arenie międzynarodowej wzmacnia to, że od dawna ostrzega ona przed ekspansjonistycznymi zakusami Władimira Putina w regionie. Warszawa krytykowała Niemcy i inne mocarstwa zachodnie za rozwijanie gospodarczych i dyplomatycznych stosunków z Moskwą ponad głowami państw postkomunistycznych, czego przykładem jest kontrowersyjny gazociąg Nord Stream 2 (który Berlin oczywiście z opóźnieniem zawiesił). Polska jest jednym z najzagorzalszych sojuszników Ukrainy, stoi na czele działań mających na celu przekonanie zachodniej społeczności międzynarodowej do wypracowania wspólnej, zde-

Rosyjska inwazja wyraźnie otworzyła przed rządem Prawa i Sprawiedliwości wiele możliwości zwiększenia swoich wpływów w UE i przekształcenia obecnego systemu sojuszy europejskich

Z Alekssem Szczerbiakiem, profesorem nauk politycznych na Uniwersytecie Sussex w Wielkiej Brytanii i ekspertem ds. polityki środkowoeuropejskiej, rozmawiał Goran Andrijanić

cydowanej reakcji na rosyjską inwazję oraz utrzymania i rozszerzenia sankcji.

Jak najlepiej wykorzystać tę nową pozycję?

Polski rząd z pewnością będzie chciał to wykorzystać jako okazję do realizacji swojej agendy w ramach Unii Europejskiej, tzn. budowania sojuszy alternatywnych wobec osi francusko-niemieckiej. Niemcy i główne mocarstwa UE straciły wiarygodność w kwestii bezpieczeństwa, w momencie gdy znalazła

się ona na pierwszym miejscu agendy politycznej. To potencjalnie powoduje, że inne państwa postkomunistyczne są bardziej podatne na strategiczną koncepcję PiS dotyczącą rozwoju bliższej, regionalnej współpracy. Do tej pory większość z tych krajów postrzegała lokowanie się w europejskim „głównym nurcie” i ścisłą współpracę z Berlinem jako klucz do realizacji swoich interesów w Unii. Rosyjska inwazja wyraźnie otworzyła przed rządem PiS wiele możliwości zwiększenia swoich wpływów w UE i przekształcenia obecnego systemu sojuszy europejskich. Ale jest za wcześnie, by powiedzieć, na ile wojna wzmocniła wysiłki Polski, by odciągnąć inne państwa postkomunistyczne od orientacji na Niemcy i unijny mainstream. Sytuacja międzynarodowa jest płynna i wiele oczywiście zależy od tego, jak długo będzie trwać wojna oraz czy będzie miała długotrwałe, czy szybko wygasające skutki. Co więcej, Niemcy pozostają kluczowym graczem politycznym Unii i główną potęgą gospodarczą, więc państwa Europy Środkowo-Wschodniej bez względu na to, jak sfrustrowane mogą być zachowaniem Berlina w sprawie konfliktu ukraińskiego, mogą nadal chcieć zbliżyć się do mainstreamu, zwłaszcza gdy dominujące stają się kwestie społeczno-gospodarcze, spychając na dalszy plan kwestie bezpieczeństwa.

Jest jeszcze za wcześnie, by stwierdzić, jak ten proces będzie przebiegał?

Zdecydowanie. Pojawia się również argument, że głębsza integracja UE – a tym samym ściślejsze dopasowanie do unijnego głównego nurtu – może w rzeczywistości zwiększyć bezpieczeństwo tych krajów, pomagając im mocniej osadzić się w zachodnich

strukturach międzynarodowych. Polska opozycja przekonuje np., że konflikt PiS z politycznym establishmentem Unii podkopał bezpieczeństwo narodowe kraju, osłabiając jego zakotwiczenie na Zachodzie. Niemniej, o ile bezpieczeństwo regionalne pozostaje kluczową kwestią w polityce Europy Środkowo-Wschodniej, jest mało prawdopodobne, że nastąpi szybki powrót do *status quo ante*, jeśli chodzi o wiarygodność niemieckich przywódców.

Czy można powiedzieć, że zmienił się wizerunek Polski za granicą?

Kiedy ukraińscy uchodźcy zaczęli napływać przez granicę, zauważyłem początkowy wzrost zainteresowania Polską, w tym ze strony tych dziennikarzy i komentatorów, którzy nigdy tak naprawdę nie interesowali się Polską, ani bardziej ogólnie – wschodnio-europejską polityką. To oczywiście nieco osłabło, gdy relacje z wojny przesunęły się w dół serwisów informacyjnych, a przepływ uchodźców zwolnił. Większość zachodnich mediów opiniotwórczych była wcześniej instynktownie wrogo nastawiona do rządu PiS. Uważały, że jest po „złej stronie historii” w kwestiach moralno-kulturowych i w dużej mierze akceptowały argumenty polskiej opozycji, że wiele reform wewnętrznych, w szczególności reforma sądownictwa, podważa rządy prawa. Jednak wojna na Ukrainie – zwłaszcza fakt, że Polska właściwie oceniła charakter reżimu Putina, oraz bardzo ciepła reakcja zarówno polskich władz państwowych, jak i społeczeństwa na ukraiński kryzys uchodźczy – skłoniły niektórych komentatorów do drugiego spojrzenia na Polskę. Daje to Prawu i Sprawiedliwości okazję do nakłonienia wcześniej wrogo nastawionych komentatorów do zrewidowania niektórych poglądów, które mieli na temat natury polskiego rządu.

Wygląda na to, że polityka Paryża i Berlina wobec Rosji niewiele się zmieniła. Choć deklarują pomoc Ukrainie, w rzeczywistości robią niewiele, czekają na powrót „business as usual”. Czy zgadza się pan z tą oceną?



Ogólnie tak. Paryż i Berlin oczywiście potępiły rosyjską inwazję i zgodziły się na wszystkie pakiety sankcji UE. Niemcy zawiesiły uruchomienie gazu Nord Stream 2 i zobowiązały się do znacznego zwiększenia wydatków na obronę w perspektywie średnio- i długoterminowej. Jednak oba państwa sprawiają również wrażenie, że tak naprawdę chcą, by konflikt doszedł do jakiegoś wynegocjowanego rozwiązania tak szybko, jak to możliwe. Widać to np. w wysiłkach Emmanuela Macrona o utrzymaniu otwartych linii komunikacji z Putinem i jego niechęci do określania niektórych rosyjskich działań na Ukrainie jako ludobójstwa.

W pana opinii współpraca między Waszyngtonem a Warszawą jest kluczowym elementem wzmocnienia sytuacji geopolitycznej w tej części Europy. Czy uważa pan, że przeszkodą w tym mogą być pewne różnice ideologiczne między administracją Joe Bidena a rządem PiS?

Polski rząd bez wątpienia odniósł sukces w wykorzystywaniu swojej pozycji międzynarodowej do poprawy stosunków polsko-amerykańskich. Przypominam, że do niedawna PiS miał bardzo napięte stosunki z administracją Bidena. Miał bardzo silne więzi z Donaldem Trumpem, którego zaczął postrzegać jako konserwatywną bratnią duszę. Trump udzielił silnego poparcia inicjatywie Trójomorza, którą postrzegał jako sposób na wzmocnienie wpływów Polski i rzucenie wyzwania istniejącym elitom UE. Z kolei administracja Bidena, podobnie jak establishment polityczny Unii, postrzegała PiS jako stojący „po złej stronie historii” w kwestiach moralno-kulturowych, a podczas kampanii przed wyborami prezydenckimi w USA w 2020 r. Biden wspominał o Polsce jako kraju, w którym demokracja była zagrożona, natomiast inicjatywę Trójomorza Biden postrzegał jako uzupełnienie głównego nurtu UE, a nie przeciwwagę dla osi francusko-niemieckiej.

Ale ten kontekst się zmienił?

Tak. W rzeczywistości jeszcze przed wybuchem wojny Andrzej Duda podejmował skoordynowany wysiłek odbu-

dowy więzi z Waszyngtonem. Co więcej, w miarę jak wojna zwiększyła wagę kwestii bezpieczeństwa, administracja Bidena odeszła od dotychczasowego politycznego podejścia, według którego to Berlin był głównym partnerem Stanów Zjednoczonych w Europie.

To się też zmieniło.

Zmieniło się, bo po rosyjskiej inwazji Polska stała się kluczowym członkiem NATO, najważniejszym partnerem strategicznym Waszyngtonu w promowaniu bezpieczeństwa regionalnego. Ponieważ Niemcy nie mają uprawnień do przewodzenia Europie w kwestiach bezpieczeństwa, administracja Bidena podjęła pragmatyczną decyzję o odrzuceniu politycznych i ideologicznych różnic w stosunku do PiS i nadaniu

Polski rząd bez wątpienia odniósł sukces w wykorzystywaniu swojej pozycji międzynarodowej do poprawy stosunków polsko-amerykańskich

priorytetu szerszej współpracy strategicznej z Polską. Przykładem może być głośna marcowa wizyta prezydenta USA w Polsce, kiedy w wymowny sposób nie skrytykował on polityki wewnętrznej polskiego rządu.

Wojna na Ukrainie pokazała zasadnicze różnice w strategii między Warszawą a Budapesztem. Mając to na uwadze, jak widzi pan przyszłość Grupy Wyszehradzkiej?

Relacje PiS z Orbánem i Fideszem są na kiepskim poziomie. Na pewno obie partie od dawna miały rozbieżne poglądy na stosunki z Rosją, ale do czasu inwazji na Ukrainę PiS był gotów tolerować promoskiewskie tendencje Fideszu i odłożyć sprawę na dalszy plan. Wojna zmieniła jednak sytuację, ponieważ PiS postrzega rosyjską agresję

na Ukrainie jako decydujący moment w polityce międzynarodowej, a bliskie związki Budapesztu z Moskwą jako podważające nie tylko ukraińskie, ale i polskie interesy bezpieczeństwa. PiS wcześniej miał strategiczne partnerstwo z Fideszem oparte na podzielnym antyfederalistycznym poglądzie w sprawie integracji europejskiej i odrzuceniu liberalno-lewicowego konsensusu UE w kwestiach moralno-kulturowych. Teraz zostało ono zredukowane do taktycznej współpracy w kwestiach „rządów prawa”, polegającej na tym, że oba kraje próbują odalic unijne sankcje. Ponadto w wyniku stanowiska Węgier w sprawie konfliktu ukraińskiego skutecznie została również zawieszona kooperacja na najwyższym szczeblu między czterema państwami wyszehradzkimi. Choć zapewne utrzyma się pewien niższy poziom współpracy, wydaje mi się, że w najbliższej przyszłości Grupa Wyszehradzka raczej nie będzie funkcjonować jako spójna regionalna organizacja lobbystyczna.

Jak ocenia pan sposób, w jaki Wielka Brytania postrzega kryzys wywołany wojną na Ukrainie? Czyta wojna może być okazją do nowej redefinicji stosunków między Warszawą a Londynem, ich dalszego zbliżenia?

Zarówno rząd polski, jak i brytyjski są bardzo zaangażowane w rozwijanie bliskich stosunków dwustronnych, zarówno na poziomie państwa, jak i społeczeństwa obywatelskiego. I to nie tylko ze względu na dużą liczbę Polaków, którzy nadal mieszkają i pracują w Wielkiej Brytanii. Konflikt na Ukrainie jest rzeczywiście okazją do wzmocnienia tych relacji. Oba kraje mają podobne podejście do wojny i ogólnie do Rosji. A to, że kwestie bezpieczeństwa znalazły się na pierwszym miejscu agendy politycznej, dodatkowo wzmocniły te relacje bilateralne. Jednym z głównych powodów, dla których Warszawa chciała utrzymać bliskie związki z Wielką Brytanią po brexitie jest fakt, że Wielka Brytania jest ważnym, międzynarodowym graczem w obszarze wojskowym, odgrywającym kluczową rolę w NATO.

GALA



DERBY



3 LIPCA
TOR SŁUŻEWIEC

PROGRAM

12.00	ROZPOCZĘCIE WYDARZENIA
13.30	GONITWA 1
14.00	GONITWA 2
14:30	MEMORIAŁ FRYDERYKA JURJEWICZA
15:00	GONITWA 4
15:40	NAGRODA PREZESA TOTALIZATORA SPORTOWEGO
16:20	WESTMINSTER DERBY
17:05	UAE PRESIDENT CUP CENTRAL EUROPEAN ARABIAN DERBY
17:20	FINAŁ KONKURSU NA NAJPIĘKNIEJSZĄ STYLIZACJĘ W KAPELUSZU
17:45	GONITWA 8
18:15	GONITWA 9
18:45	GONITWA 10

KUP BILET

eBilet.pl

Wieniawa, Wieniawa, Wieniawa

*Tytułem „Wieniawa...”
podanym w trójnasób
chciałem odnieść się
do trzech najważniejszych
profesji gen. dyw.
dr. Bolesława Wieniawy-
-Długoszewskiego
(22.07.1881–1.07.1942):
żołnierza, poety, dyplomaty.
Ukończył Uniwersytet
Jana Kazimierza we
Lwowie. Był lekarzem,
jednak krótko praktykował
w wyuczonym zawodzie.
Studiował też malarstwo
w Berlinie, kilka lat
mieszkał w Paryżu.
Pochodził z rodziny
szlacheckiej herbu
Wieniawa. Fantazja
ulańska u niego to nakaz
polskiej tradycji*



**WOJCIECH STANISŁAW
GROCHOWALSKI**

Był człowiekiem obrosłym legendą już za życia i ta legenda broni się do dziś. Mimo wielu prób oczerniania go, nikt nie odbierze mu zasług dla Rzeczypospolitej.

Według przyjaciół „był człowiekiem wyjątkowej inteligencji i polotu, o uroku zniewalającym po prostu”. Podbijał serca dobrocią, uprzejmością, radością życia, błyskotliwością i niezrównanym humorem.

Nikt tak nie opowiadał o Komendancie (Piłsudskim) jak on. Bo nie zrozumie się dorosłego życia tego człowieka, jego zachowań i decyzji w oderwaniu od życiorysu Józefa Piłsudskiego. Jan Lechoń napisał, że „Wieniawa żył dla Piłsudskiego, czuł, że w ten sposób najlepiej żyje dla Polski”. Poszedł za Piłsudskim, gdy poznał go i słuchał jego wykładów o ruchu strzeleckim w Paryżu w 1912 r. Postanowił wracać do Polski i walczyć, miał wreszcie wodza, któremu zaufał i wierzył bezgranicznie.

ŻOŁNIERZ

Wieniawa był żołnierzem 1 Kompanii Kadrowej, która wyruszyła z Krakowa pamiętnego 6 sierpnia 1914 r. jako pierwszy duży zwarty polski oddział na wojnę z Rosją, na wielką wojnę. Był żołnierzem 1 Brygady Legionów Polskich, ułanem 1 Pułku Ułanów Legionów Polskich, członkiem tajnej Polskiej Organizacji Wojskowej. Za walki legionowe otrzymał Order Wojskowej Wirtuti Militarnej piątej klasy. Zaczynał wojnę jako szeregowiec, by zakończyć jako porucznik; dowodził plutonem, szwadronem, dywizjonem, pułkiem.

Po aresztowaniu Piłsudskiego przez Niemców w lipcu 1917 r., w słynnym kryzysie przysięgowym, został zdegradowany przez Austriaków (przez c.k. Komendę Legionów) i aresztowany. Po uwolnieniu z więzienia skierowano go do służby w szpitalu wojennym, gdzie

chorym od pępka w dół zlecał lewatywę, od pępka w górę rycynę. Po kilku dniach szpital opustoszał...

Po ucieczce z armii austriackiej został wysłany przez komendanta głównego POW Edwarda Rydza-Śmigłego wiosną 1918 r. do Rosji. Miał tam nawiązać kontakt z gen. Józefem Hallerem. Dotarł do Moskwy, gdzie go aresztowano i o mało nie rozstrzelano. Z więzienia pomogła mu wydostać się zakochana w nim Bronisława Berenson, znajoma jeszcze z Paryża, a wówczas żona znanego adwokata. Po wojnie rozstała się z mężem i poślubiła Wieniawę. Ktoś wspominał później, że gdy koledzy kawalerzyści rozstawali się w nocy po biesiadzie w kantynie, zwracali się do Wieniawy słowami: „No, Bolek, do Broni!”.

Od 1915 r. był adiutantem komendanta 1 Brygady LP Józefa Piłsudskiego, od listopada 1918 r. adiutantem osobistym naczelnego wodza, wreszcie szefem gabinetu naczelnika państwa i naczelnego wodza.

Brał udział w wojnie polsko-ukraińskiej i polsko-sowieckiej. Piłsudski wspominał: „Wziąłem go do swego sztabu na adiutanta, jako znającego dobrze język niemiecki i francuski, polecił mi go jego bezpośredni dowódca, pułkownik Belina-Prażmowski, który go rekomendował, jako jednego z najlepszych pod względem charakterów oficerów. [...] Pracował zawsze i wszędzie wewnątrz wojska dowodzonego przeze mnie i na zewnątrz z zupełnym usunięciem przy pracy swoich osobistych interesów i ambicji, pracował dla przełożonego i jego rozkazów, nie pozwalając sobie nigdy na częste wśród oficerów adiutantów wysuwanie swojej osoby czy wpływów”.

Kolejne awanse: listopad 1918 r. – rotmistrz, styczeń 1920 r. – major, czerwiec 1920 r. – podpułkownik, grudzień 1924 r. – pułkownik, styczeń 1932 r. – generał brygady, maj 1938 r. – generał dywizji.



Gen. dyw. dr Bolesław
Wieniawa-Długoszowski
w mundurze gen. brygady

Fot. NAG

Po wypadkach majowych (jak mówił piłsudczycy o wydarzeniach z maja 1926 r.) został dowódcą 1 Pułku Szwoleżerów Józefa Piłsudskiego, następnie dowódcą 1 Brygady Kawalerii, 2 Dywizji Kawalerii, a następnie generałem inspekcjonującym kawalerię; był też komendantem garnizonu i placu miasta stołecznego Warszawy. Był dowódcą dbającym o wojsko, jego wyszkolenie, czas wolny. Żołnierze go uwielbiali.

Po słynnej rewii kawalerii polskiej na krakowskich Błoniach w 1933 r., zorganizowanej według planu Piłsudskiego zoka-

zycji 250. rocznicy wiktoria wiedeńskiej króla Jana III, Wieniawa wygłosił w Filharmonii Warszawskiej piękny odczyt pt. „Wzruszenia krakowskie”. Zwrócił uwagę, że ludzie nie powinni ich, żołnierzy, oceniać przez ich zabawy czy wybryki, bo gdy tylko wróg wejdzie w granice, oni natychmiast staną, by przelać krew w naszej obronie.

POETA

Wieniawa wpisywał do wcześniejszych kwestionariuszy osobowych zawód cywilny – literat. Mówiła mi jego córka Zu-

zanna, że „nie miał pretensji literackich”. Ale poetą był, pisał wiersze i piosenki, w czasie I wojny światowej potrafił nieźle rozbawić nimi żołnierzy, śpiewali jego sprośne teksty w okopach, typowo żołnierskie, nie dla damskich uszu.

Był też twórcą pięknych opowiadań, wspomnień, artykułów prasowych, pisał powieść, teksty satyryczne, rysował, malował obrazy; tłumaczył Baudelaire’a, Huxleya, Conrada, Duponta. Przyjaźnił się z największymi poetami polskimi i zagranicznymi. Życie dzielone z największymi artystami przedwojennej Warszawy przysporzyło mu nie tylko dużej popularności, ale i kłopotów. Plk Józef Beck uważał nawet, że tak przyjazne mu poetyckie środowisko Skamandra nie obroniło go przed złą sławą. Przychyłam się jednak do słów Bolesława Prusa: „Przed Tronem Najwyższego nie będą decydowały ilości wypitych butelek szampana, lecz cnoty i upadki duszy”.

Jego warszawscy przyjaciele to: Franc Fiszer, Jan Lechoń, Julian Tuwim, Kazimierz Wierzyński, Marian Hemar, Antoni Slonimski, Adolf Dymśza, Ryszard Ordyński i in. Oczywiście gdy bawił w Warszawie Artur Rubinstein – zaprzyjaźnił się i z nim, kontaktowali się później w Ameryce na początku lat 40. Znajdował czas na regularne spotkania z tą wesołą ferajną w słynnej Ziemiańskiej. Pomagał w produkcji polskich filmów fabularnych, przyjaźnił się z aktorami, tancerkami, ludźmi sztuki. Zaprzęgał całe to artystyczne towarzystwo – zwłaszcza literatów, filmowców, satyryków – do służby ojczyźnie – może nawet nie mieli tej świadomości, że pracowali na rzecz Piłsudskiego. Gdy autorzy którejś szopki noworocznej z lat 30. pominęli Wieniawę, obiegała Polskę fraszka: „Wielka sensacja dla Warszawy, pierwsza szopka bez Wieniawy!”.

DYPLOMATA

Piłsudski mówił o Wieniawie, że „ma węż dyplomatyczny”, że zlecał mu misje, których nie wykonałby ministrowie spraw zagranicznych wielu państw, że „nie poślizgnie się na salonach zagranicznych w chwili, gdy Polska się odradza i potrzebuje takich ludzi”. Wreszcie mówił żartobliwie: „Wy, Wieniawa,



Józef Piłsudski i por. Bolesław Wieniawa-Długoszowski w bramie hotelu Brühlowskiego, 1916 r.

Fot. NAC

macie twarz w wojsku rzadko używaną i z taką twarzą powinniście zostać kardynałem, aktorem lub dyplomatą”.

Jego miła aparycja, umiejętność szybkiego nawiązywania kontaktów z ludźmi czy inne cechy wskazane dla dyplomatów predestynowały go do tej służby. Znał siedem języków obcych, cechowało go wysokie poczucie honoru, głęboki patriotyzm, pracowitość, umiejętność zjednywania sobie ludzi itd. Jego pierwszą funkcją dyplomatyczną było stanowisko attaché wojskowego w Rumunii w latach 1922–1923. Za pracę na tym stanowisku otrzymał wysokie noty i pochwały m.in. od ówczesnego przełożonego, ministra gen. Władysława Sikorskiego: „Bardzo dobry jako attaché wojskowy. Pełni służbę wzorowo, posiadając specjalne w tym kierunku zdolności. Wybitny, nadaje się na każde samodzielne stanowisko w Sztabie Generalnym”.

Placówkę przy Kwirynale w Rzymie gen. Wieniawa objął w 1938 r., jego nominacja była decyzją szefa MSZ Józefa Becka przy zapewne poparciu (przyzwoleniu) prezydenta Mościckiego. Dość powiedzieć, że jako ambasador radził sobie doskonale, szef i personel dyplomatyczny go chwalili, wbrew temu, co

plotkowano, nie pił alkoholu – potwierdzał to mjr Romeyko.

Kwestia prezydentury – ambasador Wieniawa został wyznaczony we wrześniu 1939 r. przez Mościckiego następcą prezydenta RP i mianowany na ten urząd w trakcie internowania prezydenta w Rumunii. Nominację przyjął, ogłoszono ją w Monitorze Polskim, jednak urzędu nie objął, nie został zaprzysiężony i nie był, jak często się powtarza, „jednodniowym prezydentem”. Do jego rezygnacji doprowadził głównie bezprawny sprzeciw Francji, jej ingerencja w polskie sprawy, przeprowadzone intrygi także wśród niechętnych Wieniawie polskich polityków – nie tylko antysanacyjnych. Gdy Francuzi powiedzieli, że nie uznają jego i jego rządu, honorowo zrezygnował. Prezydentem został Władysław Raczkiewicz, a ambasador Wieniawa wrócił na placówkę do Rzymu, zaangażował się m.in. w pomoc setkom polskich żołnierzy ewakuujących się z kraju w ich dotarciu do wojska polskiego we Francji. Pomagał też Żydom w wyrabianiu dokumentów umożliwiających wyjazd z ogarniętej wojną Europy. Premier Władysław Sikorski nie odwołał go ze stanowiska.

Ambasadorem w Rzymie był do czerwca 1940 r., czyli do chwili przystąpienia Włoch do wojny po stronie Niemiec. Wówczas, zgodnie z instrukcjami od ministra spraw zagranicznych Augusta Zaleskiego, zlikwidował placówkę. Mimo zapewnień hr. Ciano, szefa włoskiego MSZ, zięcia Mussoliniego i przyjaciela Wieniawy, że może on zostać we Włoszech z żoną i córką, że krzywda im się nie stanie, po załatwieniu spraw państwowych zdecydował opuścić Wieczne Miasto. Należy pamiętać, że jego żona była Żydówką i groziło jej śmiertelne niebezpieczeństwo. Udali się do Ameryki. 16 lipca 1940 r. dotarli do Nowego Jorku.

AMERYKA

W Ameryce był redaktorem naczelnym „Dziennika Polskiego” w Detroit, wygłaszał odczyty, pracował też jako introliigator. Angażował się politycznie, myślał o utworzeniu legionu polonijnego do walki w Europie. Współtworzył Komitet Narodowy Amerykanów Polskiego Pochodzenia – założony w Nowym Jorku w czerwcu 1942 r.; z KNAPP powstał Kongres Polonii Amerykańskiej, a wcześniej Instytut Józefa Piłsudskiego w Ameryce (1943). Pomysłodawcami KNAPP byli: płk Ignacy Matuszewski, mjr Henryk Floyar-Rajchman, ppłk Wacław Jędrzejewicz, gen. Wieniawa-Długoszowski, potem dołączył do nich przebywający od 1940 r. w USA płk Adam Koc. To środowisko byłych piłsudczyków krytycznie odnosiło się do działań londyńskiego rządu gen. Sikorskiego. Jednak Wieniawa uważał, że podczas wojny nie czas na stare waśnie, że należy zjednoczyć się wokół legalnego rządu w walce z okupantami.

Wiosną 1942 r., podczas drugiej podróży do Ameryki, gen. Sikorski zaprosił Wieniawę do ambasady w Waszyngtonie. Panowie generałowie po prawie dwugodzinnej rozmowie w ambasadzie wyszli z niej zadowoleni i pojednani. W USA spotykali się częściej, Sikorski mógł sprawdzać kondycję Wieniawy, stan zdrowia, ducha, lojalność itp. Wieniawa zabiegał głównie o powrót do wojska, do służby ojczyźnie, chciał walczyć nawet jako prosty żołnierz, jak pisał, ale opór jego przeciwników w rządzie londyńskim długo uniemożliwiał jakiegokolwiek przydział. Dlatego

możliwość pracy i stanowisko dyplomatyczne otrzymał dopiero w kwietniu 1942 r. Była to nominacja na posła nadzwyczajnego i ministra pełnomocnego na Kubie, Haiti i w Dominikanie, z siedzibą w Hawanie, z tytułem „ad personam” ambasadora. Niektórzy uważali, że była to jego degradacja, ale jak napisał po wojnie „sprawca” i świadek spotkania generałów mjr Stefan Dobrowolski, zastępca attaché wojskowego w Waszyngtonie, była to nominacja tymczasowa. Na gen. Wieniawę miała w przyszłości czekać posada ambasadora RP w Hiszpanii.

Jak wiadomo, nowej placówki nie objął, gdyż dzień przed wyjazdem na Kubę, czyli 1 lipca 1942 r. rano, zginął tragicznie. Wypadł z czwartego piętra domu w Nowym Jorku przy Riverside Drive 3 na Manhattanie, nad rzeką Hudson. Mieszkał tu z żoną i córką, zajmowali dwa górne piętra w starej willi Guggenheima.

ŚMIERĆ

Żona i córka przychyliły się do wersji samobójczej. Taką teorię od razu podał i lansował Sylwin Strakacz, wcześniej sekretarz Paderewskiego, w tym czasie konsul generalny RP w Nowym Jorku, wielki antagonistą Wieniawy. Polonia zaczęła podejrzewać udział w tej śmierci osób trzecich, tym bardziej że zginął w pidżamie, że taka cywilna śmierć nie pasowała do niego. Poprzedniego wieczoru byli u Wieniawy koledzy piłsudczycy. Panowie długo dyskutowali, klócili się – mieli mieć mu za złe, że przyjmuje stanowisko od Sikorskiego, który dogadał się z sowietami, od ich politycznego przeciwnika. Może i tak było, ale nie sądzę, by panowie ci mieli „pomóc” gen. Wieniawie pożegnać się ze światem.

Jest jednak kilka niejasności. Otóż gospodyni domu powiedziała w dniu wypadku dziennikarzowi amerykańskiemu, że mijają się na schodach z panem ambasadorem, który był w doskonałym nastroju, odkręcił wodę w wannie na kąpiel, siedł w pidżamie na taras piętro wyżej pooddychać świeżym powietrzem. Odebrał jeszcze telefon i rozmawiał z kimś. Po kilku minutach dowiedziała się, że nie żyje. W kieszeni pidżamy znaleziono niepodpisaną notkę samobójczą, pisaną na jego maszynie...

W policyjnym opisie wypadku pojawił się naoczny świadek, ale w rubrykach

„Nazwisko(ka) świadka(ów)” brak wpisanych danych i adresu, zatem nie wiemy, kto był tym świadkiem i czy w ogóle był. Inny dokument, „Report of Death”, jest pełen skreśleń, niejasności, jakby piszący raport sam nie wiedział, co ma napisać. Pojawiła się relacja przypadkowego taksówkarza, który miał zeznać, iż mężczyzna ukląkł na balustradzie balkonu, przeżegnał się, przechylił i spadł na dół. Inny świadek, anonimowy chłopiec, wspomniany w prasie twierdził, że ofiara wypadła tyłem z tarasu. Karetka pogotowia zabrała generała do Szpitala Roosevelta. Według jednych zginął na miejscu, według innych zmarł w szpitalu, podano godzinę śmierci – 10.15. Ksiądz z parafii polskiej z Siódmej Ulicy udzielił mu w szpitalu sakramentu namaszczenia chorych.

Po śmierci Wieniawy gen. Douglas MacArthur, jeden z największych amerykańskich dowódców wojskowych, kawalerzysta, wówczas dowodzący na Pacyfiku, wysłał do amerykańskich mediów depeszę kondolencyjną, którą odczytywano w serwisach informacyjnych. Napisał m.in.: „Był moim przyjacielem i jestem pogrążony w głębokim żalu po nim. Nieśmiertelna dusza wyzwołała się z doczesnego ciała, by stanąć już na zawsze przy swoim wodzu Piłsudskim”.

Pogrzeb odbył się 3 lipca w kościele św. Stanisława BM przy Siódmej Ulicy z honorami wojskowymi i amerykańską kompanią honorową. Nad grobem na cmentarzu katolickim Calvary II w Queens zebrani odśpiewali marsza I Brygady.

NAGRODY, ODZNACZENIA, UPAMIĘTNIENIA

Wieniawa został odznaczony najwyższymi orderami polskimi i obcymi. Z polskich: Orderem Wojennym Virtuti Militari piątej klasy, czterokrotnie Krzyżem Walecznych, Krzyżem Niepodległości z Mieczami, Orderem Odrodzenia Polski, odznaką I Brygady „Za wierną służbę”, POW i dziesiątkami innych. Z obcych: Orderem Narodowym Francuskiej Legii Honorowej, Orderem Rycerskim Korony Włoch, Orderem Gwiazdy Rumunii z Mieczami trzeciej klasy, lotewskim Orderem Trzech Gwiazd, austriackim Złotym Krzyżem Zasługi z Gwiazdą, jugosłowiańskim

Orderem Białego Orła, tureckim Wielkim Złotym Odznaczeniem Zasługi i in.

Został upamiętniony kilkunastoma książkami biograficznymi, z których pierwsza ukazała się w Polsce w 1969 r.: Marian Romeyko „Wspomnienia o Wieniawie i rzymskich czasach”. Kolejne wychodziły w latach 90. i po 2000 r., w tym dwie prof. Jacka Majchrowskiego, inne: Romana Lotha, Tadeusza Wittlina, Mariusza Urbanka, Elżbiety Grabskiej, Mariusza Wołosa, autora tego eseju i in. Zrealizowano słuchowiska radiowe, kilka filmów dokumentalnych telewizyjnych. Dowiersza „Moja para” melodię marszową napisał Emil Młynarski. W książce „Wiersze i piosenki” (Łódź 2002, z posłowiem Marka Pytasza) zamieściłem sześć obrazów i rysunków autorstwa gen. Wieniawy.

Najsłynniejsi polscy poeci poświęcili mu nawet po kilka utworów: Tuwim, Lechoń, Wierzyński, Hemar, Kowalski i in. Ładnie nakazał odebrać złą legendę Wieniawy jako bawidamka i fanfaroną Antoni Słonimski. W swoim „Alfabcie wspomnień” (Warszawa 1988) napisał, że Wieniawa był szlachetnym człowiekiem, „to, że lubił wypić – nie czyniło go pijakiem”.

W Łazienkach Królewskich jest popiersie generała. Popiersia Piłsudskiego i Wieniawy na jednej podstawie odsłonięto w 2016 r. w rodzinnej Bobowej, przed dworem Długoszkowskich. W kilku miastach są ulice jego imienia.

W Warszawie imię generała nadano po 1990 r. Pułkowi Ochrony przy ul. Żwirki i Wigury 9/11. W dniu urodzin patrona są tam organizowane doroczne święta pułkowe.

* * *

Oponentom gen. Wieniawy zwracam uwagę, że skoro marszałek Piłsudski, ten, który „dał Polsce: wolność, granice, moc i szacunek” (I. Mościcki, 1935), który doskonale znał się na ludziach, trzymał go przy sobie do końca życia, szanował i awansował – to znaczy, że Wieniawa był godzien Cezara. Marszałek napisał: „Kochany Wieniawo! Szaleńcze, co uzdę starsz się nakładać sam sobie, nie dla starej przyjaźni, lecz dla honoru służby z mną, Kolego, ofiarowuję Wam tę książkę. [...] Kilku tylko ufałem bezgranicznie, że oni mnie ani moich tajemnic nie sprzedadzą wolnie czy bezwiednie, ani przyczynią się do osłabienia woli czy nerwów”.



GRZEGORZ MAJCHRZAK

Ktoś nam przez mur krzyknął / Dziś na spacerniakach / Gliny postrzeliły / Jasia Naroźniaka [...] Parę dni minęło / Wie już Polska cała / Że Jasio Naroźniak / Zrobił glinę w wału / Mieli ze szpitala / Wziąć go do więzienia / Ale mu pomogli / Chłopaki z podziemia / Pewnie ze szpitala / Uciekł w jednym bucie” – śpiewał solidarnościowy bard Jan Krzysztof Kelus w piosence „Polski Broadside”, nawiązując do brawurowego uwolnienia Jana Naroźniaka z początku czerwca 1982 r. przez grupę działaczy podziemnego Międzyzakładowego Robotniczego Komitetu „Solidarności”. Jak do tego doszło? Dlaczego uwolniono akurat Naroźniaka?

W OPOZYCJI

Naroźniak w latach 70. zaangażował się w działalność opozycji, m.in. współpracował z Komitetem Obrony Robotników i Niezależną Oficyną Wydawniczą NOWa. Nie był jednak osobą znaną. Zmieniło się to jesienią 1980 r. Wówczas zrobiło się o nim – jak się później okazało po raz pierwszy, ale nie ostatni – głośno. Otóż 21 listopada został on – wraz z Piotrem Sapellą (pracownikiem drukarni Prokuratury Generalnej PRL) – aresztowany. Był wówczas działaczem mazowieckiej Solidarności oraz miał powielić i rozpowszechnić niejawną dokument – tajną instrukcję prokuratora generalnego PRL Lucjana Czubińskiego „Uwagi o dotychczasowych zasadach ścigania uczestników nielegalnej działalności antysocjalistycznej”. Zawierała ona wytyczne dla prokuratorów co do możliwych do zastosowania przez nich sposobów zwalczania opozycji politycznej. Aresztowanie Naroźniaka i Sapelly wywołało kolejny ostry konflikt na linii władze PRL – Solidarność, początkowo jedynie o charakterze lokalnym (władze regionu Mazowsze



Jak zagrali na nosie SB

Ucieczka, a dokładniej uwolnienie ze szpitala rannego działacza mazowieckiej Solidarności Jana Naroźniaka 7 czerwca 1982 r. należało do najbardziej spektakularnych akcji podziemia w stanie wojennym. Cała akcja powiodła się, mimo że Służba Bezpieczeństwa wiedziała o takich planach i starała się je udaremnić



zagroziły strajkiem), który szybko jednak przekształcił się w ogólnokrajowy, kiedy poparcia dla tej akcji udzieliła Krajowa Komisja Porozumiewawcza NSZZ „Solidarność”.

Władze PRL początkowo nie były skłonne do ustępstw i rozważały różne warianty ze stanem wojennym włącznie. Ostatecznie jednak Naroźniaka i Sapellę – dzięki mediacjom prowadzonym przez prezesa Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich Stefana Bratkowskiego i za jego osobistym poręczeniem – zwolniono w nocy z 26 na 27 listopada 1980 r. Było to jednak duże upokorzenie dla władz, szczególnie dla Służby Bezpieczeństwa.

PRZYPADKOWA WPADKA

Nic zatem dziwnego, że w związku z wprowadzeniem w nocy z 12 na 13 grudnia 1981 r. stanu wojennego Naroźniak znalazł się wśród działaczy Solidarności wskazanych do internowania. Udało mu się tego uniknąć, ale musiał się ukrywać.

Przez ponad pięć miesięcy dopisywało mu szczęście, jednak 26 maja 1982 r. został przypadkowo – po części zresztą z własnej winy – zatrzymany i wylegitymowany przez patrol Zmotoryzowanych Odwodów Milicji Obywatelskiej w parku Żeromskiego niedaleko dzisiejszego pl. Wilsona (wówczas Komuny Paryskiej) na warszawskim Żoliborzu. Na swoje nieszczęście w dowodzie osobistym miał nieważny stempel o zatrudnieniu, co czyniło z niego osobę podejrzaną o pasożytnictwo – w okresie stanu obowiązywał wymóg prawny pracy wobec wszystkich osób zdolnych do niej. Przez chwilę była szansa, że wyjdzie cało z opresji, gdyż funkcjonariusze ZOMO byli skłonni go wypuścić za „drobną opłatą”. Pechowo jednak miał przy sobie jedynie 1,2 tys. zł, podczas gdy ci żądali 5 tys. W tej sytuacji zomowcy uznali, że bardziej oplaca im się resortowa nagroda za jego zatrzymanie, czyli urlop. Zdesperowany Jan Naroźniak w czasie doprowadzenia do milicyjnego samochodu podjął próbę ucieczki. Miał jednak po raz kolejny pecha – funkcjonariusze nie ograniczyli się jak w wielu innych przypadkach – do groźby użycia broni, ale zaczęli strzelać. I to w dodatku celnie. Ranny (w biodro i rękę) Naroźniak został przewieziony do Centralnego Szpitala Klinicznego Akademii Medycznej przy ul. Banacha w Warszawie. Okazało się to konieczne, gdyż kula urwała mu mały palec, a ponadto miał przebitą tętnicę okalającą biodro i stracił ponad litr krwi. W tej sytuacji konieczna okazała się operacja i transfuzja.

Po operacji Jan Naroźniak znalazł się pod czujnym nadzorem funkcjonariuszy, był jednym z najlepiej pilnowanych, jeśli wręcz nie najlepiej pilnowanym pacjentem w kraju. Tym bardziej że Służba Bezpieczeństwa wiedziała, i to całkiem sporo, co najmniej od 2 czerwca 1982 r. o planach jego odbicia ze strony solidarnościowego podziemia, ale nie MRKS. Jak bowiem tego dnia alarmowano: „Organizatorzy planują obezwładnienie gazem paraliżującym dwóch funkcjonariuszy i przewiezienie Naroźniaka do prywatnego mieszkania [...]”. Do akcji przygotowane są trzy samochody”. W związku z tym SB zamierzała przewieźć go do szpitala więziennego przy ul. Rakowieckiej. Na szczęście nie zre-

alizowano tego zamiaru, gdyż czekano na orzeczenie lekarskie, że stan zdrowia rannego pozwala na transport – w oczekiwaniu na to wzmocniono jednak obstawę. Wydawać by się mogło, że w tej sytuacji nie ma żadnych szans na jego uwolnienie i wywiezienie ze szpitala. A jednak się udało.

PLAN, REKONESANS, AKCJA

7 czerwca 1982 r. uwolniła go grupa specjalna Międzyzakładowego Robotniczego Komitetu „Solidarności”, w której skład wchodził Jerzy Bogumił (kierujący akcją), Adam Borowski, Kazimierz Hintz i Mirosław Radzikowski. Ich akcja nie byłaby możliwa bez współpracy z lekarzem Jerzym Siwcem, który był przewodniczącym Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarności” w ochockim szpitalu i pomysłodawcą całej akcji – ze swoim planem zgłosił się do Zbigniewa Romaszewskiego.

Jak relacjonował potem Borowski: „Spotkaliśmy się z Romaszewskim i z Siwcem – ja i Jurek Bogumił. Siwiec opowiedział, jak wygląda szpital, gdzie jest sala operacyjna i że on będzie w sali. To wszystko, co się stało w dniu akcji, było wymyślone przez Siwcę, który był tam lekarzem. On wiedział, co należy zrobić. Z tym że my z Jurkiem przeciwczyliśmy to na sucho, że tak powiem, parę dni wcześniej. Ja tam nawet dwa razy wchodziłem. Takie to były czasy, że można było. Jurek wszedł tylko raz, a ja wchodziłem dwa razy. Chciałem zobaczyć, jak się wchodzi”. To było ważne, gdyż jak wspominał Bogumił: „Szpital to duży obiekt ze swoją specyfiką. Trzeba wiedzieć, gdzie się wchodzi, jak się wchodzi, jak się jest ubranym, gdzie, co, którędy przejść, wejść, jak się zachować”.

Siwiec nie tylko umożliwił działaczom MRKS przeprowadzenie rekonnesansu w szpitalu, ale też zadzwonił z wezwaniem dla Naroźniaka na rzekomy zabieg – ten ograniczył się do zmiany bandażu, którą wykonał doktor Andrzej Sankowski. Następnie „pielęgniarki” (Bogumił i Borowski) wywieźli Jana Naroźniaka z bloku operacyjnego – jedyne miejsce, gdzie pilnujący go funkcjonariusze nie mieli wstępu – tylnymi, niepilnowanymi drzwiami

do windy. W teorii wyglądało to prosto, ale w praktyce wcale takie nie było. Tym bardziej że odbywało się praktycznie na oczach funkcjonariuszy MSW.

Jak relacjonował po latach Borowski: „W każdym razie milicjantów było 19. W mundurach. A ten jeden był ubekiem bez munduru. Kiedy już wiedzieliśmy, że Janek zjechał na operację, to wiedzieliśmy, że mamy jakieś dwie godziny. To było tak umówione, że to mniej więcej tyle będzie trwać. Poszliśmy do barku, wzięliśmy chyba po herbacie. Nie jedliśmy tego dnia, żeby mieć puste żołądki. Teraz po latach można się z tego śmiać, ale faktem jest, że na ulicy strzelali do Janka, a my naczytaliśmy się tych akowskich książek... Jak do niego strzelali, to i do nas mogą strzelać. W związku z tym trzeba być przygotowanym i nic nie jeść. Więc nic nie jedliśmy. Wzięliśmy herbatę. Wchodzi ten ubek, który rozstawił tam tych milicjantów. Pączka sobie wziął, jeszcze tam coś. Uznaliśmy, że nie będziemy tutaj siedzieć, żeby nasze ryje mu się nie rzuciły w oczy. Poszliśmy sobie, połaziliśmy, już na zewnątrz”. W końcu, po dłuższym oczekiwaniu, Jerzy Bogumił i Adam Borowski weszli na blok operacyjny. Jak opisywał ten pierwszy: „Żeby tam wejść, trzeba było iść przez służę. Ale tam stał wartownik. Adam szedł za mną i coś tam gadał pod nosem, marudził czy mamrzał. Coś było w tym sensie. Nie szedł obok mnie, szedł za mną cały czas. Był mokry i spocony. Dochodzimy do tego wejścia, a wartownik: »Gdzie? Dokąd?«. A ja wskazałem ręką: »Tu«, i poszedłem. On zgłupiał, bo nie wiedział, jak zareagować. Jemu kazali pilnować tych szerokich drzwi, wejścia”. Na sygnał doktora Jerzego Siwca zabrali Naroźniaka. Jak dalej relacjonował Bogumił: „Poszedłem po Adama i przyjechaliśmy, wzięliśmy go. Adam się nachylił, coś mu tam gadał. Mówię mu: »Przecież on i tak nie rozumie, bo dostał głupiego Jasia. Człowieku, przecież on i tak nie słyszy, i tak nie wie, nie rozumie«. Wzięliśmy go, pojechaliśmy do takiej małej salki przygotowanej, gdzie go mieliśmy przerzucić z łóżka na wózek. Podjechaliśmy tam, wjechaliśmy do tej salki i podjechałem

wózkiem. Naraz drzwi się otwierają do tej salki i stoi ktoś ubrany na białą, nie na zielono, tylko na białą, i się patrzy. Odwróciłem się, powiedziałem: »Przepraszam«. Zamknąłem mu drzwi przed nosem i cześć. Nastąpiła cisza. Przerzuciliśmy Naroźniaka na wózek. Jedziemy w stronę windy. Nagle Janek odwrócił głowę na glinę. Powiedziałem: »Odwróć się, odwróć się«. To jednak nie docierało. Ale przejechaliśmy. Głina był plecami, nie patrzył, co się dzieje”.

Jana Naroźniaka
uwolniła grupa specjalna
Międzyzakładowego
Robotniczego Komitetu
„Solidarności”, w której skład
wchodzili: Jerzy Bogumił,
Adam Borowski, Kazimierz
Hintz i Mirosław Radzikowski.
Ich akcja nie byłaby możliwa
bez współpracy z lekarzem
Jerzym Siwcem

Jak się okazuje było jednak inaczej – funkcjonariusz rozpoznał wywożonego pacjenta. Na szczęście – jak ustalono w trakcie późniejszego śledztwa – ani on, ani jego koledzy „nie mieli żadnych instrukcji co do postępowania w przypadku przewożenia go [Jana Naroźniaka – GM] do innych pomieszczeń szpitalnych”. Na szczęście funkcjonariusz nie zorientował się, że rannego wiezie nie personel szpitala, ale „przebie-rańcy”. Tymczasem Bogumił i Borowski przełożyli Naroźniaka w windzie na wózek do wywożenia zwłok i nakryli prześcieradłem. Sami zaś zmienili fartuchy, by nieodpowiedni kolor ich nie zdekonspirował. Tak przewieźli rannego kolegę do sekcji. Następnie przenieśli go do czekającego już samochodu – nyski z napisem „Pogotowie sygnalizacyjne”,

którą kierował Radzikowski. I „ eskortowani” przez jadącego za nimi drugim samochodem Hintza, odjechali ze szpitala do mieszkania Małgorzaty Jastrzębskiej na Bielanych (przy ul. Staffa), gdzie przygotowano kryjówkę (oczywiście wraz z opieką medyczną) dla uwolnionego kolegi.

I tu pojawił się kolejny nieprzewidywany kłopot. Jak wspominał Borowski: „Dom był wolno stojący. Problem polegał na tym, że ten dom wolno stojący nie miał wjazdu dla samochodu. Musieliśmy przenieść Janka obleczonego w koc. Była piękna pogoda i na balkonach stali ludzie. Bardzo się bałem, że oni zwyczajnie doniosą, że tu człowieka się wynosi. A mój kolega mi mówił: »Adam, teraz meble się śmieciarkami przewozi. Naprawdę, nikt nie zwróci uwagi. Ty z pogotowia sygnalizacyjnego wyciągnąłeś człowieka pod pachą i też nikt nie zwrócił uwagi«. I to okazało się prawdą. On w tym mieszkaniu był jeszcze ze trzy miesiące. Mimo że tych ludzi na balkonach stało strasznie dużo, nikt nie donosił”.

Nic nie dało też przeprowadzone przez Służbę Bezpieczeństwa, po odkryciu zniknięcia Jana Naroźniaka, przeszukanie szpitala. Podobnie jak zatrzymania i aresztowania personelu ochockiej placówki – większość lekarzy i pielęgniarek zwolniono po 24 godzinach, najdłużej trzymano Siwcę i Sankowskiego – tego ostatniego przez trzy miesiące. W związku z ucieczką Naroźniaka SB prowadziła (w ramach sprawy o kryptonimie „Doktorant”) czynności operacyjno-poszukiwawcze, w trakcie których ustalono m.in. zaangażowanie w całą akcję doktora Jerzego Siwca oraz nieumyślną winę doktora Andrzeja Sankowskiego. Z kolei komendant stołeczny MO powołał w Komendzie Stołecznej Milicji Obywatelskiej międzywydziałową grupę operacyjno-poszukiwawczą, by ująć Jana Naroźniaka. Tymczasem ten, wciąż się ukrywając, wracał do zdrowia. Nie dał się już ponownie złapać i ujawnił się – korzystając z ogłoszonej w 1983 r. amnestii – 30 września tego roku. ■

*Autor jest pracownikiem
Biura Badań Historycznych IPN*



Siła rodziny

Lubiczowie wkroczyli do polskich domów ćwierć wieku temu.

Na życzenie widzów. Przez kolejne lata „Klan” przyjął wielu bohaterów i aktorów.

Ale niektórzy są w nim od początku



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

W czerwcu 1997 r. widzowie telewizyjnej Jedynki obejrzeli pilotażowe odcinki trzech telenowel. Nosily tytuły: „Klan”, „Zaklęta” i „Złotopolscy”. Najbardziej przypadła im do gustu historia wielopokoleniowej rodziny Lubiczów, której seniorami byli małżonkowie: Maria i Władysław Lubiczowie.

POD MODRZEWIEM

Maria (grana przez Halinę Dobrowolską) prowadziła rodzinną aptekę Pod Modrzewiem. Władysław (wcielał się w niego Zygmunt Kęstowicz) był kuratorem. Przez pół wieku dochowali się piątki dzieci: Elżbiety, Pawła, Moniki, Grażyny i Doroty, a następnie gromadki wnucząt i kilkorga prawnuków.

Losy rodziny Lubiczów – już regularnie, pięć razy w tygodniu – rozwijały się na małych ekranach od 22 września 1997 r. Emisja „Złotopolskich” – którzy również się spodobałi, ale dostali mniej głosów – rozpoczęła się w grudniu 1997 r. i zakończyła po 13 latach. Tymczasem „Klan” trwał.

W połowie maja TVP 1 pokazała jubileuszowy 4000. odcinek serialu, który stał się najdłuższą emitowaną polską telenowelą.

OD POCZĄTKU

Z pierwszej obsady do dziś grają w serialu: Barbara Bursztynowicz, Andrzej Grabarczyk, Małgorzata Ostrowska-Królikowska, Tomasz Stockinger, Izabela Trojanowska oraz Paulina Holtz i Kaja Paschalska, których bohaterki na planie dorastały.

Co podkreśla niejedną z aktorów, gdy realizowano pierwsze zdjęcia, udział w telenowelu był wielką niewiadomą. – Zaryzykowałam i nie żałuję, bo ta praca daje mi wiele radości, a „Klan” zrewolucjonizował moje życie – mó-



wiła, w czasie jubileuszu 20-lecia, Barbara Bursztynowicz.

Ostatnio, w wywiadzie dla „Vivy!”, zdradziła, że zdarzało się jej myśleć o rozstaniu z produkcją. Rola Elżbiety Chojnickiej odcisnęła na jej zawodowym życiu takie piętno, że reżyserzy czy producenci od lat postrzegają ją jedynie przez pryzmat postaci z „Klanu”. Tak też odbierają ją widzowie.

– Wiem, że widzom jest przykro, kiedy mówię, że chciałabym zrezygnować. Biorę ich zdanie pod uwagę, bo wiem, że publiczność lubi mnie za rolę Elżbiety. Żyją z nią od wielu lat. Siła oddziaływania takiego serialu jest niewyobrażalna – podkreśla. – Często słyszę od ludzi na ulicy i podczas spotkań: „nasza Elunia”. Dla pań jestem dobrą koleżanką, córką albo nawet matką. Lubią mnie też dzieci. Podoba im się, jaką Elżbieta jest babcią, jak rozwiązuje rodzinne problemy.

PUBLICZNOŚĆ NAS LUBI

Tomasz Stockinger, w jednym z najnowszych wywiadów, stwierdził, że „Klan” to w pewnym sensie dzieło jego życia. Mówił: – Oczywiście kiedyś się skończy, choć nie wiem, czy za rok, dwa, czy pięć, wtedy usiądę, pomyślę i pójdę dalej.

Aktor ceni też sobie niedawne zmiany w produkcji, czyli przenosiny do nowej hali zdjęciowej. Obiekt, w którym przez 24 lata kręcono zdjęcia, został rozebrany, teraz na nowo zbudowano scenografię. – Dzięki tej zmianie czuję się nieco odmłodzony – podkreśla aktor. – A jeśli chodzi o serial, to widzowie doceniają szlachetność i pozytywną energię, która z niego bije – dodaje.

Małgorzata Ostrowska-Królikowska, czyli serialowa Grażynka, żartuje, że

proponując zagranie w telenowelu przyszła do niej w momencie, gdy zastanawiała się z mężem nad zmianą zawodu.

Grająca Agnieszka Paulina Holtz wspomniła w wywiadzie dla jednego z portali, że w początkach swojej współpracy z telenowelą była... przerażona. Podpisała wtedy umowę na... dwa lata, a jako 19-latką nie mogła sobie wyobrazić, że można coś robić tak długo. Tymczasem pozostała w „Klanie” ćwierć wieku.

Izabela Trojanowska (w „Klanie” Monika Ross-Nawrot) na początku, przyjeżdżała na zdjęcia kilka razy w miesiącu z Niemiec (mieszkała wtedy w Berlinie). Można powiedzieć, że właśnie dzięki telenowelu wróciła na stałe do Polski. Przy okazji 20-lecia tak komentowała popularność produkcji: – „Klan” trwa, to znaczy, że publiczność nas lubi.

JAK W RODZINIE

Na planie wychowywały się i dorastały dzieci. Wśród nich Julia Królikowska. Przed kamery trafiła najpierw w brzuchu mamy, Małgorzaty Ostrowskiej-Królikowskiej, a potem jako kilkumiesięczne niemowlę. Do dziś gra Kasię Lubicz. W obsadzie spotkały się też córka, Paulina Holtz, i mama, Joanna Żółkowska, serialowa pani Surmacz.

Kaja Paschalska (Ola) – w „Klanie” od pierwszych dni zdjęciowych – swoją telenowelową drogę zaczęła jako 11-latką. – Pamiętam, że była to dla mnie ogromna przygoda i duża radość, ale też nowe możliwości, perspektywy, rozwój, poszerzenie horyzontów. Niemal same superlatywy, chociaż czasem nie było łatwo pogodzić szkołę z pracą. Bo przecież była to praca. Ogólnie rzecz biorąc, bardzo się jednak cieszę, że tak potoczyło się moje życie. 

KLIKASZ I CZYTASZ!



Nowość dla czytelników tygodnika „Sieci”

Dla wygody naszych czytelników wprowadziliśmy nową funkcjonalność. Już teraz każde wydanie tygodnika „Sieci” można czytać nie tylko w wersji papierowej czy PDF, ale także bezpośrednio na stronie wPolityce.pl w formie wydania on-line. To rozwiązanie szczególnie przydatne dla osób, które mają trudności w zakupie tygodnika w kioskach oraz tych, które chciałyby czytać nas wygodnie na smartfonie. Dodatkowym atutem tej formy korzystania z tygodnika jest możliwość lektury już w niedzielę wieczorem

WYGODNE ROZWIĄZANIE

Nasza nowa propozycja jest szczególnie przydatna dla czytelników korzystających na co dzień z urządzeń mobilnych. Wygodny format HTML pozwala komfortowo korzystać z publikowanych treści na smartfonie, tablecie czy komputerze w dowolnym momencie i miejscu.

ŁATWY DOSTĘP

Żeby korzystać z nowej formuły tygodnika „Sieci”, wystarczy wejść na stronę www.wpolityce.pl i kliknąć w ikonę „Tygodnik Sieci” znajdującą się na czerwonym pasku w górnej części ekranu. Na stronie wyświetli się kilkadziesiąt artykułów z bieżącego wydania tygodnika,

które – po opłaceniu subskrypcji – będą dla czytelników dostępne w całości. Subskrypcję na wybrany okres można opłacić, klikając w aktualną ofertę znajdującą się na górze strony lub pod każdym z fragmentów artykułów. Po dokonaniu zakupu czytelnicy mogą korzystać już z pełnych zasobów tygodnika „Sieci” on-line.

DODATKOWE KORZYŚCI

Wybierając e-prenumeratę tygodnika „Sieci”, poza możliwością korzystania z treści on-line czytelnicy mają dostęp do pełnej wersji tygodnika w formacie PDF oraz do magazynu „wSieci Historii”, specjalnych wydań „Sieci Extra” oraz archiwalnych wydań tytułów od

2017 r. Dodatkowo w ramach subskrypcji uzyskują dostęp do zamkniętych artykułów PREMIUM+ na portalu wPolityce.pl.

ATRAKCYJNA CENA

Niebagatelne znaczenie ma także cena proponowanego rozwiązania. E-prenumerata tygodnika „Sieci” to duża oszczędność – teraz aż 50 proc. – oraz specjalne oferty z prezentami dla czytelników. Subskrypcja próbna na pierwszy miesiąc to wydatek zaledwie 2,90 zł (następne miesiące w cenie 11,90 zł). W przypadku opcji rocznej to koszt tylko 119,90 zł (zamiast 239,90 zł) – teraz z prezentem w postaci trzech audiobooków. 

CZYTAJ TYGODNIK „SIECI” NA

wPolityce.pl

Tu chodzi o miłość

W ubiegły poniedziałek spotkałem się z dziećmi z dobrego wielkomińskiego liceum. Zaproszono mnie, ponieważ niektórzy uczniowie zaczęli fascynować się subkulturą powstałą w Europie wokół japońskich kreskówek. Jej uczestnicy zakładają zamknięte fora, na których rozmawiają m.in. o samookaleczeniu się i samobójstwach. Zaproszono mnie, ponieważ tematyką moich wielu tekstów są pułapki zastawione na konsumentów współczesnej popkultury: sekty, okultyzm rozcieńczony w popkulturze, satanistyczny neoszamanizm propagowany przez grupy muzyczne czy terapeutyczne, propaganda ukrytych, zamaskowanych toksycznych duchowości i irracjonalnych ideologii finansowana przez organizacje międzynarodowe czy fundacje szermujące słowami „wolność”, „pokój”, „miłość”, „tolerancja” czy – po marksistowsku rozumiane – „prawa człowieka”.

Jestem dość sprawnym prelegentem, udawało mi się skupić na sobie przez dwie godziny uwagę tysiąca czy dwóch tysięcy ludzi. Nie jeździłem jednak na spotkania z młodzieżą już ponad sześć lat. I zderzyłem się z murem. Spotkani licealiści to inna infosfera. Pole wspólne pojęć i symboli minimalne. Ograniczyłem się więc do konkretnego, do świadectw skrzywdzonych ludzi. Przy okazji doszedłem do radykalnych wniosków: dziś trzeba mówić już tylko językiem Ewangelii. Dobro, zło. Szczęście, cierpienie. Świadectwa ludzi oszukanych, zwiedzionych, zmanipulowanych, którzy odkrywając intelektualne korzenie oszustwa, idąc za miłością, ponownie lub pierwszy raz zwrócili się ku Bogu, jedynemu dawcy prawdziwej nadziei.

Jedna z dziewczyn zapytała mnie w pewnym momencie, po co do nich przyjechałem. Odpowiedziałem, że długo błądziłem w świecie bez Boga, robiłem sobie krzywdę, idąc za ułudą i kłamstwem, i że jeśli choć jedno z nich

uniknie cierpienia, które było moim udziałem, to mi wystarczy.

Ludzie nie chcą być nieszczęśliwi, ale błędzą, wpadają w pułapki, bo bez podstawowych kategorii opisujących rzeczywistość – grzech, cnota, świętość – człowiek jest bezradny. Słupy i głuchy.

W Boże Ciało towarzyszyłem egzorcystom. Modliliśmy się nad satanistką. Szatan zmanifestował się przez trzy sekundy. Ta kobieta kiedyś powiedziała demonowi: „Chcę! Pragnę! TAK!”. Dziś zwróciła się ku Bogu tylko częściowo. Mięwa wymuszony kontakt z członkami sekty. Znaczą jej ciało symbolem odwróconego krzyża i potem nie słyszy w czasie modlitwy najważniejszych pytań zadawanych przez egzorcystę.

Symbole. Skąd siła symboli? Kto dzisiaj rozumie?

30-letnia na oko dziewczyna naucza na YouTube: „Te dziewięć rzeczy. Poznaj prawdy o sobie. Usłysz prawa, którymi rządzi się wszechświat”. Miliony odsłon: „Poznaj trzy techniki szamanów i uzdrowicieli, które możesz trenować i wykorzystać na co dzień”, „Zmień bieg zdarzeń. Cztery kroki techniki Hawkinsa. Przekrocz swój umysł i uwolnij się od schematów”.

W opisie jednego z filmów czytamy: „Cześć i Ubuntu, tu Klaudia. Zapraszam cię do spotkania, podczas którego opowiem, jak odmienić bieg zdarzeń w swoim życiu, jak przekraczać ograniczenia umysłu i jak uwolnić się od schematów poprzez technikę uwolnienia Davida Hawkinsa. Na koniec będzie praktyka i mała medytacja, spotkanie trwa ok. 55 minut”. Ubuntu to subsaharyjska duchowość plemienia Xhosa. Jedna z fanek: „Cudowna dziewczyno, znalazłam cię dwa lata temu, pomogłaś mi uratować siebie, dziękuję”.

Skończył się czas argumentacji. Nowe narzędzia komunikacji całkowicie zmieniły przekaz wartości. Imbinarium chrześcijańsko-naukowe roztrzaskane.



ROBERT TEKIELI

Mówisz: „Nikt mi nie będzie mówił, jak mam żyć”, i słuchasz ludzi, którzy powtarzają z głębokim przekonaniem to, co zostało wysiłkiem duchowym i intelektualnym 12 wieków naszej cywilizacji chrześcijańskiej odrzucone. 60, a do rewolucji oświeceniowej 80 pokoleń chrześcijan testowało rzeczywistość, stworzono system religijny owocujący dobrem uniwersytetów, szpitali, hospicjów. W ideosferze wywiezionej ze słów Jezusa „poznacie prawdę i prawda was wyzwoli”, powstała nowożytna nauka oparta na dowodzie.

Dwa narzędzia do poznania świata. Szczyt osiągnięć cywilizacji chrześcijańskiej, która w dalszym ciągu jest najżywniejszą i najbardziej owocną na Ziemi. Religia, która głosi – jako pierwsza ogłosiła – równość wszystkich ludzi: nie ma Żyda ani Greka, kobiety ani mężczyzny, wolnego ani niewolnika, jest człowiek. Człowiek, który ma godność, bo jest dzieckiem Boga. Bratem jego Syna.

W epoce odrodzenia pogaństwa usunięto Boga z centrum zachodniego świata, a w konsekwencji doprowadziło to do dzisiejszej dekonstrukcji i rzeczywistości, i człowieka.

Kancelarz Niemiec Angela Merkel, prezydent Francji François Hollande, premier Włoch Matteo Renzi uczestniczyli 1 czerwca 2016 r. w oddaniu do użytku tunelu św. Gotarda w Szwajcarii. Jest to najdłuższy i najgłębszy tunel

kolejowy na świecie. Ceremonia była synkretycznym zestawieniem symboli religii pogańskich (druidyzmu, panteonu bóstw egipskich i germańskich) oraz tradycji satanistycznej. Występował skrzydlaty stwór z anielskimi skrzydłami oraz nagimi piersiami, robotnicy maszerujący jak zombie zostali mu złożeni w ofierze, aktor przebrany za kozła spółkował z tancerzami w wokalach stylizowanych na dusze zmarłych, a ceremonia kończyła się wskrzeszeniem człowieka-kozła i oddaniem mu czci przez tłum. Według portali factcheckingowych, tłumaczących społeczności internetowej, jak ma świat rozumieć: „może to przywołać skojarzenie z szatanem”, ale „przypisywanie ceremoniałowi znaczenia satanistyczno-masońskiego nie jest zgodne z prawdą”. Ocywicie.

Jest teraz. Jesteśmy my, rodzina, my, Polacy, my, chrześcijanie, my, ludzie. I jest Bóg, który cierpi, kiedy cierpisz. Jest tylko jeden język, język Ewangelii.

Każde zwierzę unika bólu, najmniejsza gąsienica zwija się, kurczy w sobie, żeby odsunąć się od ciernia. Zgoda na swój krzyż, na cierpienie jest czymś irracjonalnym, nienaturalnym. Wymaga zaufania. Ale skoro żaden człowiek nie potrafi wyeliminować cierpienia ze swojego życia, głupotą jest udawanie, że się nie starzeje, że zawsze jest świetnie, że nie ma chorób, przerażenia, co dalej będzie z dziećmi, jak z inflacją, jak poradzimy sobie z ewentualną wojną. Lęk dobija się do człowieka. Można całe życie przeżyć w przerażeniu. Stoisz w zatoczce i w ułamku sekundy nieświadomy umierasz,

bo jakiś dzieciak chciał poszaleć samochodem. Nie masz nad swoim życiem i śmiercią żadnej kontroli.

Śmierć jest częścią życia, ból jest częścią życia tak samo niepewność, lęk, przerażenie. I tu wracamy do nie-normalności propozycji Jezusa. On wybrał: będę cierpiał niewinnie, ale moje cierpienie da życie miliardom ludzi. Święty Maksymilian oddał swoje życie za współwzięcia, podjął decyzję sam, oddał życie, jemu życia nie zabrano.

Można nadać sens czemuś, czego i tak nie da się uniknąć.

Tu nie chodzi o jakiś sztuczny zabieg, że jestem do czegoś przymuszony. Tu chodzi o przyjęcie konkretnej wizji świata i o zaufanie Miłości, Jezusowi. Jeśli był Zbawicielem, nie można przyjąć części Jego nauki, a części odrzucić. Albo był kłamcą, albo mówił prawdę. A prawda zobowiązuje. Chrześcijaństwo nie jest chomątem, które koń ma sam sobie założyć i iść w kieracie do końca życia. Chrześcijaństwo jest cudowną relacją z piękną wewnętrzną Osobą, delikatną, zakochaną we mnie, uważną, cały czas we mnie zapatrzoną.

Życie składa się z detali, miłość tkwi w szczegółach, tyle razy miałem lzy w oczach, kiedy docierało do mnie, że właśnie zostałem zaopiekowany, że Ojciec troszczy się o mnie. Wie o mnie, patrzy na mnie, cieszy się, gdy mi się coś udaje.

Gdy mam do wyboru życie bez sensu, ciulanie przyjemności, i życie, w którego

centrum jest Bezinteresowny, Zakochany, ofiarny, dający siebie każdemu człowiekowi po kawałku, wybieram na swoją małą miarę jak ojciec Maksymilian. Miłość nie zabiera mi życia, ja je Jezusowi oddaję.

Naśladowanie Boga, pycha i trwoga. Bo nie widzę siebie w różowych kolorach. Raczej z przerażeniem dostrzegam, kim naprawdę jestem: skrajnym egotem, choć zawsze wydawało mi się, że w sumie porządnym człowiekiem. A w Świecie widać wszystko: gnój, zachłanność, zazdrość, chciwość, bezwzględność w walce o swoje. Jest, jak jest. Nie obrażam się na świat. Lepiej widzieć się w prawdzie, bo wiadomo, co oddać Wszechmogącemu, by to naprawił.

Człowiek jest ze szkła, czyść moją duszę, Boże. Chcę Światła, więcej Światła! Niech będzie Tobie chwała, cześć i uwielbienie, Jezu. Każdy człowiek ma w sobie dziury po grzechach. Zawsze chroniłem się w największym upodleniu pod Twoje stopy, Mamo. W czasie egzorcyzmu dowiedziałem się, że „twoje dziury zasłania Maryja, tamten nie może ci nic zrobić”. Niech Bóg w Trójcy Przedziwny będzie pochwalony. Lepiej jest skupić się na Nim niż na sobie. Ciebie, Jezu, pragnie moja dusza.

Janusz zabił człowieka, bo ten potrafił go przy barze. Janusz skopał go na śmierć i zabrał skórzaną kurtkę. Dostał 25 lat. W więzieniu okaleczał się, polykał ostre przedmioty, w końcu postanowił się zabić przy pomocy więziennego ZOMO. Podpalał, wywoływał bójki. Był katowany do nieprzytomności. Kiedyś obudził się nagi na cementowej podłodze izolatki, mokry od krwi, śluzu, moczu. I zawył, choć wcześniej nigdy nawet nie pomyślał o Jezusie: „Boże, ratuj!”. Wyszedł dzięki amnestii po dwóch latach zresocjalizowany. Ma żonę, dzieci, drukarnię. Pomaga więźniom, ale 1 listopada odczuwa lęk, że kiedyś będzie musiał spojrzeć w oczy żonie zabitego przez siebie i jego dzieciom.

Rosjanie dalej mordują, stosują terror wobec niewinnych cywilów, torturują i gwałcą. Kochaj nieprzyjaciół, Bogu zostaw pomstę. Psy zlizują z asfaltu krew Izabel pod murem Jizreel.





Odebrać ten telefon?



KINO



Czarny telefon” nie jest przełomowym horrorem. Nie zapowiada też żadnej nowej fali (teraz płynnie nią Jordan Peele z ekipą gniewnych autorów horrorów z logo BLM) i nie wyważa gatunkowych drzwi. A jednak jest to kawał oldskulowego, rasowego horroru, bez ideolo-bullshitu i zbędnych ozdób. Trochę jest tutaj klimatu „To” Stephena Kinga. Liceum, przedmieścia i zło polujące na dzieci? Ba, zło przebrane za klauna z czarnymi balonami? Cóż, autorem opowiadania, na podstawie którego powstał film, jest syn mistrza horroru. Joe Hill przesiąkł więc odpowiednim klimatem książek ojca, ale przekuwa go na swój język. Jest tutaj znacznie brutalniej i mroczniej. Balon jest czarny, a nie czerwony. Ethan Hawke tworzy zupełnie upiorną postać psychopatycznego mordercy nastolatków. Nie widziałem go jeszcze w takim wydaniu. Jego starcie z 13-letnim Finnem, którego porywa i zamyka w dźwiękoszczelnej piwnicy, nie jest jednak tylko kolejnym wydaniem slashowerowego kina dla fanów gatunku.

To jeden z najlepszych horrorów ze stemplem Blumhouse (założona przez Jasona Bluma firma produkcyjna ma na koncie takie filmy, jak „Noc zniewolenia”, „Paranormal Activity”, „Uciekaj” czy nowe „Halloween”) i najlepszy film Scotta Derricksona od czasu „Egzorcyzmów Emily Rose”. Tak, są tutaj „jump scare’y”, ale solidnie użyte. Jest schemat licealny amerykańskiego kina (dorastanie, walka o miejsce w grupie, wchodzenie z cienia), ale w najlepszym suburbanym wydaniu. Akcja jest osadzona w latach 70., więc (mimo że klimat przedmieść jest wzięty od Carpentera) duch „Teksańskiej masakry piłą łańcuchową” unosi się w rozmowach bohaterów i ekranowej przemocy. Nie przytłacza jednak ani nie pcha „Czarny telefon” w przestylizowane rejony. Znakomici są młodzi aktorzy na czele z Masonem Themesem (Finn), walczącym z porywaczem w jego brudnej piwnicy ze złowieszczą wiszącą

czarnym telefonem na ścianie. Show kradnie stojąca przy nim duchowo młodsza i wyjątkowo wyszczekana siostra (Medeleine McGraw).

Ich relacja jest momentami naprawdę poruszająca. To outsiderzy mający tylko siebie. Outsiderzy, którzy swoją odrębność muszą przekuć w wyjątkową moc. Osieroceni przez matkę i trzymani krótko przez surowego ojca, muszą też dorosnąć w radykalnie szybkim tempie. McGraw ma kilka prze zabawnych linijek. Szczególnie w rozmowie z... Jezusem. To swoją drogą ciekawe, że Hill nie jest równie zjadliwy wobec religii jak jego ojciec. Zamiast ostrych szpil ojca Hill oferuje ironię. Można nawet dojrzeć tu delikatną polemikę z arcydziełem „Carrie”. A może to ręka samego Derricksona, który nakręcił zgodne z katolicką percepcją demonologii i oparte na faktach „Egzorcyzmy Emily Rose”? W króciutkim opowiadaniu Hilla treści religijne nie są w końcu specjalnie mocno wybite.

Derrickson jest jednym z najbardziej utalentowanych reżyserów kina grozy ostatniej dekady i doskonale ten świat adaptuje. Nie szarżuje i trzyma się swoich korzeni, dowodząc, że odskoczenie od świata Marvela jest dla niego oddechem. Cieszy też to, że mordercy z „Czarnego telefonu” bliżej jest do czystego zła rodem z „Halloween” niż horrorów, które za wszelką cenę chcą szukać społecznych przyczyn zła w archetypicznych demonach w ludzkiej skórze. Tutaj brak tego elementu, co powoduje, że The Grabber w wykonaniu przerażającego Hawke’a może wejść do „hall of fame” seryjnych psycholi. Hawke gra cały czas w masce, a mimo to nadaje mordercy więcej niż jeden wymiar. To spore aktorskie osiągnięcie. Jeżeli jesteście fanami gatunku, to lećcie do kin i podnieście czarną słuchawkę. Głos po drugiej stronie jest demoniczny, ale potrafi być wybawieniem.

„CZARNY TELEFON” W KINACH



Dinozaury nie mają już pazura



Park jurajski” Stevena Spielberga to jeden z filmów, który naznaczył dzieciństwo mojego pokolenia. W 1993 r. Spielberg był wówczas złotym dzieckiem Hollywood, zbudował mitologię świata „E.T.”, stworzył postać Indiany Jonesa i przebudował „Szczękami” (wraz z George’em Lucasem i jego „Gwiezdnymi wojnami”) amerykańską kinematografię, zamieniając ją w wielki biznes. Spielberg w roku premiery „Parku jurajskiego” dał światu również „Listę Schindlera”, która otworzyła mu drogę do bycia autorytetem moralnym Hollywood. Mimo późniejszych patriotycznych i moralizatorskich dzieł w stylu „Lincolna” czy „Amistad” nigdy nie porzucił swojej chłopięcej radości tworzenia kina. „Player One”, „Przygody Tintina”, a także dystopijny „Raport mniejszości”, zrealizowany na podstawie pomysłu Stanleya Kubricka wybitny traktat o transhumanizmie „A.I. Sztuczna inteligencja” czy „Wojna światów” pokazały, że Spielberg wciąż ma w sobie żar chłopaka z żydowskiej rodziny z przedmieść w Arizonie, który wymarzył sobie, że przemebliuje całe kino. Dlatego tak bardzo boli porażka „Jurassic World: Dominion” w reżyserii Colina Trevorrowa – film miał być przecież wielkim, finalnym podsumowaniem sześciu obrazów serii (Spielbergowskiej trylogii 1993–2011

i odsłony zapoczątkowanej w 2015 r.) i jednocześnie holdem dla twórcy oryginału. Wyszedł co najwyżej hold hollywoodzkiej przeciętności.

Już poprzednie sequele „Jurassic World” miały coraz mniej wspólnego z magią oryginału, choć sam Spielberg pozostawał ich producentem wykonawczym. Finał serii jest już zupełnie z magii wykastrowany. To niemal bezduszny lunapark doczepionym na siłę tercetem Laura Dern, Sam Neill i Jeff Goldblum, powracającym pierwszy raz od czasu oryginalnego filmu. Mieli zagrać na naszych sentymentach z lat 90. i wpisać się w modne dziś powroty ikon kina tego okresu. Tyle że nuta, na której grają, jest zupełnie zgrana i nie ma nic wspólnego choćby z opisywanym w tej rubryce dwa tygodnie temu mistrzowskim sequelem „Top Gun”, szybującym coraz wyżej w box office. Brak ducha. Brak serca. Brak miłości.

Dobrze, że dr Ian Malcolm o twarzy zawsze magnetycznie beczelnego Goldbluma jest wciąż pełen nerdowsko-playboyowskiego sarkazmu z „jedyńki”. Sceny walk z dinozaurami w powietrzu, pod wodą i na dachach kamienic na Malcie cieszą oko. Co jednak z tego, skoro są one pozbawione wdzięku, humoru i dziecięcej magii Spielberga. Ba, nie są nawet specjalnie spektakularne w porównaniu do poprzednich sequele. Nie mówiąc już o pojawieniu się T-Rexa w oryginale. W pewnym momencie już było mi obojętne, czy zobaczę biegających na ekranie dwupokoleniowych bohaterów obu wydań „Parku jurajskiego” czy Bourne’a, Bonda, Hunta bądź nawet chłopaków i dziewczyny z „Szybkich i wściekłych”. Ten film to jedna wielka pulpa sklonowanego kina akcji z rozrusznikiem serca zamiast mięśnia i mięsa. To zresztą zaskakujące, że twórcy ostatniego „Jurassic World” nawet nie postarali się oczarować efektami specjalnymi. Mam świadomość, że w erze kina Marvela, w którym można pokazać absolutnie wszystko, trudno o efekt, jaki miał Spielberg 29 lat temu, gdy komputerowe efekty za-

ledwie rok wcześniej zostały wywindowane w nowy wymiar przez Jamesa Camerona w „T2”. Co prawda „Top Gun: Maverick” również nie jest rewolucją w SGI. Jednak pomysłowość i energia reżyserska dodały im ognia. Tutaj go zupełnie brak.

Ten film rozczarowuje, bo jest przeciętny, wtórny i nie ma, nomen omen, pazura. Nawet gigantozaur wywołał u mnie zaledwie wzruszenie ramion. Więcej emocji miałem, oglądając ostatnie starcie Godzilli z King Kongiem, a przecież to do opartej na książce Michaela Crichtona serii jestem bardziej przywiązany. Od pierwszego filmu nowej serii z 2015 r. nie byłem też przekonany do obsady na czele z Chrisem Pratterem. Uwielbiam go w „Strażnikach Galaktyki” i uważam, że ze swoim chuligańskim wdziękiem byłby jedynym godnym następcą Harrisona Forda w roli Indiany Jonesa (swoją drogą Spielberg właśnie kręci piąty film serii), a jednak w świecie dinozaurów jest on mialki i pozbawiony chłopięcej charyzmy. Czy dlatego stara obsada, grająca i tak na oparach, przykrywa kapeluszem nie tylko Pratta, ale też Bryce Dallas Howard?

Jeff Goldblum mówi w pewnym momencie w duchu marvelowskiej metaironii: „Jurassic World? Nie jestem fanem”. Cóż, ja to samo mogę powiedzieć o „Jurassic World: Dominion”. Nie jestem fanem, choć ostatnie pięć minut przywołały wspomnienia z dzieciństwa. Lubię też kolejne mutacje książki Mary Shelley, czyli starego, dobrego „Frankensteina”, który przecież leży u podłoża każdej współczesnej opowieści o postawieniu aroganckiego człowieka w miejscu Stwórcy, próbującego potem zniszczyć swoje monstrum. Stary banał o tym, że korporacje są złe, a my nie jesteśmy bogami Ziemi i podlegamy prawom natury, zawsze dobrze dzwięczy w uszach. Jednak lepiej, jak Spielberg go wygłasza. Mistrz jest tylko jeden. Nawet Star-Lord w świecie Dino tego nie zmienia. Popcorn wciąż dobrze smakował mi na tym seansie. Tyle że to nie żadna pochwała. Wata cukrowa zawsze jest dobra w wesołym miasteczku.

„JURASSIC WORLD: DOMINION” W KINACH

KINO



Wielkie Polki *Barbara Kossuthówna*

Na innych frontach

Należała do pokolenia rewolucji 1905 r., ale akurat nie zamierzała rzucać bomb ani do nikogo strzelać – czym zajmowało się w tamtych latach wiele jej rówieśniczek. Była modelowym przykładem pozytywistki – bardziej niż rewolucję ceniła ewolucję: powolne kształtowanie umysłów, przekazywanie kolejnym pokoleniom polskiej kultury, oswajanie z językiem, którym z każdym kolejnym rokiem zaborów posługiwano się coraz słabiej. Wypisz wymaluj, modelowy przykład siłaczki ze słynnej noweli Stefana Żeromskiego.

Dokształcała się sama i jednocześnie dbała o wykształcenie Polaków. W 1907 r. skończyła Wyższe Kursy dla Kobiet im. Adriana Baranieckiego w Krakowie, kilka lat później rozpoczęła studia na Uniwersytecie Jagiellońskim, a cały czas między tymi wydarzeniami wypełniło jej nauczanie – uczyła jednocześnie w aż trzech szkołach. Nie mamy dziś żadnych relacji z prowadzonych przez nią zajęć, ale późniejsze wspomnienia pozwalają się domyślać, że kwestia polskiej kultury i podsycać aury niepodległościowej stanowiły sporą ich część. Nawet tak duża aktywność okazała się dla niespełna 30-letniej Kossuthówny zbyt skromna. Tuż przed wybuchem I wojny światowej zaangażowała się w działalność Zarządu Towarzystwa Biblioteki Publicznej w Kielcach – mieście, z którym zawsze już będzie bardzo silnie związana.

W gorsecie i na manewrach

Barbara nie należała do elitarnego kręgu bojowców PPS Piłsudskiego, ale z całą pewnością wokół niego orbitowała. Nie ma w każdym razie wątpliwości, że oprócz swoich ofi-



Barbara Kossuthówna nigdy nie walczyła z bronią w rękę. Była jednak niezwykle skuteczna na innych frontach: karmiła żołnierzy, leczyła rannych, dostarczała im środków finansowych. Bez takich jak ona Legiony nie zaszłyby zbyt daleko po wyjściu z Krakowa

cialnych zajęć, zajmowała się szmugłem kontrabandy z Galicji do Królestwa, co wiązało się z poważnym ryzykiem zsyłki, a już z pewnością z poważnymi niewygodami. „Trzeba było nie lada sprytu, żeby przewieźć 200 lub 300 browningów lub do 80 funtów dynamitu przez linie kordonów. O przewożeniu broni w walizkach czy kufrach nie było nawet mowy. Metoda, którą stosowaliśmy, polegała na tym, że wszystko niemal trzeba było wieźć na sobie. Tak więc np. kobieta w długiej sukni mogła swobodnie nieść dwa lub trzy mauzery, przywiązane do ciała, wzdłuż nóg. Rewolwery i amunicję zaszywano w szerokie pasy, które kładło się na siebie pod ubranie. Dynamit znakomicie nadawał się do gorsetu. Na szczęście na modę ówczesną nie mogliśmy narzekać. Panie nosiły obszerne płaszcze, peleryny, spódnice i suknie, staniki, staniczki, ułatwiające ukrycie wielu rzeczy” – wspominała Aleksandra Szczerbińska, wkrótce Piłsudska.

O ile wiemy, Kossuthówna nie przewoziła poupychanych w gorsecie czy za pończochami lasek dynamitu, ale wiele kilogramów nielegalnej bibuły także bywało sporym wyzwaniem. „Gdy na początku lipca 1914 r.

przewoziłam na sobie z Krakowa przez granicę rosyjską kilkanaście funtów bibuły, zbrojna w troskliwe i serdeczne rady pani Marii Piłsudskiej [pierwszej żony Józefa – przyp. aut.] i wskazówki Walerego Sławka, ani mi przez myśl nie przeszło, że za dni kilkanaście rozszałe się wojna” – wspominała później.

I właśnie wojna bardzo wpłynęła na jej życie. Już wcześniej zmieniła nieco swoje pacyfistyczne nastawienie. Nie była nigdy typem żołnierza, ale wołała być na taką sytuację gotowa w razie konieczności. Wstąpiła więc do popularnych wówczas w Galicji, na wpół legalnych Polskich Drużyn Strzeleckich, w których przeszła stosowne przeszkolenie – pierwsze ma-

newry, do których dopuszczono kobiety. „Na wiosnę 1914 r., w Zielone Świątki, naznaczono ćwiczenia strzeleckie. Hura! Hura! I oddziały żeńskie też pójda: »I niewiasty pójda z nami – będą walczyć z Moskalami« – śpiewa rozgłośnie jeden z plutonów strzeleckich na wiadomość o kobietach. W drewnianym pawilonie w parku Krakowskim aż wre od domysłów: które pójda? Czy wszystkie? Jak będzie?» – wspominała ówczesną atmosferę. I dalej zdawała relację z samych manewrów: „Oddział nasz pod dowództwem Hanny pnie się ścieżynką w górę, idzie przez las – tam na skraju urwiska będzie nocleg. W lesie czarno, tak czarno, że nawet drzew nie widać; wszystko jedno, czy oczy zamknąć, czy otworzyć; brniemy po omacku, kierując się głosem nawoływań. A potem noc... jedyna, niezapomniana w służbie obozowej, pod gołym niebem, na twardych kamieniach czy korzeniach, przy dochodzącym z dołu i powoli cichnącym gwarze obozowiska”.

Wojaczka na swój sposób jej się spodobała, ale chyba jednak szybko zdała sobie sprawę, że znacznie lepiej sprawdzi się na innych frontach. Na wieść o wojnie i Legionach Polskich sama po raz kolejny przekroczyła nielegalnie granicę i dotarła do Kielc, by tam właśnie stworzyć dla polskiego wojska praktycznie całe cywilne zaplecze logistyczne. „Pod pokojowym hasłem obrony przed epidemiami udało się nam zorganizować wykłady sanitarne dla kobiet. [...] Miałymy przeszło 200 słuchaczek. W rozmowach robiłyśmy propagandę na rzecz »Strzelca« – tak też nastrój sympatii dla wojska polskiego udało się stworzyć. Toteż gdy pierwszy raz nasi strzelcy zajęli miasto [...], wtedy wystąpiliśmy jawnie jako organizacja pomocnicza dla wojska polskiego, pociągając za sobą wiele kobiet. A gdy strzelcy po raz drugi objęli miasto swym kilkudziesięciodniowym panowaniem, z największą łatwością powstała Liga Kobiet Pogotowia Wojennego” – opowiadała.

W szpitalu i na froncie

W tym miejscu i czasie Liga była organizacją bardzo ważną. Kobiety nie tylko przez całą dobę dawały bardzo dotkliwie niedofinansowanym legionistom wikt i opierunek, ale też dostarczały spore kwoty pieniężne i liczne datki zbierane wśród miejscowej ludności. „Utworzono dział przyjmowania darów, które posypały się szczodra, serdeczną dłonią” – przyznawała, dodając, że pierwsze i najliczniejsze z owych darów pochodziły od starszków pół wieku wcześniej zaangażowanych w powstanie styczniowe. Dopóki miasto znajdowało się w rękach polskich, praca organizacji szła pełną parą najzupełniej jawnie. Co jednak najciekawsze, wcale nie ustała, gdy Kielce zajęli najpierw Rosjanie, później zaś Austriacy. Z siedziby zniknęły co prawda polskie flagi, ale panie w dalszym ciągu przyjmowały datki i dary, prowadziły liczne sklepiki, z których dochód w całości był przeznaczany na sprawy legionowe. Wiązało się to zresztą z dość nieoczekiwaną sytuacją, bo ich klientami byli głównie „szarmanccy oficerowie rosyjscy” – a więc spora część żołdu wypłacanego przez cara trafiała do kieszeni żołnierzy walczących z carem.

Kossuthówna była mózgiem całej tej operacji, jak długo się dało. Już jednak pod koniec 1914 r. i sporą część roku następnego przepracowała w szpitalach legionowych w Jabłonkowie i Dziedzinach na Śląsku. Nie była to praca łatwa. Brakowało

pieniędzy, leków, a nawet jedzenia – Kossuthówna wspominała, że pracowały często całą dobę bez przerwy i bez jedzenia, a co jeszcze gorsze, zmagając się z mocno niewybrednymi przytykami własnych żołnierzy, którzy dla odmiany rzadko bywali szarmanccy. Nic też dziwnego, że kiedy tylko Kossuthówna usłyszała o formowaniu przez Reginę Fleszarową kolumny sanitarnej, która miała ruszyć na front, natychmiast się do niej zgłosiła. „Nareszcie! Nareszcie!” – dała upust radości w swoim pamiętniku.

To jednak wciąż nie były dobre czasy dla kobiet w wojsku. Piłsudski nie miał uprzedzeń. Tysiące dziewczyn walczyło w jego Organizacji Bojowej, wiele należało do POW, a podczas wojny 1920 r. Aleksandra Zagórska stworzyła Ochotniczą Legię Kobiet, która dzielnie walczyła w Wilnie i we Lwowie, a nawet miała brać udział w obronie Warszawy. Nie wspominając o niezliczonych paniach, które tak jak Kossuthówna wspomagały armię wszystkimi siłami, choć bez broni w rękach. A jednak mimo że wszyscy wiedzieli o roli kobiet w walce niepodległościowej, w samym wojsku nie były wówczas chętnie widziane. I przyjmowały to z nieukrywanym żalem.

„Dopiero na miejscu [w Dziedzinach – przyp. aut.] ujrzaliśmy, że rozkaz wykreślał nas formalnie ze służby w wojsku polskim. Takie zakończenie naszej służby wynikało z konieczności kasowania oddziałów niewieścich. Nie nasza praca była niepotrzebna, tylko mściły się na nas błędy organizacji, brak planu w powoływaniu kobiet do służby żołnierskiej i w skutek tego niewyzyskanie należyte sił, ofiarności i poświęcenia kobiet” – pisała z wyraźną pretensją. Uzasadnioną. W podobnym tonie wypowiadała się również później Zagórska.

Jeszcze w czasie I wojny światowej Kossuthówna powróciła więc do nauczania w kieleckich szkołach, musiała z niego jednak zrezygnować w 1920 r. z powodu choroby strun głosowych. Przez dwa lata pracowała w polskim konsulacie w Chicago, po powrocie zaś została radcą ministerialnym w Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. To ostatnie jest zresztą ciekawe, bo zajmowała się tam oceną książek i filmów polecanych młodzieży i bardzo niechętnie wypowiadał się m.in. o twórczości Jana Brzechwy. Ale może była w tym lekka nuta zawiści, sama bowiem również zaczęła tworzyć wiersze dla dzieci. Starą się wychowywać do końca, który zastał ją w mocno podeszłym już wieku. Zmarła w 1974 r., mając 87 lat.

Ale jeszcze raz musiała wziąć udział w wojnie. „W trakcie powstania warszawskiego współorganizowała kuchnię dla żołnierzy i osób pozbawionych dachu nad głową” – pisali Marta Sikorska-Kowalska i Kamil Piskala, umieszczając ją w ścisłej jedenastce kobiet ważnych dla odzyskania przez Polskę niepodległości.

Wojciech Lada

Cykl powstał dzięki

LINK 4

POLSKIEJ FIRMIE UBEZPIECZENIOWEJ

Nie wyganiajmy polskich pacjentów za granicę

Czy Polacy stracą możliwość wykorzystywania w terapii komórek macierzystych? Czy przybierająca na sile dziwna nagonka na ośrodki realizujące takie terapie w Polsce wygoni pacjentów za granicę? Dlaczego zamiast wspierać rozwój tego rodzaju leczenia, w środowisku medycznym pojawiają się głosy starające przedstawić je w jak najgorszym świetle?

Oliwia ma dziś osiem lat i chodzi do szkoły podstawowej, mimo że uszkodzony nerw wzrokowy powoduje poważne zaburzenie wzroku. Jednak to, że dziewczynka w ogóle dostała szansę na normalną edukację, to zasługa jej mamy, pani Marty Podwapińskiej, która zdobyła wiedzę, jak pomóc swojej córce w trudnej chorobie. Oliwia urodziła z malformacją żyły Galena, czyli z nieprawidłowościami w obrębie naczyń mózgowych. Po roku poszukiwania udało się znaleźć lekarza w Niemczech, który podjął się leczenia Oliwii metodą embolizacji, czyli cewnikowania uszkodzonych naczyń. Po zabiegu dziewczynka, zamiast wrócić z Niemiec zdrowsza, przyjechała praktycznie bezwładna, nie poruszała nawet żenicami, trzęsła się i była bardzo niestabilna. Okazało się, że podczas zabiegu doszło do udaru. Zastosowano kolejną embolizację, która tym razem przebiegła o tyle prawidłowo, że jedyną „pamiętką” po zabiegu była padaczka. Wówczas do akcji znów wkroczyła pani Marta.

– Zaczęłam samodzielnie poszukiwać informacji na stronach zagranicznych, głównie z USA, na temat rezultatów zastosowania komórek macierzystych w rehabilitacji poudarowej. Szybko znalazłam podmiot, który mógł dostarczyć komórki macierzyste do terapii w Polsce, i w porozumieniu z prowadzącą Oliwię dr neurolog Magdaleną Chrościńską-Krawczyk zdecydowaliśmy się na podanie komórek Oliwii – wspomina Marta Podwapińska.



Fot. Shutterstock

Spektakularne efekty terapii przyszedł bardzo szybko. Oliwia niemal natychmiast z dziecka milczącego stała się dzieckiem mówiącym pełnymi zdaniami, zaczęła także szybko odzyskiwać pełną zdolność ruchową.

– Dziś czekamy na możliwość podawania komórek macierzystych bezpośrednio do gałki ocznej, by zregenerować nerw wzrokowy – mówi mama Oliwii.

Podobnych przykładów możemy znaleźć o wiele więcej, głównie w archiwum Polskiego Banku Komórek Macierzystych, najstarszego i najbardziej doświadczonego podmiotu w Polsce, który jest w stanie przygotować odpowiednią dawkę komórek macierzystych na zamówienie lekarza prowadzącego.

– Naszą główną działalnością jest pobieranie i przechowywanie krwi pępowinowej. Od tego zaczęliśmy w Polsce

20 lat temu i robimy to do dziś – tłumaczy dr Tomasz Baran, wiceprezes Polskiego Banku Komórek Macierzystych. – Przechowywane komórki pochodzące z krwi pępowinowej służą co do zasady do leczenia rodzinnego, ale dziewięć lat temu rozszerzyliśmy naszą działalność o drugi element, czyli pozyskiwanie komórek mezenchymalnych ze sznura pępowinowego, które mogą być podane również osobom niespokrewnionym z dawcą.

Komórki mezenchymalne (MSC) mogą regenerować uszkodzone tkanki oraz mają tzw. właściwości multipotencjalne, czyli mogą niejako „zamieniać się” w różne typy komórek w zależności od potrzeb organizmu. To właśnie wyizolowane i namnożone w laboratorium Polskiego Banku Komórek Macierzystych ze sznura pępowinowego komórki mezenchymalne otrzymała m.in. Oliwia.

– Pozyskiwanie komórek ze sznura roz- poczęliśmy na prośbę lekarzy, którzy szu- kali dla swoich pacjentów nowatorskich metod leczenia, gdy wszelkie poprzednio stosowane metody zawiodły. Pierwsze komórki uzyskane ze sznura dostarczyli- śmy pacjentce, której organizm zwalczał przeszczepiony szpik kostny i doszło do choroby o nazwie przeszczep przeciwko gospodarzowi. Stan taki wiąże się z ogrom- nym cierpieniem i szybką dewastacją ca- łego organizmu. Prowadzący pacjentkę le- karz, znając nasze doświadczenie w pracy z komórkami macierzystymi, zwrócił się do nas o materiał komórkowy do podania gospy pacjentce. Już po pierwszej dawce objawy zaczęły ustępować, a działający dotąd przeciwko swojemu gospodarzowi układ immunologiczny uspokoił się. 12-letnia wówczas pacjentka dostała szansę na normalne życie – wspo- mina dr Baran.

Zastosowanie komórek macierzy- stych może pomóc w bardzo wielu różnych przypadłościach, schorze- niach i dysfunkcjach, ale najlepsze efekty uzyskuje się w chorobach neurologicznych, reakcjach im- munologicznych, w przypadkach takich jak przeszczep przeciwko gospodarzowi, podejmuje się też próby leczenia stwardnienia rozsia- nego i innych chorób z autoagresji. Problem polega na tym, że przeba- danie kliniczne zastosowania komó- rek mezenchymalnych w każdym z możliwych przypadków zastoso- wań jest kosztem nie do udźwignięcia dla żadnego polskiego podmiotu. Polski Bank Komórek Macierzystych otrzymał grant na przeprowadzenia całego cyklu badań klinicznych tylko w przypadku za- stosowania terapii w leczeniu ALS, czyli stwardnienia zanikowego bocznego.

Notująca obiecujące wyniki w leczeniu dzieci z porażeniem mózgowym dr hab. Magdalena Chrościńska-Krawczyk, pro- fesor Uniwersytetu Medycznego w Lub- linie i konsultant neurologii dziecięcej w województwie lubelskim, starała się o grant na przeprowadzenie klinicznych badań terapii mózgowego porażenia dzie- cięcego, ale jej wniosek został odrzucony. Ze względu na brak finansowania pub- licznego większość podań produktu z ko- mórek mezenchymalnych ma w Polsce status tzw. eksperymentu medycznego

i jest dokonywana na zasadzie procedury zwanej wyjątkiem szpitalnym. Kilka lat temu okazało się, że taki stan rzeczy ma wielu przeciwników – nagle zintensyfi- kowali oni swoje działania, których celem miało być zakazanie takich terapii. I jak to zwykle bywa w sprawach naukowych i medycznych, których natura jest znana tak naprawdę jedynie wąskiemu gronu specjalistów, tak i tu w przestrzeni pub- licznej pojawiły się argumenty trudne do oceny dla przeciętnego człowieka, w tym także dla polityków, którzy być może staną przed decyzjami, które mogą zaważyć na życiu wielu pacjentów.

– Usłyszeliśmy, że procedura wyjątku szpitalnego nie powinna być stosowana w nieskończoność i że należy po prostu

Zastosowanie komórek macierzystych może pomóc w bardzo wielu różnych przypadłościach, schorzeniach i dysfunkcjach, ale najlepsze efekty uzyskuje się w chorobach neurologicznych, reakcjach immunologicznych

przeprowadzić badania kliniczne, które musi przejść każdy lek dopuszczony do obrotu. Niestety, w przypadku zastoso- wania komórek macierzystych ich dzia- łanie jest tak różnorodne, że trudno wy- obrazić sobie nawet koszty takich badań w przypadku każdego schorzenia, które może być leczone za ich pomocą. W Pol- sce nikogo na to nie stać – tłumaczy dr Tomasz Baran.

Tymczasem nie jest tajemnicą, że dys- ponujące ogromnymi środkami globalne firmy farmaceutyczne opracowały już leki zawierające komórki macierzyste i medykamenty dostępne z polki. Jed- nak ich koszt jest ok. 10 razy wyższy niż produktów wytwarzanych w Polsce na zamówienie. Oprócz tego w przypadku leków z polki nie ma możliwość indy- vidualnego dopasowania terapii do kon-

kretnego pacjenta, tak jak dzieje się to właśnie w przypadku zastosowania ko- mórek pozyskiwanych chociażby przez Polski Bank Komórek Macierzystych.

Dziwnym zbiegiem okoliczności wraz z opracowaniem drogich leków z komórek MSC w przestrzeni publicznej pojawiły się przekazy podważające sens terapii komórkami macierzystymi i przedsta- wiające podmioty, które oferują do niej dostęp, jako nieetyczne, żerujące na roz- paczy rodziców, zdolnych do poświęce- nia ostatniego grosza na rzecz chorego dziecka. Jest to o tyle zastanawiające, że w Polsce właściwie bez przerwy są pro- wadzone zbiórki na rzecz terapii chorych dzieci, których skuteczność jest zawsze wielką niewiadomą, mimo że ich koszty są wielomilionowe. Dlaczego nie słychać głosów o zasadności „dawa- nia złudnej nadziei” czy „odzieraniu z ostatniego grosza zrozpaczonych rodziców” w takich przypadkach jak zbiórki na rzecz terapii niewyleczal- nych guzów w zagranicznych ośrodk- ach medycznych, a sprzeciwu budzi jednak znacząco tańsza terapia reali- zowana przez polskich specjalistów?

– Polscy rodzice powinni mieć prawo wyboru – mówi stanowczo Marta Podwapińska. – Zapewniam, że mnie nikt do terapii nie nama- wiał ani nikt mi nie obiecywał, że jej zastosowanie będzie z pewnością skuteczne. Ale ja miałam wybór, to była moja ostatnia szansa i dziś podjęłabym tę decyzję raz jeszcze. Zdaję sobie sprawę, że terapia komórkami macierzystymi nie pomoże każdemu, ale gdy zostanie zakazana w Polsce, to zrozpa- czeni ludzie zaczną jej szukać za granicą. Będzie to jednak o wiele droższe i jeszcze bardziej trudne do udźwignięcia w budżecie polskiej rodziny.

Terapia eksperymentalna możliwa jest wówczas, gdy wyczerpią się już wszelkie inne znane formy pomocy. Jest to ure- gulowana procedura w Polsce. Byłoby czymś trudnym do zaakceptowania i zrozumienia, gdyby Polscy pacjenci chcący spróbować terapii komórkami MSC musieli w tym celu szukać pomocy w Niemczech, USA czy np. w Tajlandii, gdzie nie tylko nie zakazuje się, ale często nawet refunduje niektóre terapie ekspe- rymentalne.

(BZ)

Spośród 1505 rezerwatów
w Polsce, aż 1300 jest
zlokalizowanych na gruntach
w zarządzie Lasów Państwowych

Chronić znaczy działać skutecznie

Parki narodowe – szczególne i cenne obszary na mapie Polski – zajmują ok. 1 proc. powierzchni naszego kraju. Ocena, czy i dlaczego jest ich tak mało, co jakiś czas wraca jako temat publicznej debaty. Szczególnie chętnie szuka się winnych takiego stanu. Aktywne w tym względzie są tzw. organizacje ekologiczne, które odpowiedzialność cedują na Lasy Państwowe

Tymczasem rzeczywistość wygląda tak, że decydujący głos w kwestii powstawania parków narodowych lub powiększania istniejących mają jednostki samorządu terytorialnego. A Lasy Państwowe – często i niesłusznie przez ekologów nazywane hamulcowym w tej kwestii – wspierają działalność parków narodowych, rokrocznie przekazując na ten cel blisko 27 mln zł. Licząc od 2012 r., kwota ta osiągnęła już niemal 300 mln zł. Właśnie ten fakultatywny system finansowania, inicjatywa Lasów Państwowych, stał się jednym z filarów obecnego projektu ustawy o parkach narodowych. Zamiast więc pomstować na Lasy Państwowe, należało się wybrać do samorządów. Przedstawiciele organizacji ekologicznych z powodzeniem mogliby zostawać radnymi. Samorządy to znakomite pole do przetestowania pomysłów na naprawę świata. Ich realność weryfikują budżet i głosy wyborców. Koleżanki i koledzy leśnicy, którzy poświęcają się pracy w samorządach, podpowiadają, że zdobywa się je realnym i konstruktywnym działaniem.

CO TO JEST PARK NARODOWY

Park narodowy w świetle definicji ustawy z dnia 16 kwietnia 2004 r. o ochronie przyrody jest obszarem wyróżniającym się szczególnymi wartościami przyrodniczymi, naukowymi, społecznymi, kulturowymi i edukacyjnymi, o powierzchni nie mniejszej niż 1000 ha, na którym ochronie podlegają cała przyroda oraz walory krajobrazowe. Tworzy się go, by zachować różnorodność biologiczną, zasoby, twory i składniki przyrody nieożywionej oraz walory krajobrazowe. Ma on przywracać właściwy stan zasobów i składników przyrody, a także odtwarzać zniekształcone siedliska przyrodnicze, roślin, zwierząt lub grzybów.

Obecnie w Polsce istnieją 23 parki narodowe, które zajmują ok. 1 proc. powierzchni kraju.

– To, że obszary, które wskazuje się jako potencjalne parki narodowe, znajdują się na terenie nadleśnictw Lasów Państwowych – i w zasadzie nigdzie indziej – świadczy o tym, że blisko



100-letnia gospodarka zarządcy lasów Skarbu Państwa nie wpłynęła negatywnie na walory przyrodnicze tych terenów – mówi Józef Kubica, p.o. dyrektora generalnego Lasów Państwowych.

JAK POWSTAJĄ PARKI NARODOWE

Zgodnie z obowiązującym prawodawstwem podstawą do tworzenia nowych parków narodowych jest Krajowa strategia ochrony i zrównoważonego użytkowania różnorodności biologicznej. Projekt powołania parku narodowego jest uzgadniany z właściwymi miejscowo organami uchwałodawczymi jednostek samorządu terytorialnego, na których terenie jest planowane utworzenie parku. Uzgodnienie, w przeciwieństwie do opinii, jest wiążącą formą wyrażenia stanowiska. Jeśli konsultacje z samorządami są pomyślne, Rada Ministrów wydaje rozporządzenie określające nazwę, obszar, przebieg granicy, otulinę i nieruchomości Skarbu Państwa nieprzechodzące w trwałe zarząd parku narodowego.

Tego samego trybu wymaga zmiana granic parku lub jego likwidacja, choć ta jest możliwa tylko w przypadku bezpowrotnej utraty wartości przyrodniczych i kulturowych na jego obszarze.

Lasy Państwowe nie są zatem stroną, gdy chodzi o tworzenie tej formy ochrony przyrody, lecz jedynie organizacją, która wykona zalecenia urzędu wyższej instancji. Jeśli polski rząd zdecyduje o utworzeniu czy powiększeniu parku narodowego w obszarze administrowanym do tej pory przez Lasy Państwowe, wówczas zmieni się jego zarządca.

CIEMNA STRONA PARKU – DWIE STRONY MEDALU

Proces tworzenia parków narodowych jest złożony i kosztowny. Ogromne nakłady generuje również utrzymanie istniejącego parku narodowego. Nie wystarczy zamknąć terenu, na którym odtąd będzie rządziła przyroda. Park narodowy to także instytucja, infrastruktura, konieczne działania dotyczące udostępniania i ochrony.

Osoby, które forsują powstawanie parków narodowych, niechętnie mówią o tym, że utworzenie parku i ochrona przyrody może wiązać się z wprowadzeniem ograniczeń i utratą wielu możliwości rozwojowych dla mieszkańców, lokalnego biznesu czy samorządów.

– Oczywiście lokalizacje przyszłych parków narodowych muszą

uwzględniać wyjątkowe walory przyrodnicze, ale trzeba je planować mądrze. Tak żeby nie przeciwstawiać ochrony przyrody potrzebom lokalnych społeczności – mówi dyrektor Kubica.

Choć parki narodowe są tworzone przede wszystkim po to, by zachować bioróżnorodność i walory krajobrazu, to ich funkcjonowanie wpływa także na lokalne społeczności, życie społeczne i ekonomiczne: zależy od nich możliwość rozwoju gospodarczego gmin. To właśnie bywa przyczyną konfliktów i negatywnego nastawienia mieszkańców tych terenów do parków.

Z kolei funkcjonowanie parku narodowego wiąże się z wieloma korzyściami o charakterze społecznym i gospodarczym. Są to przede wszystkim korzyści związane z rozwojem ruchu turystycznego i usług towarzyszących. Co ważne, parki narodowe na świecie mogą być siłą napędową lokalnej gospodarki, jak choćby w Stanach Zjednoczonych, gdzie całe miasta żyją dzięki parkom i generowanemu przez nie ruchowi turystycznemu. Czy jest szansa, by taka sytuacja zagościła w Polsce?

Dyrektor Kubica wyjaśnia: – Tak może się stać, ale w warunkach polskich, w XXI w. i przy takiej gęstości zaludnienia trzeba to dobrze przemyśleć. Dzięki dobrej współpracy lokalnej pojawia się szansa, że taki park powstanie.

NOWA USTAWA ZWIĘKSZY ROLĘ SAMORZĄDÓW?

W lutym w Rządowym Centrum Legislacji opublikowano projekt ustawy o parkach narodowych, który ma kompleksowo unormować ich działalność. Przedmiotem regulacji ma być nie tylko system zarządzania tymi jednostkami, ale także sposób ich powstawania. Nowy proces określania granic i tworzenia parków narodowych ma pozwolić na zwiększenie udziału społeczeństwa, a jednocześnie przełożyć się na wzrost poparcia dla idei parków narodowych. Dużą rolę w nim mają odegrać samorządy.

Właśnie w przypadku utworzenia parku narodowego wraz z projektem rozporządzenia będzie opracowywany program działań na rzecz rozwoju jednostek samorządu terytorialnego, na których obszarze działania planuje się utworzenie parku, ze wskazaniem źródeł finansowania określonych działań. Program będzie opracowywany na drodze konsultacji społecznych, a poza tym będzie podlegał opiniowaniu przez jednostki samorządu terytorialnego. Obecnie projekt ustawy o parkach narodowych jest na etapie opiniowania. 



Lasy Państwowe

Anguilla anguilla, czyli tajemnice węgorza



Mało jest stworzeń tak magicznych jak węgorz. Jego mitotwórcze zdolności wynikają z niezwykle trybu życia. Zanim człowiek je rozgryzł, tworzył legendy. Ale zagadek nadal jest wiele. Próbował je rozwiązać nawet Arystoteles, największy przyrodnik starożytności. Ale i my mamy z tym problem. Dlaczego?

Bo największą zagadką tego gatunku jest sposób jego rozrodu, której grecki filozof nie miał prawa rozwikłać, choć zadawał sobie pytanie, jak reprodukuje się te ryby. I wtedy powstała jedna z większych dezinformacji przyrodniczych świata. Arystoteles doszedł bowiem do wniosku, że węgorze są przykładem najprostszego, najpierwotniejszego sposobu rozmnażania się: powstają z błota i substancji gnilnych. Po prostu po deszczu pojawiają się w zbiornikach wodnych.

Arystotelesowskie przekonanie o powstawaniu żywych organizmów z materii nieożywionej, czyli abiogeneza, zwana samoródtwem, istniało na zasadzie pełnoprawnej teorii przez niemal 2 tys. lat. Ale kiedy naukowcy zaczęli weryfi-



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

kować założenia samoródtwa, okazało się, że grecki filozof był w błędzie. Niemniej jednak, choć badania nad obaleniem abiogenezy trwały od połowy XVII w., z grona istot, które rodzą się z błota, węgorze zostały wykluczone dopiero w XIX w. jako ostatnie stworzenia. I to nie dlatego, że udało się poznać tajemnicę ich rozrodu (gdyż się nie udało), ale dlatego, że definitywnie udowod-

niono, że samoródtwo jest niemożliwe.

Jak więc powstają węgorze? Kiedy stało się jasne, że nie może zrodzić się z gnijących materiałów organicznych, kolejny wielki myśliciel poświęcił się odkryciu prawdy o życiu tej ryby. Był nim Zygmunt Freud. Koszula bliska ciału – ryba z płciową tajemnicą nie mogła nie zainteresować naukowca, dla



Fot. Shutterstock

którego takie sekrety stanowiły trzon rozważań. Freuda zainteresowało to, że ryby te nie posiadają organów rozrodczych. W 1876 r. 19-letni Freud przebywał nad Morzem Adriatyckim w stacji badawczej swojego promotora prof. Carla Clausa. Jego zadanie polegało na przebadaniu przez rozplatanie nożem setek węgorzy, by odnaleźć osobnika mającego gonady. Zadanie zaiste beznadziejnie. Dlaczego? Poznajmy tajemnice węgorza!

JEDYNE MIEJSCE WSZECHOCEANU

Wszystkie na świecie węgorze z gatunku *Anguilla anguilla*, tego samego, który żyje także w polskich wodach, pochodzą z jednego miejsca wszechoceanu, w którym przyszły na świat. Z głębin Morza Sargassowego, z miejsca, którego lokalizację wciąż znamy tylko w przybliżeniu.

Węgorz europejski to ryba zagadka. O żadnym innym gatunku nie krąży tyle legend i żadna inna ryba wciąż w tak dużym stopniu nie wyslizguje się naukowemu poznaniu. W przypadku węgorza w ciągu tysięcy lat dociekań stan naszej wiedzy postąpił naprzód tylko w niewielkim stopniu.

Zacznijmy od początku, który w przypadku węgorzy jest także końcem i ponownym początkiem – węzokształtny węgorz mógłby zastąpić uroborosa, węża pożerającego

swój ogon, który w starożytnym świecie symbolizował nieskończoność.

Dorośle węgorze po latach życia w rzekach przechodzą przemianę. Ich przewody pokarmowe uwsteczniają się. Przestają żerować i wyruszają w trwającą ponad rok podróż. Spływają w dół swoich ojczystych rzek i docierają do morza. Muszą przejść wiele zmian, które umożliwią im przebywanie w wodach morskich, stawiających rybam zupełnie inne wyzwania niż wody słodkie. Mówiąc ogólnie o jednym tylko z podstawowych aspektów: w wodach słodkich organizmy są narażone na utratę soli, w wodach morskich nie mają z tym problemu. Dla organizmów słodkowodnych przebywanie w wodach morskich jest zabójcze, podobnie też stworzenia morskie szybko giną w wodach słodkich. A węgorz musi poradzić sobie i z tym wyzwaniem, przedstawiając w znacznym stopniu swoją fizjologię.

Wędrujące węgorze zmieniają barwę. Niektóre stają się złote, co stanowi kolejną zagadkę gatunku. O złotych węgorzach pisał Ota Pavel w książce „Śmierć pięknych saren”.

Kierując się sobie tylko znanymi zmysłami, węgorze dopływają w końcu do Oceanu Atlantyckiego. Tam ślad ich odysei zaczyna się zacierać, a nasze informacje mają coraz bardziej fragmentaryczny, nieciągły charakter. Pręc wciąż przed siebie, węgorze przepływają na drugą stronę oceanu, w rejon Trójkąta Bermudzkiego. Zależnie od miejsca, z którego wyruszyły, pokonują trasę nawet 10 tys. km. Tam, w odmętach morza pokrytego pływającymi wyspami uformowanymi przez wodorosty z rodzaju *Sargassum*, nurkują w głąb. Głębiej i głębiej, aż trafią w miejsce, które z nieznanym wciąż nam przyczyn uznają za jedyne na świecie odpowiednie do rozrodu.

Wszystko wskazuje na to, że właśnie tam odbywa się tarło, którego nie widziało jeszcze ludzkie oko i którego nie uwiecznił żaden film ani zdjęcie, po czym dorosłe osobniki giną bez śladu. W to samo miejsce na tarło przybywają węgorze amerykańskie *Anguilla rostrata*.

Jedna z teorii, mająca w sobie coś z mitów o Atlantydzie, mówiła, że zarówno węgorz europejski, jak i amerykański były jednym gatunkiem przed rozdzieleniem się kontynentów. Ameryka oddzieliła się od Europy, lecz węgorze wciąż przybywają na pradawne, wspólne miejsce swojego rozrodu.

Jako pierwszy na Morze Sargassowe jako miejsce tarła węgorzy wskazał duński ichtiolog Ernst Johannes Schmidt – dopiero w latach 20. ub.w.

METAMORFOZY

Młode, mikroskopijne rybki, które wykluły się z ikry, rozpoczynają trwającą dwa lub trzy lata i liczącą tysiące kilometrów powrotną podmorską podróż do rzek, z których wyruszyli ich rodzice. Tam staną się rybami słodkowodnymi, by kilkadziesiąt lat później pokonać trasę ponownie, wracając na tarło. Będzie to tym razem podróż w jedną stronę.

Zanim jednak do tego dojdzie, małe węgorze przechodzą kolejne fazy rozwoju, co również wyróżnia je spośród innych ryb. Po wykluciu młode węgorzyki przeobrażają się w formę larwalną typu leptocéfal. Przez długi czas uważano, że osobliwie wyglądające, przezroczyste, silnie bocznie spłaszczone

i wyposażone jakby w długi dziób larwy węgorza to osobny gatunek ryby, który nazywano *Leptocephalus brevirostris*. Dopiero pod koniec XIX w. przekonano się, że są to młode węgorze. Ze względu na kształt faza ta bywa porównywana do listków wierzby – oczywiście miniaturowych.

Kolejną formą rozwojową jest tzw. węgorz szklisty, określany również jako montee. W tej formie występuje już u wybrzeży Europy. Odławiane kilkucentymetrowe węgorze montee są używane do zarybień rzek i akwenów europejskich. To jedyny sposób zarybiania tym gatunkiem, bo w przeciwieństwie do innych ryb nie umiemy uzyskać ich ikry. Zapewne nie potrafilibyśmy także zapewnić im odpowiednich warunków rozwoju. Pierwszy i najważniejszy etap nadal musi więc wykonać natura.

Dopiero na końcu etapu bycia węgorzem szklistym pojawia się pigment i drobne łuski. W końcu węgorz, choć jeszcze niewielki, zaczyna wyglądać jak węgorz, którego znamy. Do końca metamorfoz jednak jeszcze daleko. Zależnie od zróżnicowanych czynników środowiskowych (co jest jednym ze sposobów na powiedzenie, że nie znamy przyczyn jakiegoś zjawiska) rosące węgorze przybierają formę szeroko- lub wąskogłową. Ostateczna determinacja cech płciowych – a więc definitywne stanie się samicą lub samcem zachodzi wiele lat później, podczas migracji na tarło do Morza Sargassowego.

ZAGADKI STARE I NOWE

Nie wiemy, w jaki sposób węgorze potrafią przepłynąć dwukrotnie w ciągu swojego życia Atlantyk. Przypuszczamy, że wykorzystują prądy morskie, np. Golsztrom, a także potrafią bardzo wydajnie gospodarować swoimi zasobami tłuszczu, znacznie bardziej ekonomicznie, niż czynią to wędrownie ryby lososiowate. To tylko ogólny zarys problemu, oparty na przypuszczeniach, niewiele mówiący nam o nieznanym szczegółach.

Pisząc o sposobie orientowania się węgorzy podczas wędrówki, wskazuje się na fenomenalny węch, pozwalający rozpoznać niewyobrażalnie małe zmiany zasolenia i składu wody, wyczuwanie zmian pola magnetycznego Ziemi, orientowanie się dzięki Księżycowi. Już po samym powyższym zestawie, pojawiającym się w każdym przypadku, kiedy nie wiemy, w jaki sposób zwierzę znajduje drogę – czy jest to migrująca ryba, ptak, czy owad – widać, że od czasów Arystotelesa poczyniliśmy niewielkie postępy w rozwiązywaniu tajemnic węgorza.

Dlaczego w ogóle podejmują tak wyczerpującą i niebezpieczną wędrówkę, jedyną w swoim rodzaju wśród ryb? Powody muszą być zapewne niezwykle ważne, skoro opłaca się ponieść tak wysokie koszty. Podstawą istnienia zwierząt w ich środowisku jest znajomość otoczenia i przystosowanie. Węgorze w ciągu swojego życia dwukrotnie diametralnie zmieniają warunki życia, rzucając się w prądnosiń i dosłownie na głębokie wody. Dodajmy, że po drodze muszą mierzyć się także z zagrożeniami dołożonymi przez

nas: najgroźniejszymi wydają się, jak przypuszczamy, zanieczyszczenia wód i tamy przegradzające rzeki.

Po co tak ryzykować, a nie ograniczyć się do spokojnego życia karpia lub płotki? Odpowiedź, której ciągle nie znamy, kryje się zapewne głęboko w Morzu Sargassowym, a także w fizjologii i biochemii węgorzy.

Krew węgorzy jest toksyczna i w przypadku dostania się do rany ma działanie podobne do jadu niektórych węży. Jej działanie jest zależne od stężenia, jednak nawet niewielkie ilości mogą spowodować zakażenie. Trucizna ta rozkłada się w wyższej temperaturze.

Węgorze są długowieczne. Wiadomo, że żyją kilkadziesiąt, przypuszczalnie nawet 100 lat. Czy mogą żyć jeszcze dłużej? Nie wiemy, istnieją jednak prawdopodobne informacje o padłej niedawno ponad 150-letniej rybie, która żyła w wiejskiej szwedzkiej studni.

A co z wędrowaniem po lądzie? Stare opowieści mówiły o węgorzach, które nocami wypelzały z wody na pola grochu i wyjadały ziarno ze strąków. To nieprawdziwa, choć – trzeba przyznać – malownicza wizja, podobnie jak ta o lelku kozo-doju, ptaku który miał podobno zakradać się do obejść i wypijać mleko z kozich wymion.

Podobno węgorze wypelzają na ląd, żeby polować na żaby lub swoje ulubione dżdżownice rosówki. Podobno także lądem przedostają się z rzek do niepołączonych z nimi zbiorników wodnych. Czy to jest współczesny folklor? Ale prawdą jest, że węgorze niczym tropikalne ryby dwudyszne potrafią przeżyć długi czas na lądzie, poza wodą, i rzeczywiście – jeżeli wypuści się je na lądzie – sprawnie i szybko pelają.

WRÓĆMY DO GRECJI

Jeżeli informacje Arystotelesa o samoródtwie węgorzy, powstających z mułu i błota, wydają się infantylne, mylimy się. Dziś również węgorz mógłby być jedynym przykładem samoródtwa, nikt bowiem nigdy nie był świadkiem składania ikry i tarła tej ryby. Zwróćmy uwagę na inne informacje greckiego filozofa. Pisał on, że nigdy nie złowiono węgorza, który po przeprowadzeniu sekcji miałby żeński lub męski układ rozrodczy. Z właściwą sobie genialną przenikliwością Arystoteles trafił w sedno zagadki ryb z gatunku *Anguilla anguilla* – obecnie wiemy, że węgorze pełną dojrzałość płciową uzyskują podczas wędrówki, a więc wówczas, gdy już pokonały zarówno słodkie, jak i przybrzeżne morskie wody Europy. Wiemy to od niedawna. W wyjaśnieniu wielu innych zagadek dotyczących węgorzy jesteśmy w podobnym punkcie co 2,5 tys. lat temu.

Co to oznacza? Po pierwsze, żeby nigdy nie lekceważyć Arystotelesa. A po drugie, węgorze są polem do popisu dla osób spragnionych odkrywania świata, który wciąż przed nami kryje wiele zagadek.

Poznanie tajemnic węgorzy przyniesie z pewnością wiele niespodziewanych i ważkich informacji z dziedziny nie tylko zoologii, ale także fizjologii i biochemii. Patrząc z dotychczasowej perspektywy, nie należy jednak oczekiwać, by nastąpiło to zbyt szybko.





Czym jest plan urządzenia lasu?

Wielu Polaków nie zdaje się sobie sprawy, że pozyskanie drewna to nie żadna „wycinka”, lecz zaplanowane działanie poprzedzone fachową inwentaryzacją. Rozmiar i sposób pozyskania określa plan urządzenia lasu. Czym jest i jak powstaje?

Gospodarka leśna w Lasach Państwowych jest prowadzona na podstawie planów urządzenia lasu, sporządzanych dla nadleśnictw na 10 lat. Takie plany wykonują specjalistyczne jednostki, m.in. Biuro Urządzania Lasu i Geodezji Leśnej. Na każdym etapie tworzenia planów, konsultujemy się z lokalną społecznością.

WSZYSTKO POD KONTROLĄ

Przygotowanie planu jest zawsze poprzedzone przez dokładną inwentaryzację i ocenę stanu lasu. Specjaliści określają takie jego cechy, jak struktura, budowa, wiek, skład gatunkowy, stan zdrowotny, warunki glebowo-siedliskowe itp. Jednolite pod względem cech płaty to tzw. wydzielenia. Do każdego z nich podchodzi się indywidualnie, projektując sposoby dalszego zagospodarowania i ilość drewna możliwą do pozyskania.

– Rozmiar pozyskania drewna to nie pochodna zapotrzebowania rynku. Gdyby tak było, już dawno nie mielibyśmy lasów, bo moda na drewno i zapotrzebowanie na ten surowiec wciąż rosną – wyjaśnia Józef Kubica, p.o. dyrektora generalnego Lasów Państwowych. – Wielkość pozyskania wynika wprost z możliwości przyrodniczych drzewostanów.

W działaniach przewidzianych w planie uwzględnia się cele gospodarki leśnej i funkcje, które lasy pełnią. Dlatego potoczna i zupełnie nieadekwatna „wycinka” to aż kilkadziesiąt różnych form zagospodarowania. W młodszych drzewostanach to czyszczenia i trzebieże, które rozluźniają strukturę drzewostanów. W dojrzałych – rębnie, które odpowiednio regulują dostęp światła i warunki mikroklimatyczne dla nowego pokolenia drzew.

LASÓW NIE UBĘDZIE

Sam termin „urządzanie lasu” ma ponad 200-letni rodowód. Nazywano tak wprowadzanie pierwszych zasad racjonalnej gospodarki, których podstawą był podział lasu na obręby, ich opis i kreślenie map. Każdy kolejny etap planowania był „rewizją urządzania”. Choć to podejście ma wiekowe tradycje, to współczesne plany wykonuje się, wykorzystując najnowsze osiągnięcia techniki. Dziś podstawowym narzędziem pracy jest mapa

numeryczna, będąca częścią systemu informacji przestrzennej (GIS). Plan urządzenia to gigantyczna baza danych, które mapa przetwarza graficznie. W inwentaryzacji wykorzystuje się zdjęcia lotnicze i satelitarne. W pomiarach zasobności (ilości drewna na hektarze) bywa wykorzystywane skanowanie laserowe. Nie zmienia się jedno – zarówno przed wiekami, jak i dzisiaj plan ma zagwarantować, że lasów nam nie ubędzie. I jak pokazują statystyki – efekt jest. Lasów w Polsce przybywa.

W ślad za rosnącym znaczeniem lasów współczesne plany zawierają coraz więcej elementów. Oprócz opisu lasów i gruntów przeznaczonych do zalesienia, analizy gospodarki leśnej w minionym okresie, integralnym elementem jest dziś program ochrony przyrody. To świadectwo traktowania funkcji przyrodniczych lasu na tym samym poziomie co funkcje gospodarcze i społeczne. W planie znajduje się też miejsce na określenie zadań związanych z pielęgnacją i ochroną lasu, gospodarką łowiecką i tworzeniem infrastruktury leśnej (budynki, drogi).

OBOWIĄZKOWE KONSULTACJE SPOŁECZNE

Plany urządzenia lasu są na tyle istotne, że na etapie ich powstawania wszyscy obywatele mają możliwość wnoszenia uwag. Nadleśnictwa organizują nawet spotkania konsultacyjne, podczas których są prezentowane założenia, a następnie gotowy projekt planu. To dobry moment, by zabrać głos i wspólnie z leśnikami uzgodnić taki sposób zagospodarowania uwzględniający np. walory rekreacyjne miejsc, w których ludzie wypoczywają czy spacerują. Ostatecznie plan zatwierdza minister klimatu i środowiska.

Warto wspomnieć, że podobne reguły planowania dotyczą wszystkich lasów w Polsce. Również prywatnych. Kowalski w swoim lesie powinien realizować plan w wersji uproszczonej, który w ostatnich latach coraz częściej fundują mu Lasy Państwowe.

– Lasy Państwowe corocznie finansują wykonywanie planów, będących pomocą w gospodarowaniu drzewostanami przez milionową rzeszę właścicieli prywatnych – przypomina Michał Gzowski, rzecznik LP. – Wszystko po to, by polskie lasy były zagospodarowywane odpowiedzialnie i zgodnie ze sztuką.

Patrycja Jabłońska

ZOFIA KLAWINOWSKA*

Z Łomży do Ameryki

Z urodzenia jestem łomżynianką. W Łomży urodziła się moja mama i babcia. Kocham to miasto – bo jest pełne uroku, dobrze je znam i sporo tu przeżyłam – ale przyszedł czas, kiedy na dłużej je opuściłam.

Do Stanów Zjednoczonych wyjechałam za chlebem. Pierwszy raz w 1997 r. Dzieci były w maturalnej klasie. Po osiemnastce syna usiadłam z wszystkimi, żeby powiedzieć, że jadę. Wyłądowałam w Kanadzie, u znajomej. Byłam tam pół roku, głównie zwiedzając. Piękny i wielki kraj. Dwie godziny na grzyby jeździliśmy... Oczywiście trafiliśmy też nad Niagarę. I to zimą. Od strony kanadyjskiej wyglądała fantastycznie.

Potem ruszyłam do Stanów, gdzie miałam już załatwioną pracę, ale w wolne dni dużo zwiedzałam. Patrzyłam na wspaniałości zbudowane ludzką i boską ręką. Jak zobaczyłam zapórę Hoovera, dosłownie szczeka mi opadła. Za to Wielki Kanion jest według mnie przereklamowany. Nie umywa się do kanionu De Chelly. Ten robi ogromne wrażenie. Wiatry, które tam cały czas wieją, przenosząc tumany piasku, tworzą z niego niesamowite rzeźby.

Las Vegas, w którym spędziliśmy cały dzień, nie było warte wyprawy. Bezduszne miasto. Za to Park Narodowy Mesa Verde z domostwami zbudowanymi przez Indian w ścianie kanionu... dużo by mówić.

Za oceanem byłam cztery razy. Za pierwszym – 16 lat, kolejne wyjazdy po pół roku. Stany

Lubię Stany nie tylko za możliwości, które dają, i za fantastyczne miejsca, ale też za luz. Nigdy się tam nie bałam chodzić nocą (choć po pandemii to się zmieniło). Kiedy mieszkałam w USA, potrafiłam wziąć sobie dwa dni wolnego i pojechać np. z Nowego Jorku na Florydę. Samochodem – 28 godzin. Nie jestem kierowcą, więc wybierałam w agencji turystycznej samochodowe wycieczki.

Teraz wracam do Ameryki, żeby odwiedzić dzieci, które mieszkają w Nowym Jorku, ale nie siedzimy w mieście. Jak tylko możemy, jeździmy na łono natury: do wspaniałych ogrodów botanicznych albo parków narodowych czy wodnych. A jak zostajemy w mieście, to idziemy do Central Parku. Tyle tu jest pięknych zakątków. I ludzie siedzą na trawnikach, i dorożki jeżdżą – co komu potrzeba...

Poza Stanami też podróżowałam, ale to już w ostatniej dziesięciolecie, kiedy rozliczyłam się z wszystkimi zobowiązaniami w pracy i w rodzinie. Odwiedziłam m.in. Ziemię Świętą i Włochy.

Byłam w Medjugorje. Znajomy ksiądz robił doktorat i chciał nam pokazać, co jest piękne i warte poznania w tamtym rejonie. Polecieliśmy samolotem w osiem osób, a na miejscu jeździliśmy wynajętym samochodem. Połączyliśmy doznania duchowe ze zwiedzaniem. O czwartej rano się wstawało. Zaczynaliśmy dzień mszą św. To był czas dla duszy, a potem ruszaliśmy w trasę.

Co zrobiło na mnie największe wrażenie? Widziałam młodzież, ludzi w średnim wieku i starszych. Maszerujących facetów – takich dobrze zbudowanych, żeby nie powiedzieć – napakowanych. I każdy miał różaniec w rękę. Niezależnie od tego, czy ktoś przyjechał się modlić, czy zwiedzać, różaniec towarzyszył wszystkim bez wyjątku. To było poruszające.

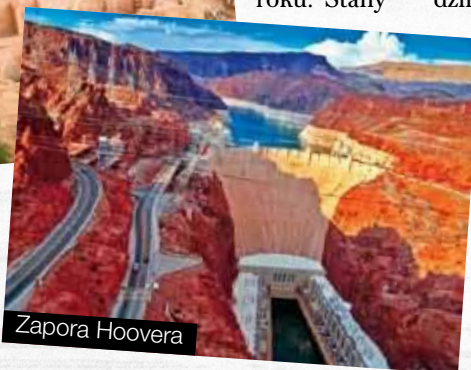
Jolanta Gajda-Zadworna

*Królowa czwartego sezonu programu „Sanatorium miłości”

Park Narodowy Mesa Verde

Zapora Hoovera

mnie zachwyciły także dlatego, że zdecydowałam się lepiej je poznać. Tam, jak chcesz, to pracujesz od rana do nocy przez siedem dni w tygodniu. Twój wybór, ale można też znaleźć czas na inne doświadczenia. Ja co roku byłam na pielgrzymce pieszej do amerykańskiej Częstochowy, w pobliżu Doylestown w Pensylwanii. Szliśmy cztery dni przez trzy stany. Nigdy nie miałam problemu, żeby wziąć wolne z pracy.





SŁODKO-SŁONY

Mój ulubiony bez

ANNA MONICKA

Moje do niedawna ulubione pola do spacerów rozciągały się między staruteńkimi miastami Recz i Choszczno. Jak posiali tu facelię, to miałam wrażenie, że faluje jak morze. Jak pola rzepaku – to ciągnęły się po horyzont. Przy piaszczystych drogach rosły mirabelki, ałycze, tarniny, szklanki, teraz już zdziczałe, ale wciąż obsypujące się kwiatami i kwaśnymi owocami. Pobocza asfaltówek porastały wielkie, stare drzewa, które przyjemnie zacięniały topiący się w upale asfalt. Tu podziwiałam remizy zostawione pośród łąnów i cieszyłam się, że ludzie jednak mają swój rozum i potrafią docenić myśl techniczną poprzednich właścicieli tych ziem, którzy nawadniali pola, przed domami sadzili orzechy, a drogi obsadzali owocowymi żywopłotami, żeby dzikie zwierzęta miały gdzie się schronić latem. Zimą zaś śnieg z pól tak nie leciał na drogi. Miałam nawet na trasie ulubiony zakręt na morenowym pagórku porośniętym malinami. Gdy zostawiałam go za plecami, przekraczałam zawsze wyimaginowaną granicę między światem codziennych obowiązków i tyrką a krainą wakacyjnej szczęśliwości.

Wszystko jednak do czasu. Ostatnio nie poznałam ulubionej drogi. Otóż wyrąbano wszystkie drzewa. Po drodze nie zauważyłam kilku stawów śródpolnych, bo wyschły. A przy drodze prowadzącej do domu ciotki nowy gospodarz wyciął wszystkie owocowe drzewka, bo przeszkadzały zawracać kombajnom. Poczułam się tak, jakby ktoś ugodził mnie w serce. Ażyl, do którego uciekałam z miasta, zmienił się nie do poznania. Najbardziej szkoda mi czarnych bżów, bo zawsze robiłam syrop z kwiatów. Na szczęście kilka krzaków zostało u mojej mamy, są na naszym terenie, więc nikt nie odważy się ich ruszyć.

Bży będą jeszcze trochę kwitły, więc zróbcie to, co ja – nzbierajcie, ile wlezie. Część zaszuszczie na zimowe herbaty, a resztę porządnie oczyszćcie z zielonych szypulek i zalejcie przegotowaną gorącą wodą tak, żeby przykryła kwiaty. Zostawcie na noc, niech wywar dobrze naciągnie, a potem przedzćcie, dosłodzćcie (mniej więcej kilogram cukru na 2 litry), doprawcie sokiem z cytryny i na gorąco wlejcie do wyparzonych słoików. Latem wirusy trochę przycichły, ale jesienią taki przeciwwirusowy syrop może się bardzo przydać. 

Fot. Archiwum autorki, Shutterstock



WILCZYM OKIEM

Uszak bżowy

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Każdy organizm ma w przyrodzie konkretną rolę do odegrania i jest niezbędny, by ekosystem ziemski zachwycał różnorodnością, zmiennością, ale przede wszystkim – by połączony przyrodniczymi zależnościami świat prawidłowo funkcjonował. Są jednak organizmy, które na pierwszy rzut oka są stworzone po to, by wzbudzać zainteresowanie swoją oryginalnością. Na przykład uszak bżowy.

Uszak bżowy *Auricularia auricula-judae*, nazywany też uchem bżowym lub uszakiem judaszowym, to należący do podstawczaków grzyb występujący na starych pniach i gałęziach bzu czarnego, rzadziej na drewnie klonów i innych drzew liściastych. Owocniki tego grzyba pojawiają się przez cały rok, o ile nie ma mrozu i jest wystarczająco wilgotno.

Uszak bżowy, będący gatunkiem rozpowszechnionym w wielu zakątkach świata, jest jadalny. Używa się go często w kuchni dalekowschodniej – jest tam nie tylko zbierany, ale nawet uprawiany dla celów kulinarnych.

Cechą uszaka jest zdolność do kilkukrotnego kurczenia się podczas wysychania, a następnie, gdy wilgotność otoczenia zwiększy się, do odżywiania, pęcznienia do pierwotnych rozmiarów i dalszego wzrostu. Nie to jest jednak najciekawsze.

Uszak jest koloru brązowego, o konsystencji chrząstkowatej. Wyglądem do złudzenia przypomina ludzką małżowinę uszną. Wielkością zresztą też. Wrażenie to potęguje fakt, że owocnik uszaka z wierzchu jest pokryty delikatnym zamшем, a wewnątrz jest gładki. Ma też fałdowate zgrubienia, co jeszcze bardziej upodabnia go do naszego narządu słuchu.

Uszak bżowy nie ma w zasadzie smaku i nie jest zbyt pożywny. Dlaczego jest jadany? Być może zaspokaja wspomnianą ludzką potrzebę poszukiwania niezwykłości. Zebrane i wysuszone uszaki są małe, kruche i łamliwe. Po namoczeniu odzyskują wielkość, konsystencję i kształt. Chociaż nie dodają potrawie smaku, to z pewnością swoim wyglądem uszu pływających np. w zupie – dodają jej oryginalności.

A może, parafrazując stwierdzenie o pięknie, które zachęca do pracy koniecznej do zmartwychwstania, można by zaryzykować stwierdzenie, że rolą różnorodności przyrodniczej jest właśnie zachwycenie nas, byśmy przyrodę chronili? 

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Obsesja, furia, lanie wody

Zadałem sobie trud (dzięki, Tadeuszu!) odsłuchania wykładu Donalda Tuska wygłoszonego trzy tygodnie temu w Instytucie Politologii Uniwersytetu Wrocławskiego. Moderator dwukrotnie dowodził spotkania z „niezwykłym gościem”, a prorektor i dziekan nie szczędzili serdecznych słów pod adresem Tuska – „szczególny zaszczyt”, „drogi gościu” itd.

Wykład Tuska zatytułowany „Wojna i pokój” posłużył m.in. do krytyki Donalda Trumpa i polityków francuskich – Marine Le Pen, Jeana-Luca Mélenchona, domagających się ponoć wycofania Francji z NATO i będących ponoć szczerymi zwolennikami Władimira Putina. Wykład miał też przekonywać publiczność, że Tusk usilnie przeciwstawiał się budowie Nord Stream i zawsze krytycznie oceniał politykę Putina. Oprócz grzecznie podanych kłamstw zawierał wiele ewidentnych uproszczeń i publicystycznych skrótów i nie wniósł niczego nowego do naszej wiedzy o międzynarodowej polityce, bo nie o to chodziło. Ważniejsze miały być pytania od „świetnej, krytycznej młodzieży”, jak ją zachwalał prof. Tomasz Kalisz, a jeszcze ważniejsze miały być odpowiedzi Tuska. Nie padły pytania o likwidację OFE, kontakty Tuska z Putinem, śledztwo smoleńskie, przykłady rzekomego łamania konstytucji przez PiS.

Pierwsze pytanie studenta politologii warto jednak zacytować w całości: „Panie premierze, jeżeli jutro opozycja wygra wybory i zacznie rządzić, to czy jest pan za tym, by Kaczyński, Ziobro, Kamiński stanęli wreszcie przed Trybunałem Stanu?”. Pytanie nagrodzono brawami, co zachęciło Tuska do deklaracji: „Moim zadaniem jest doprowadzenie do politycznego przełomu, w którym będzie możliwe pociągnięcie do odpowiedzialności tych, którzy w różny sposób, moim zdaniem jawny i bezwstydnym, łamali prawo, w tym konstytucję. Moim zadaniem jest przejęcie władzy i przywrócenie w pełni autonomicznej prokuratury i sądów”. Tusk zapowiedział liczne śledztwa i procesy karne. Oczywiście przykładów łamania prawa i konstytucji nie podał poza jednym, łączącym nazwisko byłego ministra zdrowia z handlarzem bronią, od którego rząd zakupił respiratory. Dęta sprawa, bez podstaw do ingerencji prokuratury i sądów, ale dla „totalnej opozycji” najważniejsze jest powtarzanie negatywnej zbitki pojęciowej: „respiratory, minister, handlarz bronią”.

Kokietowanie i schlebienie młodzieży to dla Tuska zabieg wyłącznie propagandowy. To także doskonała okazja do uderzenia w Jarosława Kaczyńskiego. Choćby taka wypowiedź: „Chciałbym, by dziewczyna, która decyduje się na macierzyństwo, nie była zaszczuta jakimiś kretyńskimi pomysłami

i działaniami, żeby kobieta poczuła się wreszcie w Polsce w pełni obywatelem, wolnym od przemocy i takiego dyktatu, szczególnie ze strony starych facetów, którzy nie mają pojęcia o rodzinie, nie mają pojęcia o macierzyństwie, a chcą wszystkim sterować”. Ta wyjątkowo fałszywa i nieuczciwa wypowiedź także została nagrodzona wielkimi brawami. Wrogiem pozostaje wciąż niewymieniony z nazwiska „stary facet”, o którym wszyscy wiedzą, że jest szefem rządzącej partii; a to człowiek bez prawa jazdy, karty kredytowej, konta w banku, ale – co podkreślił Tusk – „właściciel domu”, gdy tymczasem on (Tusk) ma tylko 60-metrowe mieszkanie. O swoich gigantycznych zarobkach w Unii Europejskiej oraz 30 tys. miesięcznej emerytury jakoś nie wspomniał.

Słuchając Tuska, miałem wrażenie, że zgromadzona tam młodzież jest już urobiona antypisowsko, podejrzewam, że zgodnie z oczekiwaniami nauczycieli akademickich. Powraca atmosfera z kampanii wyborczej w 2011 r., która zapewniła Tusкови powtórne sprawowanie władzy. I dlatego tamten język polityki do dziś uważa on za najskuteczniejszy. Pod koniec wspomnianej kampanii PO zachęcała do wyborów spotem „Oni pójdą na wybory, a ty?”. „Oni” to była wymyślona przez Tuska „moherowa koalicja”, symbol zafobania, skrajnych poglądów, środowisko „obciachu”.

Tusk nie rezygnuje z dyskredytowania swoich przeciwników politycznych. Ma do dyspozycji liczne media prywatne, ale już nie publiczną telewizję. Tę, która w 2011 r. najprzychylniej oceniała polityków PO, stąd stale obecny w wypowiedziach Tuska atak na TVP Info za przypominanie jego „hołdu pruskiego”.

Ciekawą uwagę podzielił się ostatnio z telewidzami prezes PiS Jarosław Kaczyński:

„Sądzę, że [Donald Tusk – przyp. red.] przygotowuje coś w rodzaju wojny domowej w Polsce”. To jest całkiem możliwy scenariusz. Dla PO przyszłoroczne wybory są ostatnią szansą na przejęcie władzy, a ponieważ „totalna opozycja” ma wsparcie w organach UE, możliwe jest coś na kształt wojny domowej i wojny z UE, która już się od lat toczy. Dlatego Tusk dąży do stworzenia jednego, wspólnego antypisowskiego bloku, w którym znalazłyby się wszystkie środowiska walczące z PiS.

Od władz uczelni oczekuję zaproszenia na spotkanie z młodzieżą polityka z rządu lub kogoś z prawej strony sceny politycznej – dla równowagi, bo chodzi o to, by młodzieży nie robiono wody z mózgu. Tylko czy „urobiona” przez dominujące w Polsce lewicowo-liberalne media młodzież zechce na takie spotkanie przyjść?

www.wojciechreszczyński.pl



Nowa solidarność

Niedawno rezydujący w Polsce ambasadorzy z inicjatywy niezawodnego Marka Brzezinskiego napisali oświadczenie, a właściwie list do społeczności LGBT (plus reszta alfabetu). Dziękują w nim tej mniejszości za włączenie się do akcji pomocy Ukraincom. Ze zdumienia zbładłem, bo nijak nie umiem pojąć, dlaczego tej właśnie grupie dziękowano. Jaki był jej udokumentowany wkład w pomoc uciekinierom i w czym był lepszy, ważniejszy od pomocy niesionej przez bezczelnych heteryków albo rudych, zezowatych czy modelarzy? Rozumiem, że ta odezwa to uhonorowanie Miesiąca Dumi, który środowiska odmienne seksualnie ogłaszają co roku. A jeśli tak, to gdzie są gratulacje i podziękowania za pomoc braciom ze Wschodu składane w Dzień Metalowca, Dzień Honorowych Dawców Krwi, Święto Wojska Polskiego, Dzień Kobiet? Dlaczego Mr. Brzezinski o nich nigdy nie wspomniał? Co takiego wyjątkowego jest w grupie kochających inaczej, że aż ambasadorowie piszą do nich odezwy? Chyba istotą tego na wskroś idiotycznego listu jest jedna fraza: „Wyrażamy uznanie zarówno dla ciężkiej pracy społeczności LGBTQI+ i innych społeczności w Polsce i na całym świecie, jak i dla pracy wszystkich ludzi, których celem jest zapewnienie przestrzegania praw osób LGBTQI+ oraz innych osób stojących przed podobnymi wyzwaniem, a także zapobieganie dyskryminacji, w szczególności tej motywowanej orientacją seksualną czy tożsamością płciową; to kwestia, którą wszyscy powinni wspierać”. Na Boga wszechmogącego, litości!!! A które z praw przysługujące ludziom spoza tej zbiorowości nie jest przestrzegane?! W którym miejscu jest łamana nasza ustawa zasadnicza?! Na czym polega owa „ciężka praca”?!

Czy rezydujący w Polsce dyplomaci nie zdążyli jeszcze zweryfikować, że „strefy wolne od LGBT” to kłamstwo i hubbug?! Tacy z nich przenikliwi analitycy życia w kraju, w którym pracują? Co za zdumiewająca solidarność ambasadorów, solidarność, której tak dotkliwie im brakuje przy rozwiązywaniu ogromnej tragedii europejskiej – wojny na Ukrainie. A gdzie solidarne podziękowanie wszystkich ambasadorów skierowane do narodu polskiego, a nie tylko do jego mikroskopijnej grupy?

Kraje Unii Europejskiej potrafią być solidarne. Widzimy to gołym okiem i bez szczegółowych analiz. Zwłaszcza na forum Parlamentu Europejskiego. Tam od lat trwa konse-



**Aleksander
Nalaskowski**

*Gdzie solidarne
podziękowanie wszystkich
ambasadorów skierowane
do narodu polskiego, a nie tylko
do jego mikroskopijnej grupy?*

kwentne i zdumiewająco solidarne tępienie wszystkiego, co polskie, każdego aktu świadczącego o naszej niepodległości. To solidarna nienawiść do Polski i Polaków, to stosowanie wobec naszego kraju innych praw niż np. wobec Niemiec, w których politycy wybierają się dziów i nikt nie myśli tego zmieniać. To także nakładanie niedorzecznych kar, blokowanie jakichś tam funduszy i stworzenie głupiej listy, jeszcze głupszych „kamieni milowych”, wśród których brakuje tylko zapisu, że wszyscy nasi obywatele mają się ufarbować na rudo.

Solidarni są też polscy renegaci. Zgodnie namawiają Unię, by nie tylko Polsce nie pomagała, lecz nade wszystko nam przeszkadzała. Widzą gołębia, wiedzą, że to gołąb, ale im bardziej to wiedzą, tym głośniej krzyczą, że to kangur. Solidarnie wymiotowali patriotyzm, przyzwoitość i prawdę.

Niemal codziennie przez ćwierć wieku po parę godzin byłem w lesie. Znam las, rozumiem las. Oglądałem go z wysokości końskiego grzbietu, a wtedy dużo więcej widać. I pewnie dlatego nie rozumiem solidarnej drwiny i rehotu mainstreamu z propozycji otwarcia możliwości legalnego zbierania chrustu opałowego.

Są go w polskich lasach nieprzebrane ilości. Jest dobrem niechcianym, a mógłby być pożyteczny. Niechaj drzewo, które już stało się drewnem, służy nam do końca, niech daje ciepło. Na podlaskich wsiach, które są nowocześniejsze i bogatsze, niż się sądzi, zbieranie chrustu na zimę nikomu nie urąga, bo świadczy o zapobiegliwości i szacunku dla tego, co nam natura daje. Ale nie dla „warszawki”, która widzi w tym złośliwość rządzących. Jak zresztą we wszystkim innym.

W czasie jednej z debat w Parlamencie Europejskim prof. Ryszard Legutko wykrzyczał w twarz eurodurniom, że nie mają zielonego pojęcia o kraju, o którym dyskutują, że o Polsce nic nie wiedzą. Trafił w sedno sedna. Ale to było wołanie na puszczy. Tam większość to ludzie z teflonu, po których spłynie dosłownie wszystko. Bezpośrednio po profesorze wystąpił jakiś bubek, który odczytał z kartki tę samą mantrę o naszej niepraworządności. Ręce opadają.

I już chyba nigdy nie pojmę, dlaczego solidarność wobec zła, głupoty, cynizmu jest silniejsza niż solidarność wobec dobra. My, Polacy, mamy prawo o to pytać, bo w sierpniu 1980 r. nazwaliśmy to, co robimy od 24 lutego 2022 r. I tak trzymamy.



JAN POSPIESZALSKI

Taniec na trumnach

Nie da się godzić szacunku dla mężczyzn, którzy z narażeniem życia bronią ojczyzny, z fanaberiami i pajacowaniem facetów w szpilkach i rajstopach

Tegoroczna parada w Warszawie, różnorodności czy dumy, idzie pod hasłem „Kijów–Warszawa”. Jest coś dziwnego, a właściwie smutnego, że tragiczną rzeczywistość, jaką jest wojna, i bezmiar cierpień, które za sobą niesie, połączono z tego rodzaju maskaradą. Ukraina walczy, przelewa krew. Po obu stronach giną ludzie, są liczne ofiary cywilne. Obrona ojczyzny przed inwazją wroga to służba i poświęcenie dla innych. Gotowość oddania życia dla dobra wspólnego, w imię niepodległości ojczyzny, w obronie rodzin, żon, dzieci. W obronie swojej tożsamości narodowej, w obronie rodzimej kultury i tradycji.

Tymczasem większość przekazów politycznego tęczowego ruchu to próba narzucenia własnej antykultury, rewolta społeczna, wybór skrajnej indywidualności, egoizm, narcystyczna postawa realizacji swoich najbardziej dziwnych upodobań. Dlatego coś mi tu się nie klei. Czy można łączyć odwagę i waleczność żołnierzy ukraińskich z tym, co widać wśród uczestników parady – z obrazami przetrąconej męskości, ze zniewieścieniem i z obleśnymi przebieiraćmi?

Tymczasem na froncie tęczowo nie jest. Od jakiegoś czasu widać postępy wojsk rosyjskich i uzyskiwanie przewagi. Z czego to wynika? Z różnicy

potencjału. Oczywiście liczy się uzbrojenie, ale przede wszystkim decydują większe zasoby ludzkie, czyli rosyjska przewaga populacyjna. A wszystko, co niesie za sobą skrajnie hedonistyczna i egoistyczna antykultura, ideologia gender, płynne identyfikacje płci itp., jest zaprzeczeniem prawa naturalnego. Jest wrogię rodzinie i wrogię budowie potencjału demograficznego. Przecież miejscem, w którym pojawia się nowe życie i jest też kształtowana postawa społeczna – nowy obywatel i potencjalny obrońca – jest właśnie pełna rodzina, którą tęczowi chcą rozsadzić i unieważnić. Historia dowodzi, że przez rozwiązłość obyczajów i nieład społeczny rozkładowi od środka ulegały całe cywilizacje. Elementarna dyscyplina intelektualna sprawia, że nie da się godzić szacunku dla mężczyzn, którzy z narażeniem życia bronią ojczyzny, z fanaberiami i pajacowaniem facetów w szpilkach i rajstopach.

Często słyszę, że owszem, należy wspierać rodzinę, ruchy pro-life, ale procesy kulturowe zapoczątkowane rewolucją seksualną, które przybrały formę agresywnej propagandy gender/LGBT+, są nieuchronne. Że są jakąś dziejową koniecznością. Jak działa „nieuchronność dziejowa”, na własnej skórze odczuł prezydent Zelenski, który po wizycie kanclerza Niemiec, prezydenta Francji i premiera Włoch musiał szybko podpisać skrajnie ideologiczny, antyrodzinny dokument, którym jest konwencja stambulska. Wobec żniwa śmierci narodu ukraińskiego europejskie elity, wciskając w pakiecie konwencję, pokazały, co naprawdę jest dla nich ważne.

Dowodem na to, że konieczność dziejowa ma swoich wykonawców również w Polsce, jest list poparcia, który wystosowali dyplomaci do organizatorów parady. Oto początek: „Z okazji Miesiąca Dumy chcemy wyrazić nasze poparcie dla starań o uświadamianie opinii publicznej w kwestii problemów, które dotyczą społeczność gejów, lesbijek, osób biseksualnych, transpłciowych, queer i interpłciowych”. Skoro ekscelencje ambasadorzy popierają uświadamianie opinii publicznej, zwróć uwagę na problem osób trans.

Tranzycja płci nie przynosi ulgi ani szczęścia – zrobienie z kobiety atrapy faceta lub z mężczyzny atrapy kobiety okalecza, zmienia wygląd, lecz nie usuwa problemu. Dotarłem do świadectw ludzi po tranzycji, którzy są jeszcze bardziej nieszczęśliwi, zagubieni i osamotnieni. Sporo z nich żałuje i próbuje dokonać detranzycji. Wielu procesuje się o odszkodowania z klinikami, które ich pozbawiły płodności. Badania Szwedzkiego Królewskiego Instytutu w Sztokholmie pokazują, że liczba samobójstw w grupie ludzi, którzy poddali się zabiegom, jest 19-krotnie wyższa niż średnia w populacji. Widząc na ulicach roztańczone, euforyczne platformy muzyczne, pamiętajmy, że pod lukrowaną powłoką często kryją się ludzkie dramaty, ból, osamotnienie. Nie chcę generalizować ani nikogo obrażać, ale poznałem historię osób, które rzucając się w wir takiego życia, chcą uciec od poranionego dzieciństwa, od kompleksów, niezdolności budowania trwałych relacji, od nieustannej pogoni za akceptacją.

Skutki szariatu PiS

Najwybitniejsi polscy socjologowie zostali zaskoczeni ogromnym wzrostem rozwodów, wręcz na niespotykaną skalę. Wybuchł on w naszym kraju nagle kilka miesięcy temu. Podczas gdy do tej pory, licząc od ostatnich trzech dziesięcioleci, Polska zajmowała w Europie jedno z ostatnich miejsc, jeśli chodzi o liczbę rozwodów w przeliczeniu na 100 tys. zawartych małżeństw, to w ciągu ostatnich kilku miesięcy liczba ta poszybowała w górę o kilkaset procent. Początkowo nikt nie potrafił wyjaśnić przyczyn tego zjawiska. Tajemnica wyjaśniła się niedawno dzięki popularnemu stołecznemu dziennikowi, który skłonił do zwierzeń Stefana Paprotę, rachmistrza obrachunkowego.

Oto jedna z jednostkowych historii, przybliżająca społeczny, polski fenomen, opowiedziana z punktu widzenia dwojga bohaterów.

ONA. – Zuzia, mówię ci, jakby przeszył mnie prąd, kiedy mi to powiedział. Chyba dojrzał i zrozumiał, że znalazł we mnie kobietę swojego życia. Ostatnio niepotrzebnie zwątpiałam – podzieliła się swoją radością Kinga Rosół. – Niemożliwe! Stefan? – zareagowała przyjaźnie Zuzanna.



**Jerzy
Jachowicz**

– A ktośby inny. Wiesz, że tylko on się dla mnie liczył – kontynuowała Kinga. – Wreszcie. Po czterech latach zwodzenia. Tajnych, ukradkowych randkach w tanich hotelikach i podmiejskich biwakach, by Stefan nie natknął się na znajomych. Zdobyłam się na udawany chłód, pytając: „Powiedziałaś już żonie?”. Musiałam to zrobić, bo pamiętałam doskonale, jak co pół roku obiecywał: „Syrenko ty moja najśłodsza, niech podczas najbliższej burzy trafi we mnie piorun i prądem przeszyje na amen, jeśli do końca kwartału nie powiem Róży, że chcę rozwodu”.

ON. – Kiedy usłyszałam, co powiedział w tę pamiętną sobotę czerwca Donald Tusk, wiedziałem już, że nie mogę dłużej zwodzić Kingi. Ryzykować. Tyle razy ją zapewniałem, że przy niej czuję się jak rozkwitający na wiosnę kwiat. Jak będzie wyglądało moje życie, jeżeli władzę utrzyma PiS i wprowadzi zakaz rozwodów, jak twierdzi Tusk. W gruncie rzeczy unieszczęśliwię troje ludzi: ukochaną Kingę, delikatną Różę i siebie. Czy mogę dopuścić, by PiS miał taką satysfakcję?!

– W żadnym wypadku – skwitował dziennikarz.

Z Warszawy na światowe sceny

Jestem szczęśliwa, liczę, że warszawskie zwycięstwo przyniesie mi szczęście i da nowy napęd karierze – powiedziała ormiańska sopranistka Juliana Grigoryan chwilę po odebraniu Grand Prix II. Międzynarodowego Konkursu Wokalnego im. Stanisława Moniuszki



**Adam
Ciesielski**

Arcytalentowana 24-latką w finale, obok arii Cio-cio-san z IV aktu opery „Madame Butterfly” Pucciniego, rewelacyjnie zaśpiewała recytatyw i cavatinę „Ha! Dzieciątko nam umiera... O mój maleńki” tytułowej bohaterki „Halki” – słynnego dzieła patrona konkursu. Ten sam fragment wybrała zdobywczyni I nagrody w kategorii głosów żeńskich oraz nagrody publiczności – ciemnoskóra Nombulelo Yende z RPA (młodsza siostra Pretty Yende, gwiazdy nowojorskiej MET).

Popularyzacja dzieł Moniuszki, a także innych polskich kompozytorów, przyświeca konkursowi od chwili powołania go w 1992 r. z inicjatywy legendarnej Marii Foltyn. Renomę imprezy podkreśla lista dotychczasowych laureatów i finalistów, m.in. Aleksandra Kurzak, Urszula Kryger, Małgorzata Walewska, Mariusz Kwiecień, Jakub Józef Orliński – by przypomnieć tylko niektóre rodzime nazwiska. Ostatni z wymienionych, kontratenor odno-

szący właśnie wielkie sukcesy na świecie, dał podczas wieczoru finałowego recital z towarzyszeniem pianisty Michała Bieli. O podobnych osiągnięciach

myśli rozpoznawalny już w Europie polski baryton Szymon Mechliński, który – *ex aequo* z ukraińskim basem Wołodymyrem Tyshkovem – zdobył II miejsce w kategorii głosów męskich (I nagrody nie przyznano).

W kilku ostatnich edycjach konkursu magnesem przyciągającym młodych wokalistów jest też skład jury, w którym obok znanych śpiewaków zasiadają impresariowie wielkich scen i agencji koncertowych, takich jak Metropolitan Opera czy Covent Garden. Przewodniczącym jury był tym razem John Allison, redaktor naczelny magazynu „Opera”, recenzent brytyjskiego dziennika „Daily Telegraph”, znawca i propagator muzyki polskiej, ze szczególnym wyróżnieniem twórczości Stanisława Moniuszki.



11. Międzynarodowy Konkurs Wokalny im. Stanisława Moniuszki
Tatr Wielki – Opera Narodowa,
6–11 czerwca 2022

Rysuje **Jerzy Wasiukiewicz**



TRENDY I OWĘDY

Kamienie milowe

*Europa drży w posadach,
ale jedno jest constans
– szantażowanie Polski
przez Unię Europejską*

Cały czas nie otrzymujemy z UE funduszy przeznaczonych na Krajowy Plan Odbudowy. W ramach tego programu należy się nam 106,9 mld zł (23,9 mld euro) w postaci dotacji i 51,6 mld zł (11,5 mld euro) w formie preferencyjnych pożyczek. Pieniądze te są przeznaczone na odbudowę gospodarki po pandemii. Ale my cały czas nie spełniamy warunków. To znaczy pandemię mieliśmy, jednak to zdecydowanie za mało.



**Ryszard
Makowski**

Niby coś się przeciera na brukselskich salonach i już, już jest coraz bliżej do marchewki, ale kij cały czas pozostaje w pogotowiu i został nazwany kamieniami milowymi. Tych kamieni milowych jest ok. 300. Najistotniejsze: likwidacja Izby Dyscyplinarnej, reforma systemu dyscyplinarnego sędziów i przywrócenie do orzekania sędziów zwolnionych ponoć niezgodnie z prawem.

Warto zaznaczyć, że środki z KPO tak naprawdę nie mają nic wspólnego z wymiarem sprawiedliwości. Gros z nich ma być przeznaczony na zieloną energię i zmniejszenie energochłonności, zieloną, inteligentną mobilność czy transformację cyfrową. Inne sektory: odporność i konkurencyjność gospodarki, a także efektywność, dostępność i jakość ochrony zdrowia. Składając sfery podlegające dofinansowaniu i wymogi, by to dofinansowanie otrzymać, widzimy dokładnie, że się w ogóle nie zająbiamy. Wprost przeciwnie, wymaga się od nas spełnienia warunków niebędących w kompetencji organów europejskich. Konkludując – żeby zniwelować koszty pandemii COVID-19, musimy pielęgnować zarazę w wymiarze sprawiedliwości. 

Michał Korsun prezentuje:
Klaudia Jachira w *Sejmie*



Wycinki z przeszłości

Za nami Dzień Ojca, wiele miłych życzeń i wspomnień. Z pisma „Wiarus” z 1937 r. wybieramy jednak dowcip rysunkowy, który złośliwie komentuje rozdźwięk między czynami a słowami ojca. Kto był rodzicem ten wie, że i tak bywa.

Jeszcze jeden dowcip z ojcem w roli głównej z tego samego pisma.

- Tatusiu, co to jest echo?
- Echo, moje dziecko, to jest jedyna możliwość, w której można mieć ostatnie słowo u mamusi.

(mk)



Z cyklu „Szukajcie, a znajdziecie...”

„Odkrycie czerwcowe”

Na końcu czerwca we wsi Dosłońce
Na skraju pola w kolonii maków
Jeden był taki

– Zajrzałem
– Kolana się ugięły na widok
majestatu



Leszek Długosz

– W rozchylonym wnętrzu makowego pawilonu
Na najdelikatniejszych we wszechświecie poduszkach
– Nie ma słów żeby oddać subtelność materii
Barw walory
Leżał sobie – czyli mieszkał
Zieloniutki jak zielony groszek
Konik polny

W letnie popołudnie kołysał się rozmarzony
Jak ktoś na hamaku
– Rewelacja!

To znaczy więcej niżby zobaczyć
Motyla na różę?

Mrówkę w przepastnych kanionach piwonii?

To może – jakby maharadzę ujrzyć

W czarodziejskim pałacu

– W zaczarowaną godzinę wschodnich ceremonii?

Pomyśleć

Umarłbym, nie odkrywając obok

Możliwości i piękna takiego tu

Ziemskiego locum

O lato...

Dniu po horyzont zbożem falujący

Wzgórze, gdzie pod kaskadą bzu czarnego

Z wiatrem w objęciach się barłozę

– Czy to nie na pamiątkę czerwcowych pocałunków

Ziemi i Słońca

Dosłońce... nazwę na tobie ktoś położył?

Lato

Dniu i godzinie...

I ty, zielony maharadzo

W makowym swym pałacu

W taką to chwilę wszystko to jest moje?

– W tę oto chwilę...

Zamów Prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIĘCI	82 zł	149 zł	265 zł
wSIĘCI HISTORII	–	34 zł (3 wydania)	59 zł (6 wydań)
pakiet SIĘCI i wSIĘCI HISTORII	–	169 zł (w tym 3 wydania wSIĘCI HISTORII)	295 zł (w tym 6 wydań wSIĘCI HISTORII)

*dane do przedruku w stopce redakcyjnej

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Standard faktoodporności

Są w Polsce ludzie, którzy cechują się wysokimi standardami moralnymi. Niekiedy tak wysokimi, że mało kto w naszym kraju – może za wyjątkiem ich środowiska – potrafi tym standardom sprostać.

A skoro Polska i Polacy takim standardom sprostać nie potrafią, to nie wystarczy nas tylko krytykować. Należy czynić coś więcej: potępiać i piętnować – najlepiej na arenie międzynarodowej. Bo przecież wiadomo, iż nic tak skutecznie nie prowadzi do doskonalenia moralnego jak publiczne – w dodatku wsparte przez autorytety międzynarodowe – stawianie pod pręgierzem.

Krytykowano zatem z wielkim zaangażowaniem i przekonaniem Polaków za ksenofobię, czyli niechęć do obcych. Głosicielom tezy o naszej ksenofobii nic nie przeszkadzało, iż od lat mieszkano u nas i pracowało ponad milion Ukraińców, ani to, że przez ogromną większość Polaków byli oni akceptowani i często szanowani jako solidni pracownicy.

W Polsce nie musieliśmy budować przejściowych obozów dla wojennych uchodźców, jak to dzieje się w wielu krajach Zachodu. Przyjeśliśmy ich do swoich mieszkań i domów. Czy obecnie, gdy masowa i szybko zorganizowana – oddolnie, indywidualnie, przez NGO oraz przez instytucje państwa – pomoc zadała kłam przekonaniu o głębokiej ksenofobii Polaków, ktoś przeprosi?

Ale głosiciele mitu o ksenofobii Polaków z chęcią lansowali ideę dodatkową – o rzekomo proputinowskich skłonnościach obecnej władzy państwowej. I w tym przypadku czysto propagandowy charakter tej tezy został już wyraźnie odsłonięty. Kierownictwo polskiego państwa nie tylko bez wahania potępiło agresję na Ukrainę. Od pierwszych dni wojny polskie państwo uruchomiło – jawne i dyskretne – wsparcie wysiłku obronnego naszego wschodniego sąsiada.



*Mitotwórcom przekonanym
o swojej moralnej
wyższości najwidoczniej
nie przeszkadza brak
poszanowania dla
faktów ani zasad logiki.
Taka to wyższość*

Pomoc dla Ukrainy była organizowana tak szybko, jak się dało – a przecież działając w interesie Putina, łatwo można by ją opóźniać. Nie ma w Europie kraju, który w większym stopniu niż RP byłby hubem pomocowym i logistycznym. Według danych z połowy czerwca 2022 r. wsparcie wojskowe, które nasz kraj dostarczył Ukrainie, jest trzy razy większe od łącznej pomocy Niemiec, Francji i Włoch. Nadto to polscy przywódcy pokazali politykom innych krajów UE, że Kijów trzeba odwieść. Wystarczy zatem odrobina rozsądku, by uznać, że opowieści o proputinowskim reżimie Kaczyńskiego to

nic więcej jak czysto propagandowa zagrywka polityczna.

Ale jest jeszcze trzeci, głoszony przez sporą część opozycji, mit na temat polskich władz. Od kilku lat powtarzano, że z powodu swojej rzekomej nieudolności polskie władze są całkowicie izolowane w Unii, NATO i na świecie w ogóle. Tymczasem, gdy wojna wybuchła, nie było ani chwili opóźnienia w konsultacjach naszych polityków z ich odpowiednikami w Unii i NATO. Kluczowa była tu rola prezydenta Dudy, ale ważna była też aktywność premiera Morawieckiego w mobilizowaniu przywódców innych demokratycznych krajów, by wprowadzali kolejne transze sankcji przeciw Federacji Rosyjskiej.

Dla każdego, kto nie jest pozbawiony odrobiny zdrowego rozsądku, jest widoczne, jak bardzo rozsypały się trzy mity stanowiące paliwo opozycyjnej propagandy: o ksenofobii Polaków, o proputinowskiej władzy oraz o izolacji polskiego państwa na arenie międzynarodowej. Ale wystarczy dziś pobyć trochę w internecie, by zobaczyć, iż mimo mnóstwa informacji przeczących tym mitom część opozycji wciąż te bzdury głosi. Faktów nie przyjmuje do wiadomości. Być może choroba anty-PiS jest tak zaawansowana, że nawet tak silny lek, którym jest wojenny wstrząs, nie działa. Może choroba ta zdążyła już wywołać tak głębokie zmiany w mentalności niektórych naszych rodaków, że mają już tożsamość antypisowską, która wbrew własnym interesom każdy sukces, każde udane strategiczne posunięcie władzy interpretuje jako porażkę.

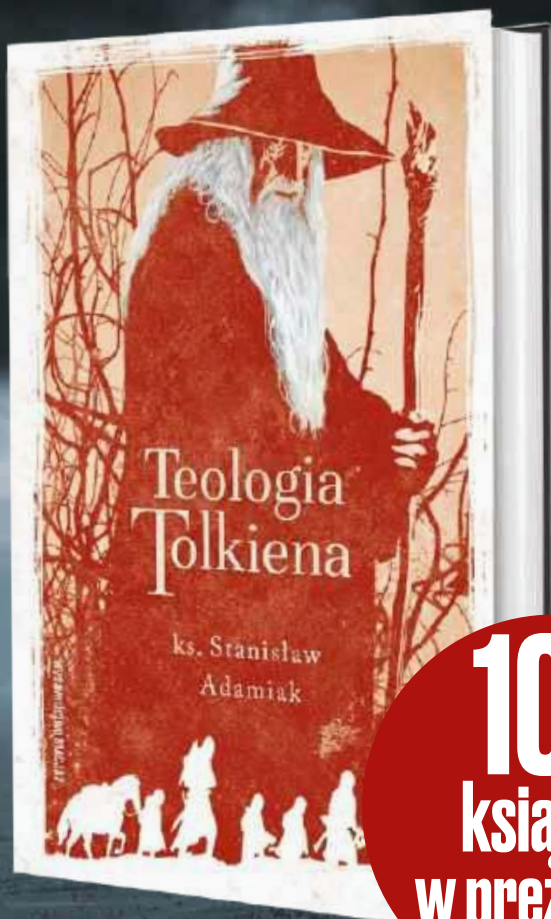
Ale jest jeszcze inny wymiar tej sytuacji. Mitotwórcom przekonanym o swojej moralnej wyższości najwidoczniej nie przeszkadza brak poszanowania dla faktów ani zasad logiki. Taka to wyższość.

**Katarzyna i Andrzej
Zybertowiczowie**

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW
WERSJI PAPIEROWEJ

SIECI

**wSIECI
HISTORII**



„Teologia Tolkiena” ukazuje
chrześcijańskie prawdy wiary ukryte
w losach bohaterów Śródziemia

196 STR. | LEKTURA OBOWIĄZKOWA DLA FANÓW
TOLKIENA | IMPRIMATUR

100
książek
w prezencie

Książkę „Teologia Tolkiena” otrzymasz **GRATIS**,
zamawiając roczną prenumeratę pakietu:
tygodnik **SIECI** i magazyn **HISTORII** za **295 zł**.

Zamów już dziś na: www.wsieciprawdy.pl/prenumerata



Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o.,
ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: PRENUMERATA PAKIET i pełne dane adresowe do wysyłki.

Kontakt: prenumerata@fratria.pl | tel. 22 616 36 00 w godz. 9-16



biznes
TANK

Masz firmę?

Wybierz **wirtualną kartę BIZNESTANK**
w aplikacji **ORLEN VITAY** i zyskaj!



Promocja trwa od 01.05.2022 do 31.07.2022 r.

Szczegóły i Regulamin promocji dostępny na www.biznestank.orken.pl

*Oferta obowiązuje od pierwszego zatankowanego litra paliwa.